

Henryk Panas
ZAGUBIENI W LESIE



Henryk Panas

**ZAGUBIENI
W
LESIE**

**POJEZIERZE
OLSZTYN
1985**

Ciszę polnej drogi naruszał chrzęst kroków żołnierza. Małe obłoczki kurzu, wzniecane podkutymi butami, opadały zaraz i tylko rój drobnych muszek towarzyszył piechurowi wytrwale, przez cały czas ożywiając powietrze brzęczeniem. Z gałązek olszyny zwisały tu i ówdzie źdźbła pszenicy. Kołysały się lekko, jak gdyby przed chwilą wóz wyładowany zbożem przejechał tędy i postradał je, przedzierając się przez ten nieduży zagajnik między wsią a młynem, gdzie zawsze w czasie żniwa spłacano haracz drzewom. Żołnierz odruchowo sięgnął ręką po kłos zwisający tuż przed nim i przyjrzał się ziarnu, a potem spojrział w niebo. Czysty błękit lipcowego popołudnia towarzyszył niefrasobliwym zakrętom drogi, która wiła się wzdłuż młynówki. Po blizie wody i cień olszyny łagodziły nieco upał i żołnierz, nie wypuszczając z dłoni kłosa, odsunął czapkę na tył głowy, potem tą samą ręką rozpiął guziki bluzy. Menażka przytroczona do plecaka obluzowała się trochę i dźwięczała cicho za każdym krokiem, ale żołnierz nie miał zamiaru jej poprawiać, pomyślał z ulgą, że tu w tym miejscu tak ustronnym nikt go nie zwymyśla za niedbałość ani nie zażąda okazania karty urlopowej, na której było wypisane, że obergefreiter Paul Kun-

tzig otrzymał urlop rekonwalescencyjny, o czym zresztą dodatkowo świadczyła świeżo zabliźniona rana, ciągnąca się od czoła do potylicy. Blizna była widoczna spod otoku czapki i budziła szacunek wśród żandarmów, węszących w pociągach i na dworcach za łazikami, a Żelazny Krzyż wśród kilku innych odznaczeń bojowych, pobrzękujących na piersi, usposabiał nawet przychylnie tych wypasionych ogierów tyłowych. Wielokrotnie w czasie niezbyt długiej podróży wyławiali Paula Kuntziga z tłumu urlopników jak kawał gnata z wojskowej zupy, w pierwszej kolejności. Był za długi i wychudzony, po prostu wystawał znad ciżby, a dla żołnierza to prawdziwy pech wyróżniać się czymkolwiek.

Droga ostrym zakrętem przechodziła na drugą stronę rzeczki po zbitym z bali mostku. Kuntzig zatrzymał się na nim i wsparty o drewnianą poręcz spojrzął w dół, w wodę, aby po raz nie wiadomo który ocenić, czy pobyt w szpitalu bardzo go odmienił. Słaby nurt w nieznanym stopniu zniekształcił odbicie, nie na tyle jednak, by nie mógł stwierdzić jak mocno wystrzyły się mu rysy twarzy. Kości szczęk uwidaczniały zapadłość policzków, a kanciasta broda i cienki wydłużony nos wyszczuplały jego oblicze, upodabniając je do twarzy poległych kolegów, gdy już zastygły w woskową maskę. Przed opuszczeniem szpitala opalił się trochę i miał żółtawoziemistą cerę umrzyka, któremu słońce udzieliło ostatniej pociechy.

Dotknął palcami skroni. Przenikliwy, głuchy ból, towarzyszący mu od chwili gdy opuścił wagon, wzmacniał się. Już w czasie jazdy czuł lekkie pulsowanie blizny, możliwe że z powodu wstrząsów starego pudła, miał jednak nadzieję, że na świeżym powietrzu ominie go atak, ale teraz, gdy ból zaczął przenikać w głąb,

z niepokojem ostrożnie dotykał jego źródła pod cienką skórą blizny.

Po chwili bezowocnego odczekiwania rzucił kłos do wody i patrzył w ślad za nim. Kłos wirując wolno jak mały stateczek popłynął w zakole rzeczki ku nieznanemu przeznaczeniu. Kiedy mu zniknął z oczu, Kuntzig westchnął i ruszył dalej. Droga znów skręcała wymijając po lewej stronie niewielkie wzniesienie, półkoliście otoczone olszyną.

Na wzniesieniu, w bujnej trawie, leżał ktoś rozwalony na wznak, a Kuntzig bez trudu rozpoznał w leżącym osobę najmniej pożądaną z całej rodziny — swego teścia. Tylko Dieter Handt mógł chrapać w tym ustroniu i na pewno był pijany. Od kiedy go znał, zawsze murawa na wzniesieniu była przystankiem w jego pijackiej wędrówce ku domowi i niejedną raz przespał tu do białego rana. Wojna nie odmieniła obyczajów teścia, bo niby dlaczego miała odmienić. W tych lasach wszystko trwało bez żadnych widocznych zmian i wieś położona z dala od głównych szlaków nie zaznała na razie żadnych skutków wojennej pożogi, poza tym jednym, że pozostali w niej łajdacy w rodzaju Handta. Wszyscy mężczyźni zdolni do noszenia broni walczyli i umierali na różnych frontach. Ich miejsce zajęli niewolnicy, więc roboty w polu nie ucierpiały. Wprawdzie w małżeńskich alkowach było smutno, ale i pod tym względem różnie się zdarzało. Mimo że za rassenschande groziła kara śmierci, niewolnicy — zwłaszcza Francuzi — obrabiali nie tylko niwę swych nieobecnych gospodarzy. Lotta mogłaby na ten temat coś powiedzieć, ale o tym nie chciało mu się myśleć.

Stał chwilę, zastanawiając się co robić, w końcu podszedł do teścia i potrząsnął nim mocno. Stary przestał

chrapać, ale upłynęła dobra chwila, zanim otworzył powieki.

— Paul? Nie może być? — zawołał. Mrugnął rudymi rzęsami i gapił się głupio, jakby nie dowierzając oczom. Wygląd miał czerstwy, a w zmierzwionych włosach nie było widać ani jednej siwej nitki.

— To ja — odparł Kuntzig. — Przyjechałem na urlop.

— Więc żyjesz?

Kuntzig wykrzywił usta w niby uśmiechu i spojrzał uważnie na starego.

— Jasne. Przecież widzicie mnie.

— Dostaliśmy kartkę, że zginąłeś na polu chwały — mruknął Handt. — Co za świńskie porządki tam u was.

— Ach tak — rzekł Kuntzig — jednak żyję.

Stary zadarł głowę do góry i wytrzeszczył oczy, jeszcze niezbyt przytomne, ale już odzyskujące zwykłą ruchliwość.

— Żyjesz, naturalnie — potwierdził. — Świńskie porządki u was. Dlaczego przysłali tę idiotyczną kartę?

— Ze szpitala przyszła?

— Nie. Z pułku.

— To już nie wiem — odparł. — Byliśmy w odwrocie na nowe pozycje, a ja nie dotarłem do tego miejsca. Rosjanie mocno napierali i wszystko popieprzyło się dokumentnie: czołgi, piechota, artyleria. Byłem w grupie osłonowej i oberwaliśmy po skórze jak się patrzy. Może kto widział, że dostałem w głowę i potem zrobili ze mnie zabitego.

Stary wciąż patrzył na niego głupkowato i wskazał palcem na bliznę.

— Tylko tu cię dopadło?

— Tu i gdzie indziej, ale to było najgorsze.

— Miałeś człowieku szczęście.

Kuntzig odruchowo pogładził skroń, jego palce przesliznęły się po gładkim miejscu, jakby sprawdzały wymiary tego szczęścia.

— Sam się dziwię — odparł — ale nie temu. Cud, że mnie zdołali zabrać z pola, bo pamiętam dobrze, że widziałem Rosjan nie dalej jak sto kroków, a za nimi czołgi. Możliwe, że nasza artyleria jakoś ich powstrzymała w ostatniej chwili.

Handt pokiwał głową i rozejrzawszy się sięgnął po czapkę leżącą opodal. Oczyszczył ją rękawem, ale nie wkładał.

— Swoi ciebie nie znaleźli — rzekł po namyśle.

— Też tak sędzę. W szpitalu opowiadał mi sanitariusz, że trzy dni leżałem na podłodze, zanim się do mnie wzięli. Wyglądało, że lada chwila umrę i szkoda im było czasu dla takiego, co ma beznadziejnie poharataną głowę. Zwalono im po bitwie coś ze trzystu rannych i wybierali takich do uratowania. Kiedy na trzeci dzień jeszcze dychałem, to mnie obejrzel i okazało się, że byłem tylko zaszokowany. Wiecie co to jest szok?

Teść wzruszył ramionami.

— Grunt, że żyjesz. — Obejrzał czapkę, włożył ją na głowę i powstał dźwigając z trudem opasłe cielsko. — Ale spałem — powiedział — która może być godzina?

— Siódma dochodzi.

— Znaczy, że spałem pięć godzin, he, he... Może wrócimy, Paul. Piwa bym się napił, mam świńskie pragnienie.

— Nie, pójdziemy do domu.

— Masz czas. Po co się tak spieszyć.

— Urlopnikowi do domu zawsze spieszno. Chodźmy.

Handt sięgnął do kieszeni i wyjął cygaro. Odgryzł koniec, a potem długo szukał zapalek.

— Powiem ci — mruknął — bo i tak zaraz się dowiesz. — Nie patrzył na zięcia i ustroił twarz w małpi grymas.

— Co się stało? — rzekł Kuntzig.

— Iii, właściwie nic takiego, tyle że nie masz do czego się spieszyć.

— Mówcie do diabła, co się stało?

— Chcesz wiedzieć, to Lotta uciekła.

Kuntzig spojrział na teścia z niedowierzaniem, wydało mu się, że Handt tkwi jeszcze w pijackim transie i plecie bzdury. Stał rozkraczony i nie przestając stroić idiotycznych grymasów całą uwagę poświęcił zapaleniu cygara jakby to, co powiedział przed chwilą, nie miało rzeczywiście żadnego znaczenia. Jego rumiana twarz nie zdradzała niczego więcej poza złośliwą satysfakcją lub raczej poza ukrywaniem jej, czy też nawet udawaniem, że ją ukrywa. Przymrużone oczy spod krzaczastych brwi śledziły płomień zapalaki drżącej w palcach.

Kuntzig pomyślał, że wiadomość, jaką mu obwieszono przed chwilą, może być głupim kawałem starego, zezłościło go to i w głowie zaczęło mu szumieć. Dotknął dłonią blizny, a potem nie mogąc już opanować zawrotu głowy chwycił teścia za ramię i wsparł się na nim.

— Co ci jest? — zapytał stary.

— Nic. Nic — odparł — zaraz mi przejdzie, to takie zaburzenie równowagi. Nie jestem jeszcze całkiem zdrów.

— Myślałem, że z powodu Lotty — mruknął stary. W jego głosie zabrzmiało niby współczucie, ale zerknął chytrze i z zadowoleniem, że wbił zięciowi takiego po-

tężnego klina. Zawsze mu sprawiało przyjemność, kiedy widział kogoś upokorzonego, zwłaszcza jeśli się do tego przyczynił.

Kuntzig dostrzegł to, gdy tylko popłoch z powodu zawrotu głowy w nim minął, zacisnął dłoń na ramieniu teścia i rzekł cierpko:

— Nie powiem, żeby mnie to ucieszyło, a po prawdzie takiego szpasa nigdy się nie spodziewałem.

— Świńska historia — mruknął stary.

Kuntzig puścił ramię teścia i sięgnął ręką do skroni. Pomasaował palcami bliznę, co przynosiło czasem nieznaczoną ulgę, gdy zawroty mijały, a ból głowy nie zdążył jeszcze objąć czaszki.

— Jak do tego doszło? — zapytał nie zaprzestając gładzić blizny.

— Zwyczajnie. Poznała w Osterode jakiegoś szofera i zanim połapaliśmy się, już jej nie było w domu. — Handt puścił kłęb dymu i patrzył w jego stronę. — Zostawiła list, że nie wróci. Do ciebie był ten list, ale przeczytaliśmy. Mówiłem ci zawsze, że to suka, nie chciałeś wierzyć.

Kuntzig mimowolnie skinął głową. To była prawda, że nie chciał wierzyć. Zaraz w pierwszej rozmowie, gdy przybył do dziadka Gottlieba Kuny z listem od swego dziadka — Marcina — i gdy zamieszkał w tym domu, Handt na drugi czy trzeci dzień powiedział mu: „Uważaj człowieku, bo jak ta suka złapie cię w sidła, to będziesz całe życie płakał”. Wówczas wydało mu się dziwne, żeby ojciec w ten sposób mówił i obruszył się nawet, bo zanim jeszcze doszło do tej rozmowy Lize-lotta przypadła mu do gustu, spodobała mu się dosyć, a miała wtedy szesnaście lat i wcale nie wyglądała na taką, jak ją określił Handt. Trudno było uwierzyć

słowom pijaka, który całutki dzień chodził na rauszu i marnował gospodarkę dziadka Gottlieba, swego teścia, przepijając każdy grosz, ale nie da się zaprzeczyć, że wiele razy powtarzał to samo; zanim jeszcze Frieda, żona Handta, zgrabnie wydała córkę za miastowego chłopaka, który okazał się taki naiwny, że wystarczyło go raz przyłapać na amorach, by poczuł się zobowiązany do ożenku. Potem wyszło, że teść miał rację, bardzo prędko, w parę miesięcy po ślubie, kiedy Lotta zaczęła puszczać się na lewo i prawo, z kim popadło i nie było na to żadnej rady ani lekarstwa. Miała taką naturę, że każdy mógł ją wziąć, każdy kto chciał, z każdym pokładała się z jednakową chęcią.

Teść spojrział na niego pytająco, wypuścił z ust kłęb śmierdzącego dymu i ruszył naprzód chwiejnym krokiem.

— Miej to gdzieś i nie przejmuj się — powiedział po chwili, gdy w milczeniu zdążali obok siebie chrzęszcząc butami po zwirowatej drodze i wzniecając małe obłoczki kurzu.

— A kiedy ona uciekła? Po tej karcie z zawiadomieniem, że zginąłem?

— Przecież mówiłem, że zostawiła list.

— Prawda, rzeczywiście.

Stary poprawił czapkę. Patrząc przed siebie i nie wypuszczając z ust cygara mówił obojętnie:

— Ona wdała się w matkę. Die beiden sind Huren, also! Teraz rozumiesz, dlaczego piję. Alles Dreck!

— Szlag człowieka może trafić.

— Nie bądź głupi, mało to bab na świecie. Kawał chłopca z ciebie i masz w sobie coś, co się babom podoba...

— No, nie wszystkim — mrunknął Kuntzig — jak widać.

— To idiotka. Wiem, co mówię i proszę Boga, żeby nie wróciła, bo byłoby prawdziwe nieszczęście.

— To wasza córka.

Handt wydał wargi nie wyjmując z ust cygara:

— Czort wie, czy ona moja — burknął. — Frieda miała taki sam ogień w zadku, to u nich rodzinne. Kuna ze swą starą też przeżył niejedno zmartwienie.

— Mało mnie to obchodzi — powiedział Kuntzig. Te historie obily mu się kiedyś o uszy, gdy był jeszcze wyrostkiem i chciwie słuchał bajek o rodzinnych stronach, które tam, w Essen, wydawały mu się czarodziej-ską krainą zamieszkałą przez poczciwych, dobrodusznych ludzi, żyjących wśród wiekowych borów nad błękitnymi jeziorami, gdzie powietrze czyste jak szkło pozwala oddychać pełną piersią. W opowieściach dziadka Marcina były to cudowne okolice, gdzie wszyscy mogliby żyć szczęśliwie, gdyby majątkarze nie zagrabili co lepszej ziemi. Przez to biedacy musieli emigrować do Westfalii, do ciężkiej pracy w kopalniach i hutach, rujnującej płuca i obdziałającej szczerze kalectwem wszelkiego rodzaju. Mnóstwo różnych ciekawych rzeczy opowiadał dziadek Marcin o ludziach zamieszkujących wieś w środku lasów, którzy już w większości pomarli albo jak dziadek Gottlieb dożywali swych dni, różne takie nieważne historie o wydarzeniach sprzed lat, interesujące tylko dlatego, że opowiadania te brzmiały w uchu jak baśnie. Dziadek Gottlieb pojawiał się w nich dość często, był najlepszym kumplem dziadka Marcina, znali się od dziecka, razem służyli w wojsku i byli nierozłączni, dopóki dziadek Marcin nie wy-

jechał do Westfalii, a stało się to poniekąd za sprawą Anny, z którą dziadek Gottlieb ożenił się, a później miał przez nią niejedno zmartwienie. Wtedy mały Paul nie rozumiał o co tam szło, bo nie do niego dziadek mówił, tylko do rodziców, niewiele go to obchodziło i teraz nie mógł sobie przypomnieć niczego więcej poza tym, że Anna rzuciła urok na dziadka Gottlieba, który zupełnie stracił głowę i robił dla niej przedziwne głupstwa. Babka Anna umarła jednak dawno, w czasie pierwszej wojny i gdy przybył do Stillwasser żaden ślad, żadne wspomnienie po babce Annie nie pozostało w domu dziadka Gottlieba, którym zarządzała obecnie jego córka Frieda.

— To wszystko nic mnie nie obchodzi — powtórzył i popatrzył z wściekłością na teścia — jak można było do tego dopuścić, żeby Lotta uciekła. Taki wstyd!

— Wstyd to jest, ale sam byś nie upilnował — odparł stary i wzruszył ramionami. — Czego ty ode mnie chcesz. Na twoim miejscu to bym się bił piętami po tyłku.

— Dawno się to stało?

— Będzie już z miesiąc, ale nikt we wsi nie wie — dodał. — Mówimy, że wyjechała do twojej rodziny, do Essen.

— I nic nie pisała od tego czasu?

— Nie, człowieku. Nawet nie wiadomo, gdzie się obraca.

— Właściwie niewiele mnie to obchodzi.

Wyszli z zagajnika i droga teraz wiodła przez sad, który ciągnął się po jej obu stronach aż do zabudowań gospodarczych. Stare, omszałe sztachety tonęły w bujnych pokrzywach. Nad nimi przewieszały się gałęzie jabłoni obciążone owocami.

— Obrodziły w tym roku papierówki — rzekł stary — nie ma co z nimi robić.

— Widzę.

Handt wyjął z ust cygaro i trzymając je w palcach zatoczył dłonią łuk:

— W każdy parzysty rok taki urodzaj. Już świnie żreć nie chcą.

— A gdzie indziej ludzie trawę jedzą.

— Rosjanie?

— Jeńcy. Nie daj Boże nikomu dostać się do niewoli.

— To nigdy nie było dobre. W tamtą wojnę też.

— Dla cywilnej ludności ta wojna jeszcze gorsza niż dla wojskowych. Nie wyobrażam sobie, co by się działo, gdyby Iwan tu przyszedł.

Handt zadarł głowę i popatrzył na niego otwierając szeroko oczy.

— Myślisz?

— Co mam myśleć. Tydzień temu, 27 lipca, Rosjanie zajęli Białystok. W marcu, to znaczy pod koniec marca, walczyliśmy koło Homla, tysiąc kilometrów na wschód od naszej granicy, a wiecie ile teraz ma Iwan do Stillwasser? Najwyżej dwieście. Co tu więc myśleć.

— Już raz byli — mruknął Handt — ale Hindenburg ich wythukł do nogi.

— Wtedy wszystko wyglądało trochę inaczej — powiedział Kuntzig i urwał. Za takie rozmowy groziła karna kompania, a Handtowi nie można było zanadto wierzyć, wszyscy podejrzewali, że jest na usługach gestapo. To opasłe bydlę gotowe go jeszcze wsypać. Kto wie, czy go umyślnie nie pociągnął za język. Była między nimi kiedyś nienawiść wielka z powodu gospodarstwa, bo dziadek Gottlieb chciał przepisać ziemię

na wnuczkę. Nieraz dochodziło nawet do bójki, ale nie przez to, okazji nigdy nie brakowało, bo takiego bydlaka jak Handt rzadko kiedy można było spotkać. Był wstrętną świnią i prowokatorem, którego należało się strzec, trzeźwego czy pijanego. Zapomniał na chwilę o tym i mógł tego gorzko pożałować. Spojrzał z ukosa na teścia, by sprawdzić, czy przypadkiem nie powiedział za dużo, ale jego twarz zachowała wyraz tępej obojętności.

— O zamachu na führera słyszałeś?

— No chyba.

— I co ty na to?

— Nie moja sprawa.

— Nie wiadomo dokładnie, jak to było, ale że się takie świnie znalazły, wierzyć się nie chce.

— Dlaczego?

— Głupie świnie i tyle.

— Głupich nigdy nie brakuje.

Doszli do młyna stojącego nad brzegiem strugi. Mech porastał kamienną podmurówkę budynku i po szczerbionych drewnianych ścianach pisał się ku dachowi, szczególnie tam, gdzie zbutwiały i nadszczerbiony okap pozwalał deszczom spływać po balach. Od strony drogi szerokie podcienie były wsparte na rzeźbionych słupach. Węgły wcięte w rybi ogon oraz drzwi nabijane kowalskimi gwoździami, opatrzone w potężny kuty zamki świadczyły o sędziwości budowli, która jeszcze przed pierwszą wojną przestała służyć swemu przeznaczeniu. Dziadek Gottlieb nie pozwalał jej jednak rozebrać i choć od lat nie remontowana, trzymała się dobrze. Urządzenia młyńskie były jeszcze na chodzie

i dziadek niekiedy w skwarne letnie popołudnia podnosił zastawy, puszczał wodę na koło i godzinami słuchał jak skrzypią grube drewniane osie. Siadał wtedy na ławce pod ścianą naprzeciwko koła, patrzył na bryzgi spływającej wody i był bardzo zadowolony, że wszystko gra jak za czasów jego młodości, kiedy kamienie z chrobotem meły mąkę, a ku podcieniom i szerokim drzwiom nabijanym gwoździami zajeżdżały jedna za drugą furmanki z całej okolicy. Dziadek Gottlieb kochał stary młyn, który stał w tym miejscu od niepamiętnych lat i był wiekową budowlą wtedy, kiedy cesarz Napoleon bił się z Prusakami, a to było tak dawno, że nie żył już w Stillwasser nikt, kto by te czasy pamiętał. Ale, jak twierdził dziadek Gottlieb, budynek mógł jeszcze powstać ze sto lat, a Paul musiał przyrzec, że go nie rozbierze, kiedy odziedziczy gospodarstwo, ani nie da rozebrać, tak jak to jest zastrzeżone w testamencie i powinno być wykonane ściśle, gdy on, Gottlieb Kuna, umrze któregoś dnia, a po śmierci nie będzie mógł dopilnować, aby jego wola została uszanowana.

Do tej sprawy dziadek Gottlieb wracał za każdym razem, gdy Kuntzig przysiadał obok niego na ławce naprzeciw koła młyńskiego i wysłuchiwał nie kończących się opowieści związanych z młynem. Dzięki nim Paul też polubił ten budynek albo raczej przywiązał się do niego jak do leśnego uroczyska, gdzie pożądający samotności człowiek może znaleźć cichą przystań dla swego smutku. A było to miejsce, w którym obydwaj bez skrępowania rozmawiali po swojemu, bo dziadek kiepsko władał językiem niemieckim i nie szło mu opowiadać tych wszystkich historii o dawnych czasach, kiedy ani on, ani jego kumpel Marcin, ani nikt w Cichowodzie nie używali innej mowy tylko ojczystej. Tak

więc czuli się we młynie jakby w starej świątyni, w której mogli bez przeszkód oddawać się tajemniczym obrzędom, nie znajdującym już zrozumienia wśród reszty domowników. Należało jedynie żałować, że brakło tu dziadka Marcina, z jego niewygasłą tęsknotą do rodzinnej okolicy, z jego życiową mądrością, która by się teraz przydała, a może jeszcze przedtem, zanim doszło do nieszczęśliwego małżeństwa. Stary Kuna nie miał daru przekonywania ani dość energii, by rządzić swoimi, sprawiał wrażenie leśnego ptaka, który wyhodował kukułcze potomstwo. Był zagubiony i bezbronny, pokładający całą starczą nadzieję w Paulu, wnuku swego najlepszego kamrata Marcina, a przez ożenek prawnego dziedzica całego gospodarstwa, szczególnie tego młyna stojącego nad wodą od lat niepamiętnych, kiedy w Cichowodzie nie było jeszcze żadnego Niemca tylko sami swoi, osiadli tu z dziada pradiada.

Kuntzig poprawił pasy plecaka i zapytał o zdrowie dziadka Gottlieba. Handt machnął ręką.

— W porządku — mruknął — tylko rozporka nie nadąża rozpinać. Poza tym w porządku.

Minęli młyn i weszli na podwórze. Stajnia zasłaniała im widok na stodołę, ale słychać było głos Helmutha dochodzący z za węgła, gdzieś w głębi podwórza. Młodzieńczy tenor chłopaka brzmiał ostro i szczekliwie.

— Na kogo on tak wrzeszczy? — zapytał Kuntzig.

— Na Richarda. To mój robotnik, dwoje mam ich teraz.

— Polacy czy Rosjanie?

— Polacy. Są do niczego, miastowi. Dostałem taki szmelc, że szkoda każdego słowa.

Wyszli z za węgła stajni i Kuntzig zobaczył zaraz Helmutha z biczyskiem w ręku. Stał na szeroko roz-

stawionych nogach, a jego ręka z batem gotowym do smagnięcia wykonywała niezdecydowane, wahające ruchy. Pokrzykując usiłował wyminąć jakąś dziewczynę, która rozłożywszy ramiona, wsparta o drabinę wozu, zasłaniała leżącego za nią młodego chudzielca o wystraszonej twarzy. Helmuth krzyczał do dziewczyny, żeby mu zeszła z drogi, bo zaraz też oberwie i obchodził ją to z tej to z tamtej strony, wciąż wykonując niezdecydowane ruchy ręką, coraz bardziej nerwowe, w miarę jak podniecał się własnym krzykiem i milczącym uporem dziewczyny. Na jej nogach widniały dwie pręgi, ostro zarysowane na tle opalenizny, ale ona nieugięcie osłaniała chudzielca, choć w jej oczach wytrzeszczonych i przez to tak dużych, że ich niebieskość wypełniała całą przestrzeń pod łukami brwi, czaił się lęk.

Handt wyjął z ust cygaro.

— Zostaw ją, Helmuth — krzyknął — co się tu dzieje?

Chłopak nie odwracał się, wciąż szukał sposobności do ominięcia przeszkody.

— Niech odejdzie precz — odkrzyknął — ten świński pies byłby mi nogę przetrącił. Ach ty przeklęty świński ryju, już ja cię domacam.

— Zostaw to, Helmuth, słyszysz! Zobacz, kto przyszedł.

Chłopak obejrzał się i rzucił bat.

— Paul! Niemożliwe! — Gniew zniknął z jego twarzy, uśmiechnął się i podskoczył po chłopięcemu. W połowie podwórza nagle zwolnił kroku i uśmiech na jego twarzy ustąpił wyrazowi onieśmielenia, jak gdyby przypomniał sobie i poczuł się współwinny za postępek siostry — Paul! To ty, naprawdę — wybąkał.

— A któż by inny — Kuntzig przyjaźnie spojrział na

chłopca — jak się masz. — Helmuth nie był podobny do Lizelotty ani fizycznie, ani z charakteru, a teraz w jego oczach dostrzegł błysk męskiej solidarności czy coś w tym rodzaju, więc powtórzył z przyjaznym akcentem — jak się masz — i wyciągnął dłoń na przywitanie.

— Strasznie się cieszę, że żyjesz, Paul.

— A ja nie bardzo, ale cóż.

Twarz chłopca rozpogodziła się, potrząsnął dłonią Kuntziga i patrzył mu w oczy z tym uwielbieniem, jakim zawsze go darzył.

— Nie mogłem uwierzyć, że ciebie zabili. Od razu powiedziałem, że to jakaś pomyłka.

— Miałeś dobre przeczucie.

— To prawda — rzekł Handt. Odrzucił niedopałek cygara i mrużąc oczy patrzył w stronę niewolników.

— Wolałbym, żeby to nie była pomyłka — powiedział Kuntzig.

Helmuth wciąż trzymał dłoń szwagra w swojej, a jego wzrok wyrażał coś na kształt skruchy czy poczucia winy za to, co się stało. Przez chwilę poruszał bezdźwięcznie ustami, jakby wahając się wypowiedzieć słowa, które miał na myśli i zwilżył parokrotnie wargi językiem, zanim zdobył się na odwagę, wciąż z onieśmieniem potrząsając dłonią Kuntziga.

— Nie ma czego żałować, Paul — rzekł wreszcie — przykro mi, że to moja siostra. Ona nie była godna być żoną niemieckiego żołnierza.

— Masz rację — powiedział i położył mu rękę na ramieniu — nie mam do ciebie żadnych pretensji z tego powodu.

— Przykro mi — powtórzył chłopiec.

— Nie mówmy o tym — potrząsał jego ramieniem i dodał — nikomu nic z tego już nie przyjdzie. Masz rację, nie ma czego żałować.

Handt zdeptał niedopałek cygara i zostawiwszy ich postąpił do przodu:

— Richard! Chodź tu!

Chudzielec, który powstał już z ziemi i otrzepywał spodnie, wzdrygnął się, ale posłusznie podszedł do gospodarza. Był wysoki, odzież wisiała na nim jak łachman, choć kuse spodnie i wypełzła marynarka zdawały się być z młodszego brata. Nieczysta cera i kłaczkowaty jasny zarost szpeciły twarz, która z daleka wydawała się Kuntzigowi dość sympatyczna. Tkwiła w niej jakaś nieuchwytna uroda, delikatna, prawie kobieca, zarysowana w cienkim nosie i miękkim podbródku, a także w niebieskich oczach spoglądających z potulną uległością. Kiedy jednak zbliżył się, pryszczata cera i zarost pozbawiały ją całego uroku. Daremnie usiłując opanować drżenie nóg młody Polak stanął przed gospodarzem.

— Ty świński psie, co ty sobie właściwie wyobrażasz — powiedział Handt. Odwinął rękę i uderzył Richarda w twarz. Chłopiec upadł bez jęku i w obronnym ruchu skulił się podciągając kolana. Kuse spodnie odsłoniły piszczelowate golenie. Handt stał nad nim, jakby zastanawiając się czy nie kopnąć albo nie nadepnąć na te powleczone skórą kości. Wtedy dziewczyna krzyknęła:

— Uciekaj, Rysiek

Chłopak nie usłuchał wezwania, tylko podkulił wyżej nogi i rękoma zasłonił twarz. Leżał tak, zwinięty niemal w kłębek dygocąc ze strachu, Handt jednak nie kopnął go, na jego twarzy nie widać było żadnego unie-

sienia, stał bez ruchu wypiąwszy wielki brzuch, masywny jak beczka łoju.

— Ty zgnijesz w więzieniu — powiedział do leżącego — ostatni raz ci mówię — odwrócił się do Helmutha — widziałeś? Tak z nim trzeba, bez krzyku, w mordę i już. To gnida, dawno powinien zdechnąć w więzieniu.

— Ja go prędzej wykończę.

— Zrobił ci co?

— Mało mi nogi nie przetrącił.

— On nie chciał — powiedziała śmiało dziewczyna — konie szarpnęły.

— Zamknij się — krzyknął Helmuth — bo zaraz oberwiesz.

— Daj jej spokój — powiedział Handt. Wyjął pudełko z cygarami i na ślepo wystukał jedno o dłoń. Odgryzł koniec cygara nie spuszczać wzroku z dziewczyny: — jej możesz dać spokój — powtórzył — a ty — zwrócił się do niej — czego tu sterczysz? Marsz w tej chwili do roboty.

Dziewczyna spojrzała na niego wykrzywając wzgardliwie usta i bez pośpiechu poszła ku stodole. Wypełzła niebieska bluzka opinała szczupłe barki, dźwigające na cienkiej szyi hardą głowę. Włosy koloru suchej trawy okalały ją wymykając się spod związanej nad czołem chustki.

— To jego siostra? — zapytał Kuntzig Helmutha.

— Nie. To para idiotów.

— Chodźmy — powiedział Handt — zobaczymy, co matka powie, jak cię zobaczy. Ona wierzy w duchy, he, he. Zapalił cygaro i przez kłęb dymu spoglądał w stronę domu nie przestając się uśmiechać i nie decydując się na zrobienie kroku naprzód.

Kuntzig skinął głową i zwrócił się do Helmutha:

— Gdzie jest dziadek?

— Nie wiem. Nie widziałem go. Do południa pomagał zwozić zboże, pewnie teraz jest u siebie. Chcesz, to mu powiem, że jesteś.

— Dobrze.

— Muszę jeszcze jechać na pole z nimi, ale najpierw skoczę do dziadka. Lepiej go uprzedzić, nie?

— Dobrze, Helmuth.

— Ale nie opowiadaj nic, Paul, dopóki nie wrócę z pola.

— Możesz być spokojny.

Patrzył za dziewczyną, która doszła do stodoły i zatrzymała się w otwartych drzwiach. Dawała znaki Richardowi, ale chłopak podniósłszy się z ziemi, stał jak głupi w tym samym miejscu, jakby czekając na dalszą porcję razów. Musiał być dobrze ogłuszony, bo nie dostrzegał ani zagrożenia ze strony Handta, ani znaków dziewczyny, zachęcających go do odejścia. Powtórzyła je parokrotnie z grymasem irytacji na twarzy. Jej oczy, wystraszone w niemyym nawoływaniu, czujnie zerkały na trzech mężczyzn stojących jeszcze pośrodku podwórza. Kuntzig uchwycił wzrokiem to spojrzenie, zawierające odrobinę niechętniej ciekawości. Przyływ ciepłego uczucia ogarnął go i starał się patrzeć na dziewczynę życzliwie, chcąc dać do zrozumienia, że nie ma nic wspólnego z tym, co tu zaszło przed chwilą. Zaraz sobie jednak uświadomił, że strój i rynsztunek nie mogą wzbudzić w Polce wyczucia jego dobrych intencji, że ona myśli przede wszystkim o bezpieczeństwie Richarda i że to jest źródłem zainteresowania osobą przybysza. Zdało mu się nawet, że dostrzegł w tym spojrzeniu ów wyraz mienawistnego strachu, towarzyszący

nieodmiennie mundurom feldgrau gdziekolwiek pojawiły się na terenach okupowanych.

— Nie stój jak kołek, Richard — powiedział po polsku — idź, wyprowadź wóz na drogę i tam czekaj.

Chłopak spojrział na niego półprzymkniętymi oczami, odjął dłoń od policzka, ale nie ruszał się z miejsca, tylko przestępował z nogi na nogę.

— No idź, idź — powtórzył i pomyślał, że taki oferta w wojsku wykończyłby się w ciągu tygodnia.

Chłopak zawrócił jak manekin i poszedł zataczając się w stronę stodoły.

— Zdechłak — powiedział Handt — ale inaczej z nim nie można wytrzymać. Chyba go oddam pod sąd za bumelanctwo, niech zgnije w więzieniu.

— Słabo karmicie — mruknął Kuntzig — dlaczego on taki chudy?

— A czy ja wiem. Żre jak koń.

— Nie trzeba tak bić — mruknął patrząc za chłopakiem.

Dziewczyna weszła do stodoły i jej postać zniknęła w ciemnym wnętrzu.

Teściowa rozplakała się, była szczerze wzruszona i Kuntzig nie wątpił w to, odpowiadając cierpliwie na bezsensowne pytania związane z jego domniemaną śmiercią na polu chwały. Nużyło go nieustanne potwierdzanie tego, że żyje, jak gdyby cielesna obecność nikomu nie wystarczała, musiał jednak przebrnąć przez całą paplaninę do końca, choć wolałby zamknąć się w alkowie i w samotności zastanawiać nad idiotyczną sytuacją. Tym bardziej pragnął tego, że nie wiedział

dobrze czy śmiać się, czy płakać z kawału, jaki mu spłatała Lizelotta.

— Może pójdę teraz do siebie — powiedział w końcu — złożę oporządzenie.

Teściowa spojrzała pytająco na Handta. Stary skinął głową i nie wypuszczając z ust cygara mruknął:

— Już wie. Powiedziałem mu.

Kuntzig przechwycił tę wymianę spojrzeń.

— Tak, wiem. Nie szkodzi — uśmiechnął się ironicznie — od tego się nie umiera, prawda? Myślę, że nasz pokój nie zniknął i mogę z niego nadal korzystać, przynajmniej podczas tego urlopu — patrzył w oczy teściowej i zauważył, że rumieniec wystąpił na jej twarzy.

— Och, Paul, jak możesz mówić coś podobnego. Wciąż jesteś moim zięciem i będziesz nim jak długo zechcesz.

Nie miał zamiaru dokuczać jej natręctwem swego spojrzenia i odwrócił się.

— W każdym razie parę dni chciałbym spędzić tutaj, mam wypisaną kartę do Stillwasser.

— Nie pleć głupstw. To jest twój dom, choćby ta dziwka nigdy nie miała wrócić. Masz prawo być rozgoryczony i na to nic nie poradzimy, Paul, ale nam też nie jest miło, że tak się stało.

— Nie jestem rozgoryczony — powiedział — tylko po prostu przykra sprawa. Szczerze mówiąc nie mam tu co robić.

— Co za gadanie — rzekł Handt. — Idź, rzuć graty. A ty — zwrócił się do żony — zrób mu coś do jedzenia, musi być głodny.*

— Nie będę nic jadł. Może później.

Handt odsunął krzesło, ale nie usiadł, tylko z miną znudzoną stał oparty o poręcz.

— Zjesz, zjesz — mruknął.

Kuntzig wskazał na bliźnię.

— W głowie mi się kręci i boli mnie trochę. Muszę odpocząć.

— Nie powinni byli cię puścić ze szpitala — westchnęła teściowa.

— Tam na podłodze nie ma miejsca. Rekonwalescentów wypychają, jak tylko się da. Zresztą to jedyna okazja by dostać urlop. Gdyby nie zawroty, odesłaliby mnie do oddziału, o ile jeszcze gdzieś istnieje, albo do marszkompanii.

— Biedaku — powiedziała teściowa — zaraz pościele ci łóżko.

Skierowała kroki ku drzwiom, ale wziął ją za rękę i zatrzymał.

— Nie jestem aż taki słaby. Położę się na kanapie, to mi zaraz przejdzie.

— Dobrze — powiedziała — ale kawy napijesz się.

— Może być.

— Przydałoby się co innego — mruknął Handt. Oczy błysnęły mu pożądliwie. Stał oparty o poręcz krzesła i uśmiechając się głupowato nie wypuszczał z ust cygara.

— Tak mówisz, jakby przed tobą się coś ostało, pijaku — powiedziała.

— Wiem, że masz.

— Jeśli mam, to nie dla ciebie.

— Nie o mnie tu idzie — popatrzył obojętnie na żonę, nieczuły na zaczepny ton jej głosu — żołnierz ma kawy po dziurki w nosie, nie, Paul?

— Kawy z mlekiem napiję się chętnie — odparł. Chciał zakończyć tę rozmowę i podniósł plecak. Czuł się naprawdę źle, jednak nie z powodu Lizelotty. Zmierzając ku drzwiom kiwnięciem głowy skwitował napom-

nienie teściowej, by zaraz przyszedł się umyć. W sieni posłyszał rozmowę Helmutha z dziadkiem Gottliebem, dobiegającą go z pokoju staruszka i zawahał się czy nie wejść tam, ale ciężar plecaka wydał mu się zbyt nieznośny, by go dłużej dźwigać. Drzwi od małżeńskiej alkowy były naprzeciw, wystarczyło zrobić trzy kroki, by znaleźć się w samotności, której teraz pragnął nade wszystko, choć nie był pewien uczucia, jakiego tam dozna.

Widok dwóch zestawionych razem łóżek zasłanych kapą i ślubnego portretu na przeciwległej ścianie nie uczynił jednak na nim żadnego wrażenia. W pokoju panował chłód, okna wychodziły na północ, były zasłonięte firankami, a zdziczałe gęste zarośla bzu za oknami dawały posępny cień. Spokojnie rozejrzał się po meblach i ponownie spojrzął na zdjęcie, przedstawiające młodą parę czule wpatrzoną w siebie. Miał na nim niezbyt mądrą minę, co było w równej mierze zasługą fotografa jak i jego własnej głupoty. Lizelotta wyglądała gorzej niż w rzeczywistości, a nawet mało do siebie podobna, ale nie mógł wywołać w myśli jej prawdziwego obrazu. Przymknął oczy, by to sprawdzić i zastanowić się, co naprawdę czuje w tej chwili. Jednak żaden obraz nie pojawił się pod powiekami, nie odczuwał nic poza ciężarem plecaka w ręku i poza dotkliwym bólem głowy. Rzucił plecak na podłogę, zdjął czapkę i położył ją na krześle, to samo zrobił z pasem i bluzą. Podeszedł do lustra i z powagą przyjrzał się bladoróżowej bliźnie.

Powinien być nieboszczykiem i wtedy wszystko byłoby w porządku, a tak został wystrychnięty na dudka

głupcem, który zmartwychwstał na ludzkie pośmiewisko. Pokiwał głową do odbicia w lustrze i odszedł, nie mogąc dłużej patrzeć na biedny głupi pysk Paula Kuntziga, którego żona uciekła z szoferem.

Położył się na kanapie, głowa bolała go uporczywie. Przypomniawszy sobie, że ma w plecaku torebkę z proszkami, jakie powinien zażywać w razie bólu. Wydobył ją i wyjął jeden proszek. Nie miał wielkiej ochoty pójść do kuchni po wodę i próbował wytrzymać jeszcze trochę bez zażywania lekarstwa, ból jednak był dręczący. Ze strachem pomyślał, czy lekarze nie omylili się i czy przypadkiem kula nie naruszyła kości, bo odnosi wrażenie, że jakiś okruch wbija mu się w mózg za każdym uderzeniem tętna. Poprzez ten ból słyszał w sieni starczy chód dziadka Gottlieba, który poczłapał do kuchni. To go przynagliło do dźwignięcia się z kanapy.

Wstał i powlókł się tam. Dziadek Gottlieb siedział na ławce pod oknem. Na jego twarzy przybyło kilka nowych zmarszczek, ale była wciąż jeszcze rześka od słońca, wiatru i deszczu. Ujrzawszy Paula zamrugał powiekami, chrząknął i wierzchem dłoni otarł kapkę z nosa. Ucałowali się zaraz serdecznie, jak gdyby Paul był jego prawdziwym wnukiem, choć faktycznie nie łączyło ich żadne pokrewieństwo. Bąkając słowa powitania staruszek chlipnął parę razy i wydobywszy chustkę z kieszeni spodni wytarł załzawione oczy.

— Kogo śmierć raz przeskoczyła, tego nieprędko dosięgnie — powiedział i zadartszy głowę przypatrywał się bliźnie — to dobry znak, synku.

— Zobaczymy, dziadku — odparł — do końca wojny już niedaleko.

— Może zanim twój urlop wyjdzie?

— Może.

— To byś zaraz się wziął za gospodarke?

— Myślę, że nic z tego nie będzie, chyba wiece dla-
czego.

Staruszek złożył chustkę i wsadził ją do kieszeni.

— Esce pogadamy — rzekł.

Rozmawiali po swojemu i tylko teściowa zrozumiała.

— Chciałabym przy tym być — wtrąciła — masz
wodę do mycia, Paul. — Rzuciła mu porozumiewawcze
spojrzenie, ale nie bardzo pojmował co miało oznaczać,
choć na pewno pozostawało w jakimś związku z tym, co
powiedziała po mazursku. Pomyślał, że oni tutaj trak-
tują sprawy, jakby wojna miała zakończyć się szczęśli-
wie nie powodując żadnych zmian w ich bytowaniu.

— Głowa mnie jeszcze trochę boli, muszę to zażyć —
wskazał na proszek.

Czerpakiem nalał wody do garnuszka. Zażył proszek
i bezwiednie zaczął znów nasłuchiwać, co dzieje się
w jego głowie. Dopiero po chwili połapał się, że nie
spuszczają z niego wzroku i że w izbie panuje cisza,
małona tylko głośnym posapywaniem Handta, który
siedział na stołku znudzony czy też zasklepiiony
w swoim kacu. Paul zdjął koszulę i zanurzył ręce w go-
rącej wodzie.

— Nie wyglądam tak źle — powiedział — trzy i pół
miesiąca w szpitalu, to coś znaczy. Nie mogli mnie się
pozbyć, bo chodziłem jak pijany. Teraz to już nic, cza-
sami tylko we łbie się zakręci, ale do czerwca nie mo-
głem się pozbierać, mówię wam, jak pijany. Nie mar-
kierowałem, oni mają swoje metody w szpitalu.

— Obmyć ci plecy? — spytała teściowa.

— Proszę.

Wyszorowała mu porządnie grzbiet szczotką i na ko-
niec klepnęła po łopacie:

— A teraz coś zjesz, prawda?

— Chętnie — powiedział — czuję nawet głód i prze-
staje mnie boleć.

— No widzisz. Zaraz coś przyszykuję.

Wyszła do spiżarni i wróciła ze słoikiem wekowanego pasztetu. Z kredensu wyjęła chleb i zaczęła krajać.

— Ojciec też zje? — zapytała.

— A zjem skibkę.

— Mnie to nie widzisz — odezwał się Handt.

— Palcem w bucie nie kiwnąłeś dzisiaj.

Handt wykrzywił wargi. Strząsnął na dłoń popiół z cy-
gara i powolnym ruchem wsypał go do popielniczki.

— No to co? — rzekł apatycznie.

— Nic. Tylko zreć potrafisz i pić.

— Dałabyś spokój przy takim dniu. Paul już odwykł
od twego gderania.

— Nie na niego gderam, tylko na ciebie.

— Koniecznie chcesz mnie rozzłościć, a ja się nie
dam. Za gorąco. — Rozpiął bluzę na piersiach i wsadziwszy rękę za pazuchę drapał się leniwie. — Co za
upał — mruknął nie patrząc na żonę — jeszcze w tym
roku tak nie grzało.

— Ale zmiana idzie — rzekł dziadek — łamie mnie
w krzyżu. Jutro już może być zmiana, a na polu ze-
sześć wozów pszenicy.

— Jeszcze sześć? — zdziwił się Handt.

— Może więcej.

— Te leniwe mały ruszają się jak w smole.

— Tego bym nie powiedział — rzekł dziadek — by-
łem z nimi do południa, dobrze pracują.

Teściowa postawiła na stole duży talerz nakrajanego
chleba posmarowanego pasztetem.

— Jedzcie tymczasem, zaraz zrobię kawę.

Wyszła z pokoju i wróciła z butelką. Handt przestał się drapać.

— Wiedziałem, że musisz mieć gdzieś schowane — powiedział.

— Jeżeli myślisz, że dostaniesz choć kroplę, to się mylisz — nie postawiła wódki na stole, tylko uśmiechając się złośliwie odeszła z nią do kredensu i uchyliwszy szklane drzwiczki wyjęła dwa kieliszki. Napelniła jeden do połowy i podała ojcu, potem nalala drugi.

— Kobieto, nie wyprowadzaj mnie z równowagi — powiedział Handt — kim ja jestem w tym domu?

— Gównem. Wielkim gównem.

— Chcesz, żebym cię uderzył?

Odchyliła do tyłu głowę i podparła się pięściami pod boki. Wyglądała młodo i krzepko.

-- Spróbuj, już dawno nie miałeś rozbitego łba.

Zanosilo się na awanturę, co nie było żadną nowością między nimi i Paul poczuł, że musi się wtrącić.

— Dajcie spokój choć dziś — powiedział — do czego to podobne. Macie — podał teściowi swój kieliszek i zwrócił się do teściowej — przestańcie się kłócić, bo zostawię to i sobie pójdę. Nie trzeba było w ogóle podawać sznapsa — spojrzał na teściową z wyrzutem i dostrzegł, że nie utracił na nią wpływu. Jej gniewna, smagła twarz nabrała w pewnym momencie ciepłego wyrazu.

— Jakbyś nie wiedział, Paul — powiedziała.

— Wiem — odparł — jeden kieliszek, to ani nie pomoże, ani nie zaszkodzi.

Handt z lubością sączył kminkówkę. Jego ochota do kłótni utonęła w pożądliwości alkoholu. Nie miał w so-

bie krzty woli ani godności i Kuntzig patrząc na jego rumianą twarz pomyślał, że ta beczka łoju przestała być mężczyzną.

— Widzisz, Paul — powiedziała teściowa — przekłeta wojna i ten pijak doprowadza nas do ruiny.

— Znow zaczynasz — mruknął Handt.

Nie odpowiedziała mu, tylko sięgnęła do kredensu i napełniła dwa kieliszki, jeden podała Kuntzigowi.

— Napiję się także. Prosit, Paul!

— Prosit!

— Daj mi jeszcze — rzekł Handt.

— Nie. Dosyć. Jedzcie teraz, już robię kawę.

Rozmowa toczyła się jałowo. Paul pamiętał o przyrzeczeniu i dopiero po przyjściu Helmutha zaczął opowiadać o wydarzeniach frontowych, których tak byli spragnieni, jakby wróżyły im coś nadzwyczaj dobrego. Teściowa przygotowywała kolację dla niewolników. Domyślił się tego, widząc że smaruje cienkie kromki chleba duszonymi kartoflami. Nie przypuszczał, żeby była aż tak skąpa, ale w tym domu już go nic nie dziwiło. Gdy dziewczyna weszła do kuchni, przywołał ją skinieniem ręki. Zbliżyła się posłusznie i stanęła wyczekująco przed nim. Przysunął w jej kierunku słoik do połowy wypełniony pasztetem.

— Weź to!

Spojrzała pytająco na gospodynię.

— No bierz, kiedy ci dają — powiedziała teściowa.

Dziewczyna wzięła słoik. Oczy miała głodne i zimne, nie powiedziała ani słowa, tylko rzuciła ukośne spojrzenie na dziadka Gottlieba, jakby mu chciała oznajmić, że jego nie dotyczy ta nienawiść wyrosła z upokorzonej dumy, z jaką przyjęła dar. Odwróciła się i wyszła, manifestując swą wzgardę wypięciem chudych

pośladków. Było coś dziecinnego w tej demonstracji i Paul uśmiechnął się mimowolnie.

— Marnie ich karmicie — zauważył — człowiek głodny źle pracuje.

— Nie przelewa nam się — odparła teściowa — a oni nie są warci nawet tego, co dostają.

— Przecież to jeszcze dziecko.

— Ma dziewiętnaście lat.

— Za dawnych czasów gospodarze i robotnicy jadaliby razem i to samo — powiedział dziadek — ale teraz inne porządki. Niewolników traktuje się gorzej niż bydło.

— Bo też są gorsi — wtrącił Helmuth.

— Cicho bądź — rzekł dziadek.

Paul odwrócił wzrok od drzwi i skierował go ku oknu, ale dziewczyna nie pojawiła się w polu widzenia.

— To was może jeszcze drogo kosztować — rzekł do teściowej — Rosjanie są już nad starą granicą.

— Myślisz, że mogą tu przyjść?

— Całkiem możliwe.

— Niech przyjdą — zawołał Helmuth — połamię sobie zęby na wschodniopruskiej fortecy.

Paul przestał patrzeć przez okno na podwórze.

Zapadał już zmierzch i nic się na podwórzu nie działo.

— Może połamię — powiedział zwracając wzrok w stronę chłopca, siedzącego w postawie pełnej gorączkowego napięcia, jakby już widział szturmujących Rosjan.

— My także zostaniemy uzbrojeni — rzekł Helmuth — wnet dostaniemy karabiny, już może w przyszłym miesiącu.

— Wy? To znaczy Hajot?

— Oczywiście. Jestem Rottenführerem — zaznaczył

z dumą. — Starsze dziewczyny z Bedeem też się szko-
lą. Wszyscy będziemy walczyć, gdy zajdzie potrzeba,
cała młodzież od szesnastu lat.

— Co ty sobie wyobrażasz, człowieku, że zwojuje-
cie coś, jak front tu przyjdzie? Stare wojsko robi w
portki, a wy szczeniaki myślicie, że to jak na filmie,
bach, bach, bach i już Iwan zabity. Nim zdążysz wy-
strzelić, będzie z ciebie tylko tłusta plama — pokiwał
głową z ubolewaniem — tłusta plama i tyle.

Helmuth wyprężył szyję i wciągnął brodę.

— Nie martw się o mnie.

— Widziałem już takich bohaterów, starszych od cie-
bie o cztery, pięć lat, ginęli jak muchy w jesieni. W mo-
im plutonie z jedenastu, których dostaliśmy pod Hom-
lem, został po tygodniu jeden, rozumiesz, jeden. Czło-
wieku, nie bądź głupi.

— To żadna głupota — oburzył się chłopak — to
obowiązek.

Paul wzruszył ramionami.

— Lepiej nie pchaj się, gdzie nie trzeba. Nie masz
jeszcze szesnastu lat i chociaż ci już rosną wąsy, nie
jesteś przez to ani o jeden dzień starszy. Nie podlegasz
żadnemu obowiązkowi.

— Za trzy tygodnie skończę szesnaście.

— Mam nadzieję, że matka nie pozwoli na żadne
takie głupoty — popatrzył na teściową z wyrzutem,
dlaczego nie zabiera głosu.

— Nie wierzę, żeby Rosjanie mieli tu przyjść — po-
wiedziała. — Führer ma Wunderwaffe i lada dzień jej
użyje. Wszyscy o tym mówią.

— Wunderwaffe? Najwyższy czas, abyśmy zamiast
gadania usłyszeli ją. A zresztą dajmy temu spokój, bo
niewiele tu wymyślimy. Zwykły człowiek jest tylko

ziarnkiem piasku na szufli w rękę führera, gdzie nim sypnie tam poleci, no nie, dziadku? — zwrócił się do staruszka, który milcząco pykał fajkę zakończoną mosiężnym kapturkiem w kształcie pikielhauby.

— Jo. Nasz führer mądry — powiedział dziadek Gottlieb — on mądry, ale siła złego na jednego. O mały figiel, a byliby go zabili.

Paul spojrział uważnie na starca i dostrzegł skierowany ku sobie porozumiewawczy błysk przymrużonych oczu. Pod obwisłymi węsami rysował się lekko dostrzegalny uśmiech, zaznaczony skrzywieniem kącików warg, co można było poczytać za grymas goryczy albo też schadenfreude, zależnie od tego jak kto by chciał rozumieć intencje wypowiedzianych słów. Ustroiłszy twarz w wyraz dobrodusznej tępoty, zastygłej w fałdach policzków, starzec oczami dał Paulowi znak, a po chwili wstając podkreślił go ruchem cybuszka trzymanej w ręku fajki. Wyszedł i Paul wiedział, gdzie będzie oczekiwany.

Od rzeczki ciągnął chłód i lekki opar. Staruszek siedział na ławce za młynem. Miał na sobie staroświecką bluzę, przypominającą krojem żołnierski kitel. Wsparty rękoma o łaskę siedział sztywno, wpatrzony w strużki wody przedzierające się przez szczeliny zastawy i pluśkoczące po łopatkach koła. Tu, za ścianą młyna, było cicho, tylko rzeczka szumiała i gałęzie olszyny po przeciwnej stronie szeleściły jednostajnie. Gdzieś nad łąkami od czasu do czasu pohukiwała sowa, jakiś nietoperz okrążył młyn i co chwila falistym lotem zapuszczał się nad wodę. Wtedy dziadek Gottlieb wyjmował

fajkę z ust i milcząco wskazywał cybuchem na ciemny kształt stworzenia, ledwo widoczny na tle nieba.

— Widzę — odparł Paul, ale nie śledził lotu nietoperza.

Dziadek wciąż milczał, pochrząkując od czasu do czasu, co było u niego zawsze wstępem do rozmowy. Zeszli się tu obaj, żeby ją odbyć i zapewne dziadek też snuł jakieś myśli wokół całej sprawy, która wynikła z powodu ucieczki Lizelotty. Nie spieszył się i zwyczajem starych ludzi przygotowywał słowa starannie, zanim zdecydował je wypuścić z ust między jednym a drugim pyknięciem fajki.

Chwila ta nadeszła, gdy bezszelestny lot łowcy nocnych owadów ustał i nie było już co pokazywać.

— Marnie wyszło — rzekł wreszcie — gorzej już być nie mogło.

— Co ja na to poradzę.

— Myślałem, że odziedziczysz, i twoje dziecieczki.

Paul skrzywił się, ale dziadek nie dostrzegł jego niechęci, więc wyraził ją na głos:

— Nie mówmy o tym.

— Kiedy trzeba.

— Będziecie mieli niedługo większe zmartwienie. Jak Rosjanie przyjdą, marny los wszystkich.

— W tamtą wojnę... — dziadek nie dokończył zdania, jego myśli z trudem oderwały się od poprzedniego tematu i Paul poczuł, że staruszek chce zawrócić z nowego tropu. Nie dał mu czasu do namysłu.

— Wtedy było co innego — powiedział — a teraz całkiem inna sprawa. Mają się za co mścić.

— Staremu nie powinni krzywdy zrobić.

— Wszystko zależeć będzie od Polaków. Jeżeli nie będą mieli na was co skarżyć.

Dziadek milczał. Wydobył pudełeczko z tytoniem, wystukał popiół z fajki i zaczął ją nabijać.

— Dzieweczka jest dobra— rzekł po chwili — co do chłopca trudno powiedzieć, ale złości do mnie nie ma.

— Oferma. Tacy są zawsze niepewni.

— Żebyś wiedział, ile on dostaje.

— Domyślam się.

— Mało wiele mówiłem Dieterowi, żeby dał chłopcu spokój.

— Podle ich karmią, to wystarczy.

Dziadek zapalił fajkę i pykał kilka razy, ugniatając palcem tytoń.

— W tamtą wojnę było inaczej, rosyjski front trzymał się mocno. Od nas chłopcy stali pod Dyneburgiem, daleko, daleko i dopiero po roku wrócili, po kapitulacji. Kajzera już nie było.

— Teraz mało kto wróci, może nikt.

— Drugi raz Niemce przegrały. Chyba przegrały, nie? Paul rozłożył ręce i kiwnął głową.

— Diabli wiedzą. To jeszcze potrwa rok, może dwa a może pięć. Hitler będzie się bić do ostatniego żołnierza. Ale ja już nim nie będę w każdym bądź razie.

— Chcesz markierować?

— Jakbyście mnie stuknęli lekko koło ucha, w bliznę, nie potrzebowałbym udawać, wzięliby mnie od razu do szpitala.

— Ale to może zostać, takie coś?

— Chyba dałoby się z tym żyć, jeszcze rentę bym otrzymał. Lekko stuknąć wystarczyłoby.

— Bałbym się — rzekł dziadek.

— Tak tylko mówiłem. Wcale nie mam tego w planie.

— Jak wojna przegrana, to już nie warto na nią się pchać.

— Od początku nie było warto.

— Ba, kiedy mus.

— Do czasu — mruknął Paul — teraz skończyło się.

Dziadek wyjął fajkę z ust i spojrzał w niebo jakby w nim szukał zbawczej myśli. Była to medytacja podobna do cichej modlitwy, bo wargi mu drżały ze starości, a twarz miał skupioną od natężenia umysłu.

— Gdybyś chciał, to bym cię schował w grubie — rzekł szeptem.

— Przed śmiercią nie ma schowania.

— Ty będziesz żył.

— Nie wiem jak długo, ale zanim zdechnę, muszę jeszcze spróbować, co sobie postanowiłem. Może się uda. Mnie po prawdzie do tej pory nic w życiu się nie udawało, ale teraz może się uda. Czy gewehr jest w grubie? Nikt tam nie zaglądał?

— Nikt nie wie o grubie prócz ciebie i mnie.

— To dobry polski gewehr, kawaleryjski. Myślałem, że będzie na dziki, nasza amunicja do niego pasuje. Teraz przyda się na co innego.

Dziadek zmrużył oczy. Żar z fajki za każdym pociągnięciem rozjaśniał na moment jego profil i zapadnięty policzek.

— Co ty kombinujesz?

Paul ściszył głos i rozejrzał się.

— Jak byłem w szpitalu — zaczął — poznałem jednego Polaka, Edek miał na imię. Był palaczem od centralnego ogrzewania. Załatwiał mi różne rzeczy, często zachodziłem do kotłowni i tak pomалу staliśmy się kumplami. Jednego razu powiedziałem mu, że miałem okazję przejść do Rosjan. Wtedy on zaczął mnie na-

mawiać, żebym uciekł do polskiej partyzantki, ale z bronią, bo ludzi mają dosyć, tylko broni mało. Gdybym zdobył gdzieś karabin albo empi, to by mnie zaprowadził do oddziału, z którym jest w kontakcie. Powiedziałem mu, że tak nie idzie zrobić, bo mam rodzinę i gestapo by ją wykończyło. Mówiłem jeszcze, że wolałbym do Rosjan, bo wiem, że u sowieckich partyzantów są dezercerzy z Wehrmachtu, nie tylko obcej narodowości, ale także rodowici Niemcy, a czy w polskiej są, tego wcale nie słyszałem i nawet, gdybym skombinował jakąś broń, to mogą mi ją zabrać, a samego rozwalić. Na to mi odrzekł, że za mnie poręczylby i że będę traktowany jak swój człowiek. Tacy jak ja są im potrzebni, co znają perfektnie język niemiecki i przepisy wojskowe, mogliby więc przyjąć mnie nawet nie uzbrojonego, lecz musieliby się w pierwszej w tej sprawie porozumieć z dowódcą.

Nie mogłem na to przystać, bo nie byłem całkiem zdrowy i nie wiedziałem jak tu rzeczy stoją; gdybym wiedział... ba! Teraz wszystko się wyjaśniło, mam wolną rękę. Zabiorę gewehr i będę próbował szczęścia, może u Polaków, nie wiem.

— Po co ci to wszystko? Nie lepiej gdzieś w cichości przesiedzieć?

— Nie ma pewnego kąta w tym kraju. Szpicle są wszędzie, nawet we własnym domu. Ale to nieważne dziadku, choćbym się schował przed ludźmi, to przed własnym sumieniem nie ucieknę.

— A cóż ty możesz mieć na sumieniu. Żołnierz — to jest żołnierz, wykonuje rozkazy i fertig.

— Zanim dostałem ten postrzał, przeżyłem taką straszną rzecz, że jej nie zapomnę do śmierci.

— Na wojnie zawsze dzieją się straszne rzeczy.

— Ale nie wszystko można znieść. Wiecie, przychodzi taki dzień, że nagle: trrach! jakby w człowieka piorun strzelił i już nigdy nie będzie taki jak był.

— Wej! Do tego nie trzeba wojny — rzekł dziadek.

— Mnie zdarzyło się to w tym roku na wiosnę — powiedział Paul. Czuł w sobie gwałtowną potrzebę opowiedzenia tej historii i nawet gdyby dziadek Gottlieb nie zdradzał ochoty do słuchania, musiałby ją mu w tej chwili opowiedzieć, koniecznie i nieodwołalnie. Nie czekał więc aż staruszek udzieli mu zachęty potakującym chrząknięciem, tylko mówił dalej z pośpiechem, jakby w obawie, że ktoś mu w tym przeszkodzi i nie pozwoli dokończyć.

— To zdarzyło się na wiosnę, zanim dostałem ten postrzał — zaczął od nowa. — Staliśmy wtedy na Białorusi. Nasz batalion został kompletnie rozбитý pod Kurkiem jeszcze w jesieni i wycofano nas aż pod Bobrujsk na odpoczynek i uzupełnienie. Nie było ani jednego zdrowego człowieka, kto nie miał rany, to męczyły go stare odmrożenia albo durchfall czy inna choroba, powiadam wam same kaleki i rekonwalescenci, a najwięcej było zaszokowanych, co przeszli przez parę szturmowych bitew. Niektóremu jedna wystarczy, żeby go zrobić pomyłonym na całe życie, będzie się bał własnego cienia. Takich była kupa. Tym szmelcem nasze dowództwo chciało utrzymać w szachu partyzantów i rozmieściło nas po okolicznych wioskach, w każdej drużyna albo pluton, różnie.

Byłem dowódcą takiej placówki w małej osadzie pośrodku lasów jeszcze większych niż nasze tutaj, ale ani ja, ani moi ludzie nie mieliśmy zamiaru zadzierać z partyzantami. Staliśmy w szkole, bo to był jedyny budynek murowany. Nauczycielka wyprosiła, żebym

zostawił jedną izbę do nauki. To dało się zrobić w stółwce, która miała oddzielne wejście z podwórza, więc zgodziłem się, choć instrukcja zakazywała. Ale pomyślałem sobie, że dzieci będą lepszym zabezpieczeniem niż najmocniejszy bunkier i tak napisałem w raporcie. Rzeczywiście, mieliśmy święty spokój i w dzień, i w nocy. Ta nauczycielka nazywała się Katia, była ładną dziewczyną. Miała jasne włosy i niebieskie oczy. Trochę może podobna do tej Polki co u was pracuje, ale to nie była Polka tylko Białorusinka. Prawdę powiedziawszy, podobała mi się, tym bardziej, że robiła wszystko, żeby mi się przypodobać, a to było coś niezwykłego. W tym narodzie jest wielka nienawiść do Niemców i każdy tamtejszy człowiek unika ich jak zarazy.

Od samego początku wyczuwałem, że Katia współpracuje z partyzantami. Zaraz na drugi dzień powiedziałem jej, że chcę z nimi żyć w zgodzie, jeżeli to tylko będzie możliwe. Rozmawialiśmy często na ten temat po lekcjach w klasie albo u mnie i koledzy myśleli, że została moją kochanką. Ale faktycznie nic z nią nie miałem, możecie mi wierzyć, tyle że zaprzyjaźniliśmy się na dobre. W jakiś czas potem uprzedziłem przez nią partyzantów o akcji, o której dowiedziałem się przypadkiem, parę dni naprzód. Od tamtej pory dobrze nam się wiodło. Na innych placówkach ludzie barykadowali się na noc nie śmiąc nosa wychylić wieczorem poza druty i szanice. Moi żołnierze przesiadywali po chałupach, gdzie kobiety przedły len, przygrywali im na akordeonach i uczyli się białoruskich pieśni. W ciągu dnia niektórzy z nudów, bo do lasu nie chodziliśmy wcale, pomagali babom w gospodarstwie, nawet w potajnym uboju i wyrobie kiełbas. Samogon też pędzili. No, krótko mówiąc, chciało się żyć i wszyscy byli zado-

woleni. Jednego razu za pośrednictwem Kati spotkałem się z partyzanckimi dowódcami. Nie wiedziałem czego ode mnie chcą i z wielkim strachem poszedłem, choć to było w naszej wiosce. Ale w chałupie pod lasem i późnym wieczorem mogli mnie porwać albo zastrzelić. Nic takiego się nie stało. Przyjęli mnie bardzo dobrze i wypytywali o różne rzeczy, w końcu czy bym nie przeszedł z moimi ludźmi na ich stronę. Odpowiedziałem im, że sam mógłbym, ale za swoich ludzi nie ręczę, chociaż nie ma między nimi hitlerowców. Wszyscy mają dość wojny i marzą tylko, żeby wrócić do domu. Wtedy zapytali mnie, czy ja też mam dosyć wojny, to znaczy, co bym wolał, pójść w plen czy wstąpić do ich oddziału, bo może być jedno i drugie. Na to ja, że najważniejsze, aby nikt z mojej rodziny nie ucierpiał i że chyba wiedzą od Kati, jakie są moje poglądy. Zaczęli się naradzać po cichu, a potem ich komisarz powiedział, że wobec tego na razie niech zostanie tak, jak jest, bo w tej sytuacji będę bardziej pożyteczny na placówce niż u nich. Wyjaśniłem mu, na ile mogą liczyć na mnie i że na przekazywanie ważniejszych wiadomości nie ma większych widoków, bo wtedy, z tą akcją, był czysty przypadek. My, dowódcy placówek, o czymś takim dowiadujemy się w ostatniej chwili. On na to, że ważne jest także nie gnębić ludności i nie wojować z partyzantami. Ustaliliśmy dalsze postępowanie. Dla pozorów mieli od czasu do czasu postrzelać trochę, żebym mógł napisać w raporcie o stoczonej potyczce.

Tak było całą zimę i niejedną raz im pomogłem, a oni mnie. Na wiosnę miałem przejść do nich, ale stało się inaczej. Któregoś dnia, bez żadnego uprzedzenia, ściągnięto wszystkie załogi i naszą także. Wiedzieliśmy, że

teraz w szybkich abcugach wyślą nas na front, zanim jednak to nastąpiło wzięliśmy udział w wielkiej akcji przeciw partyzantom. W myśl rozkazu wszystkie gniazda bandytyzmu, to znaczy te wioski, w których poprzednio stały placówki, miały być zrównane z ziemią.

Naszego batalionu do tej roboty bezpośrednio nie użyto, okopywaliśmy się tylko dokoła każdej wsi, a likwidację przeprowadzały czołgi, SS i żandarmeria.

Jednakże po tygodniu wypadła kolej na naszą wioskę. Ze swego stanowiska widziałem jak czołgi jeździły wzdłuż i wszerz rozwalając chałupy, obórki i szopy. Wieś stała w ogniu i dymach. Słyszałem wycie tych biedaków, co ginęli w płomieniach. Widok był straszny, ale najgorsze jeszcze nas czekało. O jedenastej przeszliśmy kolumną marszową przez pogorzelisko. Gdzie tylko obróciłem oczy, wszędzie widziałem trupy kobiet i dzieci. Opodal szkoły przy studni zobaczyłem sprasowane przez czołgi ciało kobiety, to była już tylko czerwona plama w czarnym błocie. Poznałem jasne włosy Kati, zmieszane z mózgiem i krwią, nic więcej nie potrafiłem odróżnić w tej miazdze, która niedawno była człowiekiem. I wtedy, dziadku, kiedy to zobaczyłem, coś się stało ze mną, sam nie wiedziałem co, a ta krwawa plama prześladowuje mnie w dzień i w nocy. Nie wiem, może dlatego, że z moją mózgownicą jest nie w porządku, ale przedtem też to miałem, nawet bardziej niż teraz.

Dziadek Gottlieb pochrzakiwał i milcząc pykał fajkę. Wreszcie odezwał się:

— Trudno uwierzyć, ale musi być prawda, skoro mówisz.

— Jak się w człowieku raz coś złamie, to już przepadło.

— Schowałbym cię w grubie — rzekł dziadek.

— Nie. Wy tego nie rozumiecie.

— Czego?

— W grubie można się schować przed żandarmami, ale od własnych myśli się nie ucieknie, sumienia nie zagłuszy.

— Hm! To prawda.

— Czy wy sobie wyobrażacie tak siedzieć samemu całymi dniami po ciemku i nic, tylko mieć w głowie te straszne rzeczy. I jeszcze ciągle w strachu, że znajdą i powieszą. Nie, to zdrowemu rozum się może pomieścić, a cóż dopiero mnie. Lepiej już od razu umrzeć.

— Na to zawsze jest czas. Teraz tak trza robić, żeby życie ocalić.

— Mnie na życiu nie zależy, zresztą to, co mówicie, nie wystarczy.

— Co chcesz zrobić?

Nie odpowiedział mu. Patrzyli na strumyki wody ściekające po łopatach koła. Wśród olch pohukiwały sowy, żółty księżyc płynął po niebie.

W kuchni jeszcze się świeciło. Teściowa kończyła wekowanie kompotów. Nie zdziwiło go to, bo wiedział, że nie miała zwyczaju odkładania niczego na dzień następny, a jego przyjazd zakłócił zaplanowany porządek robót domowych. W przeciwieństwie do swego męża Frieda Handt była wzorem obowiązkowości.

— To już ostatnia porcja — oznajmiła mu — siadaj. — Podniosła pokrywę baniaka i skontrolowała stan słoików.

— Gumek nie można dostać, a te stare są do niczego. Daję po cztery i pięć klamerek, ale nie pomagają, wciąż mi się słoiki otwierają.

Pokiwał głową na znak zrozumienia jej gospodarskich kłopotów.

— Ty byś coś zjadł? — zapytała — przecież prawie nic nie jadłeś.

— Jestem wygłodzony po szpitalnym wikcie. Teraz dopiero poczułem apetyt. Może sam sobie wezmę?

— Siedź, siedź. Usmażę ci bekonu. Z tym już koniec — wskazała na baniak. Wyjęła ze spizarni wędzony polec i ze wzruszającą skwapliwością zabrała się do smażenia. Pomyślał, że nie była już zobowiązana do takiej troski i może tym pragnęła zatrzeć trochę wyrzuty sumienia.

Zanim wojna wybuchła, trzymali wspólny front przeciw pijackiemu marnotrawstwu Handta i łajdactwom Lizelotty, sprzyjała mu i miała ku temu powody, bo wyprowadził gospodarę z długów. Obecnie to wszystko należało do bezpowrotnej przeszłości, stali się dla siebie obcymi ludźmi i nie łączyły ich już żadne więzy ani żadne interesy.

Mimo to, gdy postawiła przed nim chleb i talerz z płacami smażonego bekonu, znalazł w jej spojrzeniu wyraz nieklamanej życzliwości, wzbudzający poczucie, że jednak w jakimś stopniu jest do tego domu przynależny. Rozchmurzył się i powąchał bekon.

— Czegoś takiego nie miałem w ustach od roku — powiedział.

— Zaczekaj — uśmiechnęła się — przyniosę sznapsa.

Wyszła do stołowego pokoju oddzielającego kuchnię od sypialni. Była już przygotowana do snu, spod szlafrocka wystawał rąbek nocnej koszuli. Jak zawsze nosiła się po miejsku i w dzień, i w nocy dbała o swój

wygląd. Wojna nie zmieniła jej obyczajów, nie przypominała w tym stroju wiejskiej gospodyni, tym bardziej, że włosy spięte siatką nosiły ślady niedawnej ondulacji. Inne kobiety w Stillwasser, młode czy stare, przeważnie czesały się gładko splatając włosy w warkocze. Frieda, od kiedy ją znał, miała je krótko obcięte stosownie do obowiązującej mody.

Przez uchylone drzwi słychać było chrapanie Handta. Wracając zamknęła drzwi starannie za sobą. Jej stopy w bamboszach nie czyniły żadnego szmeru.

— Ten pijanica wyłopał tamtą flaszkę do dna — powiedziała stawiając na stole czworogranną butelkę — zapomniałam schować i ani się obejrzałam, już była pusta. Słyszałeś, jak chrapie.

— Ma melodię.

— Można go wynieść razem z łóżkiem. Usnąć przez tego diabła nie mogę.

— Gdyby wiedział, co tu na stole stoi, zaraz by wstał.

— Na szczęście nie wie.

Paul pokiwał głową i przysunął ku sobie butelkę, by przeczytać nazwę wódki. Był to najtańszy „kümmel”.

— Ze schnapsem musi być krucho — powiedział.

— O tak. Strasznie nędzne dają przydziały, ale nie wszyscy biorą, więc można dostać więcej, jeśli Kalecie na kimś zależy.

— Stary kombinator. Trzeba przyznać, umie żyć z ludźmi.

— Wzięłam już dawno, bo wciąż spodziewałam się, że przyjedziesz na urlop, dopóki nie przyszła ta karta z wojska, że nie żyjesz. Es war schrecklich!

Wyjęła z kredensu kieliszki i napełniła je. Wypili, a ona położywszy na chleb kawałek bekonu powiedziała wskazując na drzwi od sypialni.

— Ależ chrapie ten diabeł. On nas znów doprowadzi do ruiny.

— Pomimo że wódka na przydział?

— Właśnie dlatego. Gdy swoje wyżłopie, musi płacić podwójną cenę albo potrójną.

— U Kalety?

— Skądże! Kaleta mu nie sprzeda ani kieliszka nad to, co się mu należy. Od kobiet kupuje. Teraz w wielu domach nie ma komu pić, a pieniędzy każdy potrzebuje, to mu sprzedają chociaż zabronione.

Usiadła i zaczęła opowiadać o swoim utrapieniu, jakie miała z tym nałogowym alkoholikiem. Nie była to żadna nowość, bo ile razy przyjeżdżał na urlop musiał cierpliwie wysłuchiwać jej żalów, a i bez tego wiedział, co Handt potrafi. Więc zawsze współczująco przyznawał jej rację i przyrzekał, że jak tylko wojna się skończy, to weźmie wszystko w garść i powetuje straty, dziś jednak nie mógł udzielić jej tej pociechy, i choć może oczekiwała jakiegoś słowa na ten temat, nie chciał jej łudzić żadnymi obietnicami.

— Also trinken wir auch — powiedział nalewając do kieliszków — więc pijmy także — powtórzył — nic innego nam nie pozostaje. Prosit!

— Prosit! — wypła duszkiem — żebyś wiedział, że mi to obmierzło i mam ochotę się dziś upić.

— Nic prostszego — odparł i nalał znowu — ja też mam ochotę.

— Czy naprawdę nie pozostaje nam nic innego?

— Nie wiem. Nie widzę wyjścia.

— Złamało cię to, rozumiem, ale ja nie jestem temu nic winna. Ona się całkiem wdała w ojca, to jego natura.

Przypomniało mu się, co na drodze mówił Handt.

— Głupstwo — powiedział ubawiony — wcale nie dlatego mam ochotę. Dawno nie piłem sznapsa i nie jadłem takiego dobrego żarcia. Teraz dopiero czuję, że jestem w domu.

— Nie żartujesz, Paul?

— Mówię poważnie. Prosit!

— Prosit!

Na jej smagłych policzkach wystąpił rumieniec. Wciąż była przystojną kobietą i pomyślał, że wygląda o dziesięć lat młodziej niż liczyła, w przeciwieństwie do niego. Miała ujmujący uśmiech.

— Usmażę jeszcze boczku — rzekła, biorąc z talerza ostatni kawałek — a może wolisz szynkę?

— Niech będzie, zresztą wszystko jedno.

Wyniosła ze spiżarni kawał wędzonej szynki i ukroiła kilka plastrów. Pomógł jej zdjąć baniak z płyty i wrzucił w palenisko parę trzasek.

— U was wcale nie znać wojny — mówił stojąc przy kuchni. — Myślałem, że wam teraz wszystko zabierają.

— Oddajemy, ile się należy, za to nas na przydziałach oszukują bezwstydnie. Niczego dostać nie można, nafty nie ma, cukru nie ma, mydła nie ma, a jak coś dadzą, to tyle, że płakać się chce i przeważnie jakieś ersatze, z którymi nie wiadomo co począć.

— Najważniejsza rzecz jedzenie.

— Myślisz, że z tym nie trzeba kombinować? Za nielegalne zabicie wieprzka grożą karą śmierci, kury na podwórzu rachują.

— Ale jakoś sobie radzicie.

— Na kolonii można. We wsi to jeden drugiego się boi, a najwięcej Dietera. Ten łajdak jak nie pije, to węszy po obejściach i zawsze coś wynajdzie, zwłaszcza

tam, gdzie są młode baby. Straszy je i roluje po kolei. Idiota myśli, że o tym nie wiem. Wszyscy wiedzą.

— W końcu się doigra.

— Pewnie. Już mu Benno Neumann obiecał, że go zastrzeli, choć nie znał jeszcze całej prawdy, bo Minna bała się powiedzieć, że ją Dieter zrolował, ale to fakt. Niewolnicy widzieli ten cyrk.

Położyła skwierczące płyty szynki na talerz i poliała je tłuszczem. Wrócili do stołu.

— Mnie na tym nie zależy — ciągnęła dalej — niech go który zastrzeli, mam już dość tego łobuza, całe życie mi zmarnował.

— To on od początku był taki?

— Kto mógł wiedzieć — westchnęła — nie miałam osiemnastu lat jak pobraliśmy się, to było zaraz po tamtej wojnie. Ech tam, nie ma o czym mówić. Jedz, Paul.

Napełnił kieliszki. Znów wypića duszkiem, oczy jej już błyszczały. Trochę był tym zdziwiony, bo nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek zdradzała pociąg do alkoholu. Widocznie przyszła na nią taka chwila, w której człowiek chce utopić w kieliszku swoją klęskę i upokorzenie.

— Chciałbym wiedzieć, jak to właściwie było z tym szoferem.

— Dieter nie mówił ci?

— Tyle co nic.

— Było całkiem zwyczajnie, przygadał ją sobie w mieście, nie wiadomo kiedy.

— Mieszka w Osterode?

— Nie.

— Tylko gdzie?

— Nie mam pojęcia.

— Przecież gdzieś musi mieszkać.

— Nie znajdziesz ich teraz. On pracował w kolumnie transportowej SS.

— Ci z SS to najgorsze łobuzy. Powiedziałaś, pracował, znaczy, że już tam nie pracuje.

— Skąd mogę wiedzieć. Wyjechali i tyle. O SS nawet pytać nie można.

Paul skrzywił się. Sięgnął po butelkę i powoli nalewał sznapsa do kieliszków.

— Wcale mi nie zależy, żeby ich znaleźć.

— Nic by ci z tego nie przyszło.

— Po prostu chcę wiedzieć, jak to się stało.

— On nie był wcale przystojny, w każdym razie nawet nie umywał się do ciebie, ale pochodził z dobrej rodziny i miał eleganckie maniery. Nazywał się von Losch czy Lösch, jakoś tak.

— Tym jej zaimponował?

— Może. Przyjeżdżał zawsze osobowym wozem.

— I wyście nie pognali go na zbity pysk?

— Ba! Nie przyjeżdżał do domu, zatrzymywał się w olszynie, na bocznej drodze przed mostkiem. Tam się umawiali i nikt o tym nie wiedział.

— Ona to potrafiła.

— No właśnie. Nie wiem, jak długo to trwało, pewnie ze dwa albo trzy tygodnie, aż przypadkiem przyłapałam ich na gorącym uczynku.

Paul przekręcił butelkę, bo etykieta zasłaniała mu jej zawartość i patrzył, ile jeszcze zostało sznapsa.

— To znaczy? — zapytał.

— No, tarzali się pod kopą siana koło drogi, na tej polance między olchami.

— Bardzo dobre miejsce — zaśmiał się — w sam raz do kochania.

— Pytales, to ci mówię.

Przysunął jej kieliszek:

— Prosit!

— Prosit!

— I co dalej?

— Dalej poszło bardzo szybko, bo zrobiłam im straszną awanturę, a na drugi dzień Lotta uciekła. Mogę ci jeszcze powiedzieć, że ten cały von Losch, kiedy ich przyłapałam, bardzo się tłumaczył i mówił, że ożeni się z Lottą, jak tylko będzie możliwe i że chciałby, aby ona zamieszkała do tego czasu u jego matki w Magdeburgu.

— A co, nie wiedział, że ona ma męża.

— Oczywiście, że wiedział, wrzeszczałam mu to nad głową przez cały czas, ale on bardzo grzecznie mówił, że to nieszkodzi, bo Lottę kocha i ona jego także, i od tego są rozwody, by takie rzeczy załatwić.

— Idiota — mruknął Paul.

Teściowa wzięła go za włosy i potargała żartobliwie.

— Widzę, że nie możesz sobie z tym dać rady.

— Skądże znowu. Gniewa człowieka i tyle, bo dawno powinien rzucić cały ten kram.

— Nie, tylko ją trzeba było przepędzić.

Spojrzał na nią z niedowierzaniem. W głowie miał już niezły zamęt i nie wiedział, czy dobrze usłyszał.

— Sama bym to zrobiła, ale bałam się, że nie zostaniesz i gospodarka zjedzie na marne. Patrzyłam na łajdactwa tej dziwki i wiedziałam, że kiedyś przyjdzie do nieszczęścia. Żebyś wiedział, ile razy przeklinałam tę chwilę, kiedy ją wydałam na świat — zmarszczyła czarne brwi, spod których jej oczy spoglądały gniewnie w przestrzeń — to natura Dietera, podła i występna, od małości była wyrodkiem i dręczyła mnie

wespół ze starym. Ty jeszcze niewiele wiesz, kryłam przed tobą jej sprawki, bo nie chciałam, żebyś odszedł, ale powiadam ci, takich dwoje diabłów w jednym domu, to za dużo...

— Dziwna ta wasza rodzina — mruknął — żadnej miłości, tylko sama nienawiść. Nigdy nie potrafiłem zrozumieć, co tu się dzieje. Lotta też na was psy wieszła.

— Czy byłam dla ciebie zła?

— Tego nie mogę powiedzieć i nie wierzyłem jej.

— Chciałam bardzo, żebyś został, wciąż liczyłam, że będziecie mieli dziecko, a wtedy wszystko byłoby inaczej.

— Lepiej, że tak się stało, jak jest.

— I co teraz będzie, Paul?

— Sprawa prosta.

Teściowa nachyliła się nad stołem i patrzyła na niego błyszczącymi oczyma, ciepło, z jakąś wzruszającą serdecznością.

— Zostań, Paul.

Zrobiło mu się żal, bo rozumiał jej troskę, ale w nim już zapadło nieodwołalne postanowienie. Wzruszył ramionami i powiedział:

— Tu nie da się nic zrobić.

— Trzeba pomyśleć. Jeszcze jest czas pomyśleć.

— To samo mówił dziadek — zaśmiał się i pokręcił głową — teraz nie jestem usposobiony do myślenia. Wypijmy lepiej, jeśli macie jeszcze ochotę.

Sięgnęła po kieliszek i uśmiechnęła się także.

Ocknął się dopiero nad ranem, choć nie był wcale pewien, czy spał i raczej miał wrażenie, że przez cały

czas nie zmrużył oka. W mgle alkoholowego zamroczenia przypomniał sobie urywki rozmowy, a właściwie różne zdania wypowiedziane dwoma głosami, z których jeden należał do niego. Jakies fragmenty zdarzeń błąkały się w nim na granicy snu i świadomości, nie wiedział, co zaszło naprawdę, a co było sennym czy pijackim majaczeniem. Pamiętał, że nie mógł ustać na nogach, ani dojść o własnych siłach do pokoju, ale nie mógł sobie przypomnieć, jak znalazł się w łóżku. Pozostało w nim tylko wrażenie, że teściowa siedziała obok niego na łóżku i rozmawiali o czymś długo, ale to było raczej domniemanie, którym próbował wypełnić lukę aż do następnych zapamiętanych słów:

— Gdybym miał taką żonę jak ty, to bym został w domu i nie poszedłbym więcej na tę świńską wojnę.

Wtedy zapytała:

— Naprawdę zrobiłbyś to, Paul?

— Czemu nie — powiedział — przecież jestem urzędowno nieboszczykiem.

— To jest niezła myśl — odrzekła — schowałabym cię w dobrym miejscu.

— Tego się nie da zrobić — powiedział — oni by prędko wywęszyli.

— Kto? Dieter i Helmuth?

— Oni albo niewolnicy.

— Głupiś. Nikt by nic nie wiedział. Schowałabym cię u Herthy Wahnke.

— U Wahnke? Wiesz, nawet mi nie przyszło do głowy.

Hertha była jej cioteczną siostrą i najlepszą przyjaciółką. Mieszkała na kolonii pod lasem, dosyć daleko od wsi. Myśl zadekowania się u Herthy wydawała mu się całkiem niezłą, znacznie lepszą niż to, co podsuwał

mu dziadek Gottlieb. U Herthy nie musiałyby ciągle siedzieć w grubie.

Nie mógł sobie przypomnieć, czy powiedział coś o tym Friedzie. Nie byłoby dobrze, gdyby się wygadał, ale chyba nie powiedział. Nie rozumiejąc jej intencji zapalił się do tego planu. A później, i to utkwilo mu najmocniej w głowie, ona też chyba zupełnie pijana, zaczęła zachęcać go, żeby z nią żył, że będzie przychodzić do Herthy, a kiedy wojna się skończy, to przepędzi Handta. Jeśli zechce, tak mówiła, to się pobiorą a gospodarkę dziadek z pewnością przepisze na niego.

— Du bist besoffen — odpowiedział — geh schon schlafen — był całkiem zamroczony i te nedorzeczne pomysły potraktował jeszcze wyrozumiale, ale ona wciąż plotła swoje i zachowywała się tak, aż w końcu zrozumiał, mimo swego zamroczenia, że to nie są żadne żarty. Jak na to zareagował, tego sobie nie mógł przypomnieć, a nie był jeszcze na tyle trzeźwy, żeby się zbyt długo zastanawiać nad tym co zaszło.

— Die beiden sind Huren — powtórzył słowa Handta i zasnął twardo:

Obudził go tupot końskich kopyt, przenikający głuchym dudnieniem przez ściany domu. Okna pokoju nie wychodziły na podwórze i nie mógł zobaczyć co się na nim dzieje, ale turkot kół i skrzypnięcie wrót stodoły pozwoliły mu domyśleć się, że przywieziono zboże z pola. Spojrzał na zegarek, dochodziła ósma. Przypomniał sobie o danej obietnicy i wyskoczył z łóżka mimo bólu głowy, który dał o sobie znać, zaledwie otworzył powieki. Wciągnął szybko spodnie, obuł się i wyjąwszy z torebki jeden proszek poszedł do kuchni. Był wściekły

na siebie za wczorajsze pijaństwo i na teściową — za niepoczytalne pomysły, a ból głowy pogłębiał tylko jego złość i wprawiał w ponury nastrój. Na całe szczęście w kuchni nie zastał nikogo. Zażył proszek, umył się i wyszedł czym prędzej na dwór. Deszcz wisiał w powietrzu, ciężkie chmury przelewały się po niebie. W stodole dziadek Gottlieb z Richardem stali na opróżnionym do połowy wozie i podawali widłami snopki. Helmuth z dziewczyną układali je na brogu. Na jego mrukliwe powitanie odpowiedzieli chóralnie i przerwali na chwilę pracę. Helmuth wskazał na mokrą od potu koszulę:

— Ależ parno, udusić się można.

Paul spojrział na niebo.

— Nie zdążycie zwieźć wszystkiego, zaraz będzie deszcz. Ile jeszcze zostało na polu?

— Dwie dobre fury — westchnął dziadek — nie zdążymy.

— Pomogę wam — powiedział Paul i dodał usprawiedliwiająco: — zasnęłam, do licha, dlaczego ktoś mnie nie zbudził.

Podszedł ku przodowi wozu, gdzie dziadek Gottlieb wsparłszy się o widły posapywał ze zmęczenia. — To już nie dla was robota — rzekł wyciągając ku niemu rękę — zejście, zastąpię was.

— Esce mogę — stęknął stary, ale nie ociągał się. Ostrożnie zszedł z wozu, a gdy stanął na klepisku, powiedział — Siłę to esce w kościach mam, tylko tchu już w piersiach nie staje.

— Parno dziś, to dlatego — odparł Paul — zapalcie sobie fajeczkę dziadku, a wody przynieście do popicia dla nich, bo już wypocili wszystko z siebie.

— Wej, mosz recht — rzekł dziadek. Zapiął guziki

kamizelki i skierował się ku wyjściu. — Ja to się nie pocę — dodał mimochodem — jestem suchy jak wiór.

Paul wspiął się na wóz i wzięwszy widły do ręki stanął naprzeciw dziewczyny. Klęczała na ścianie snopków wysoko, prawie przy wiązaniach dachowych, w sporej odległości od wozu. Richard podawał Helmuthowi, który stał na dole brogu bliżej wrót i kładł nową ścianę. Duszne powietrze było przesycone zapachem pszenicznej słomy i złotawym pyłem. Dziadek Gottlieb zatrzymał się na progu i popatrzywszy na niebo pokręcił głową. Potem starczym sztywnym krokiem podreptał w stronę domu.

Paul w milczeniu ciskał snopki. Dziewczyna chwytając je w locie i układała równo, wznosząc żółtą pachnącą ścianę zboża coraz wyżej. Stopy jej ślizgały się po słomie i nogi co chwila grzęzły prawie do kolan między snopami, a wtedy traciła równowagę i spódnica podsuwała się jej do góry, obnażając uda. Zakrywała je za każdym razem z mechaniczną obojętnością, choć dostrzegała, że Paul wciąż kieruje na nie wzrok. Widok ten przykuwał jego uwagę, ale nie podniecał go; czuł jej niechęć, która mogła być też nienawiścią, a jej dziewczęcość wydawała mu się jeszcze nie rozkwitła czy też zatrzymana w rozwoju.

Gdy w miarę wyrzucania snopków zbliżył się do Richarda, zapytał go półgłosem:

— Jak jej na imię?

— Maryśka, ale tu ją wołają Maria Anna.

— Dlaczego?

— Tak ma w papierach — odparł chłopak.

Dziewczyna musiała coś usłyszeć albo domyśliła się, że o niej rozmawiają, bo popatrzyła na nich podejrzliwie i wydeła lekceważąco usta. Paul poczuł się tym

dotknięty i cisnął snopkiem tak, że zmusił ją do gwałtownego skoku. Spod zadartej spódnicy znów błysnęły uda. Teraz ostentacyjnie odwrócił wzrok. Była zabawna i nawet dość ładna w niemych oburzeniu, z jakim potraktowała jego żart, ale nie miał ochoty do dalszego żartowania. Wrócił myślami do zdarzeń z ubiegłej nocy i do przykrych następstw, jakie musiały za sobą pociągnąć. Obecnie nie pozostawało mu nic innego, jak wynieść się stąd czym prędzej, jak najdalej od tego domu, który zamienił się w burdel i był pełen łajdactw osaczających go ze wszystkich stron. Potrzebował trochę czasu, aby jakoś upozorować nagły wyjazd. Może najpierw uda się do Osterode albo najchętniej do Al-lensteinu i wyszuka kwaterę, a później coś wymyśli, nawrót choroby na przykład. To całkiem dobry wykręt. Może powiedzieć, że odczuwa dotkliwie bóle głowy i pod tym pretekstem pojedzie, a później powie, że dostał skierowanie do szpitala.

Ostatni snopek poleciał z wozu. Maria Anna znów klęczała wsparta plecami o belkę wiązania dachowego Richard dyszał ciężko i ocierał pot z czoła rękawem koszuli. Helmuth wskazał ręką na podwórze:

— Nic z tego — powiedział — już pada.

Podmuch wiatru wtargnął do stodoły, unosząc z klepiska luźne źdźbła. Grube krople deszczu zabębniły po dachówkach. Przez podwórze dreptał dziadek z fajansowym dzbankiem i zanim dotarł do stodoły, gwałtowna fala dżdżu zmoczyła go porządnie.

— Koniec roboty — rzekł Paul — Richard, zaprowadź konie do stajni.

Dziadek Gottlieb skinął głową:

— Jo, Richard, poczniesz krzynę, a potem gnój spod

świń trzeba wyrzucić. Starczy na to czasu do wieczora, bo zaniósł się, że hej. A ty, Marianka...

— Wiem, co mam robić — przerwała mu opryskliwie.

— No jo — rzekł dziadek.

— Całkiem nieźle się uwijała — powiedział Paul — przeegzaminowałem ją zdrowo, aż sam się spociłem.

Popatrzyła na niego przychylniej.

— Trochę dokuczyłem, co? — uśmiechnął się — to dla żartu. Przy takiej robocie powinno być wesoło.

— Zależy komu — odpowiedziała.

— Racja — mruknął — o tym nie pomyślałem — wzrok jego padł na podrapane i pokłute kłosami nogi dziewczyny.

— Do zwózki trzeba brać spodnie. Szkoda skóry.

— Trzeba je mieć — westchnęła dziewczyna — naszej skóry nikt nie żałuje.

— Zauważyłem już to wczoraj. Es ist eine Schweinerei — zwrócił się do Helmutha.

— Was?

— Powiem ci później — rzekł po niemiecku.

Na twarzy dziewczyny pojawił się smutny uśmiech.

— Zrobię co będę mógł, by poprawić waszą dolę — powiedział do niej — może mi się uda.

— Wątpię — odparła.

— O czym rozmawiacie? — zapytał Helmuth.

— Powiem ci później.

Wypili wszystką wodę z dzbanka i czekali aż przeminie pierwsza ulewa. Richard wyprzągnął konie i trzymając je za wędzidła poczłapał w kierunku stajni. Maria Anna nie kwapiła się z odejściem, zsunęła się ze swego stanowiska na górze i stała przy tylnych wrotach stodoły oparta o ścianę, obrócona do wszystkich plecami. Dopiero gdy deszcz trochę zelżał, poprawiła

chustkę na głowie i wyszła tym samym co wczoraj powłóczystym krokiem. Paul uchwycił wzrok dziadka wyrażający dobroduszone pobleżanie.

— Harda dziewczyna — mruknął do starego.

— No jo — rzekł dziadek — honorowa. Tak trzeba być.

— O czym mówicie? — zapytał Helmuth.

— Et tam. O niczym — rzekł Paul. — Gdzie ojciec? Chłopak skrzywił się.

— On ma zawsze jakieś sprawy, kiedy jest robota. Poszedł z samego rana do gminy, mówił, że do Bauernführera, kto go tam wie. Pewnie wróci przed wieczorem, zalany.

Dziadek westchnął i chciał coś powiedzieć, ale się wstrzymał, spojrzawszy tylko porozumiewawczo na Paula, który uśmiechnął się ironicznie i powiedział:

— On się już nie zmieni. — I zwrócił się do chłopca. — Słyszałem, Helmuth, że nie masz chęci do gospodarowania.

— Pewnie, że nie. Będę mechanikiem jak ty, z tą różnicą, że nikt mnie nie zaciągnie do roli.

— To był przypadek. Można powiedzieć nieszczęśliwy wypadek, ale skończyło się.

— Nie zostaniesz u nas?

— A ty byś został na moim miejscu?

— Pewnie że nie.

— No widzisz.

— Szkoda. Nawet nie chcę o tym myśleć, jak tu będzie wyglądało za parę lat.

— Może nie warto — mruknął Paul.

Dziadek Gottlieb wydobyl fajkę i pudełko z tytoniem, patrzył na nie w skupieniu, zwalczając w sobie pokusę, a potem podniósł kołnierz kubraka i wkroczył

w siąpiący deszcz z takim pośpiechem, jakby obawiał się, że zabraknie mu odwagi do pokonania mokrej przestrzeni między stodołą a młynem, do którego zmierzał na ukos przecinając podwórze.

— Może byśmy poszli do wsi — powiedział Helmuth — zwariować przyjdzie z nudów.

— A tam przypuszczasz, że nie?

— Wstąpilibyśmy do Izbrandtów, zobaczyłbyś jaka ładna panna wyrosła z Jutty.

— Ta mała zawsze była podobna do matki.

— Wcale już nie mała — rzekł Helmuth. — Skończyła szesnaście lat i za rok będzie zdawać maturę.

— Taak? — Paul udał lekkie zdziwienie — nie pamiętam, kiedy ją ostatni raz widziałem.

— Wiesz, chodzimy ze sobą — Helmuth przybliżył się i oparł łokciami o drabinę wozu — ona miała w Elbingen jakiegoś chłopca, ale to taki sztubacki flirt, niepoważny — mówił ścisząc głos, jakby obwieszczał Paulowi wielką tajemnicę — pokłócili się przed wakacjami i napisała do niego pożegnalny list. Dała mi go przeczytać. A teraz chodzi ze mną i nie wiem, czy jej wierzyć czy nie.

— Tylko głupi wierzy, lepiej bądź ostrożny. A w ogóle nie zawracajbyś sobie głowy dziewczynami, nie ma do czego się śpieszyć. Mówię z doświadczenia — zaśmiał się.

Helmuth rozmarzonym wzrokiem wodził po ściekających z dachu strumyczkach wody.

— Powiedziała, że mnie kocha. Mam zresztą tego dowody, ale wciąż jestem nieufny.

— To bardzo dobrze — rzekł Paul — nie należy zanadto ufać kobietom. Chociaż Jutta wygląda na dobrą dziewczynę.

— Chciałbym z tobą porozmawiać dłużej na ten temat.

— Proszę bardzo.

— Tu nie ma przed kim się zwierzyć, sam rozumiesz.

— Owszem, rozumiem. Możesz teraz.

— Nie. Teraz nie. Chcę, żebyś zobaczył najpierw, jaka z niej fajna dziewczyna. Mówię ci, Paul, ona jest naprawdę piękna, nie widziałeś jej parę lat i nie wyobrażasz sobie, jaka się zrobiła z niej piękność.

— Była podobna do matki, więc sobie wyobrażam. Helmuth machnął ręką:

— Co tam stana, to nie ma żadnego porównania. Wiesz, ona, to znaczy matka, jest za mną, mogę do nich przychodzić, ile chcę, ale ojca to nie lubi, nawet domyślam się dlaczego.

— Jak ciebie nie wyrzuca, to nie potrzebujesz się tym martwić.

— Nie martwiłbym się, żeby pozwalała Jutcie wyjść ze mną wieczorem do gasthausu albo pojechać do miasta na dansing.

— A co? Nie pozwala?

— Stara jest strasznie zacošana.

— Przyznam, że nie wygląda na to.

— Możliwe, ale trochę przesadza. Nie można trzymać dziewczyny jak cielę na łańcuchu.

— Myślę, że jednak wie, co robi.

— Gdybyś poszedł ze mną, może by ją puściła.

Paul pokiwał głową.

— Można by spróbować — mruknął.

— W gasthausie teraz pusto, pogadalibyśmy sobie swobodnie, piwa można się napić albo wina, całkiem inny nastrój niż w domu.

— Ojciec na pewno będzie w knajpie.

— No to co. Myślisz, że coś powie? — chłopiec skrzywił się lekceważąco.

Paul spojrział na niebo. Chmury przelewały się nisko i znów deszcz zaczął mocniej padać.

— Można by pójść, ale zmokniemy do nitki — wskazał dłonią na niebo.

— Weźmiemy płaszcze. Przecież masz.

— Ostatecznie mogę wziąć celtę — nie był całkiem zdecydowany i wciąż spoglądał w niebo — ależ leje — mruknął — nie wiem czy warto.

Helmuth chwycił go za ramię i pociągnął w stronę wyjścia:

— Chodź, chodź szkoda czasu, nie będziesz żałował.

— Piwa to bym się napił — rzekł Paul — jest chociaż u was piwo?

— Nigdy nie brakuje. Tych paru pijaków nie nadąża wypić wszystkiego. Chodź.

— Niech będzie — mruknął — rzeczywiście to najlepsza rzecz w taką pogodę.

Pędem przebiegli dziedziniec rozbryzgując wodę w kałużach.

Brigitte Izbrandt zbladła z wrażenia i przez dłuższą chwilę nie mogła wymówić ani słowa, ale zaraz odrobiła z nawiązką moment milczenia. Usta jej nie zamykały się przez dobrą chwilę i dopiero po licznych och i ach ucałowała Paula w oba policzki jak brata lub kogoś bliskiego, co było całkiem naturalne, gdyż łączyła ich przyjaźń, choć od wybuchu wojny nie odwiedził jej ani razu w czasie swoich nielicznych urlopów. Zrobiła mu z tego powodu, kiedy już wymienili wszystkie okolicznościowe zdania, żartobliwą wymówkę,

a on — trochę tym zażenowany — bąknął usprawiedliwiająco:

— Przecież sama wiesz jak to jest, gdy człowiek przyjedzie na kilka dni. Zanim się obejrzy, urlop minął.

Zmieszany jej bliskością i serdecznym powitaniem, wykonał niezręczny zwrot i wyciągnął rękę do Jutty, która stała obok wysoka i zgrabna, o ładnych złotawych włosach skręconych w modne francuskie loki. — No, no, nie do wiary — powiedział i przeniósł wzrok na Brigitte — wyglądacie jak siostry.

Brigitte potrząsnęła przecząco głową. Miała też złociste włosy ze śladami niedawnej ondulacji. Ujęła w palce pasmo za uchem i pokazała:

— Zobacz, już siwieję. Niestety, nie da się ukryć. — Pogodny uśmiech zniknął z jej twarzy. — Z każdym dniem ich przybywa — westchnęła. — Od pięciu miesięcy nie mam żadnych wiadomości od Georga. Nawet nie wiem, gdzie teraz jest.

— Jak to nie wiesz?

— Ostatnio był na Bałkanach, w Grecji czy Macedonii, a teraz nie wiem. Listy nie dochodzą, czy też nie pisze? Nie wiem — otarła łzy wierzchem dłoni i odwróciła głowę.

— Różnie bywa z tą pocztą — powiedział — wszędzie są trudności komunikacyjne i listy masowo giną, albo przychodzą nie te, co trzeba.

— Tak — skinęła głową i zmusiła się do śmiechu — ale to nie powód, żebyśmy stali pośrodku kuchni. Chodź do pokoju, musimy przecież pogadać.

— Nie — odparł — nie przeszkadzaj sobie. Wpadłem tylko, żeby się przywitać. Później przyjdę, jak będziemy wracali.

— A ja myślałam, że specjalnie do nas przyszedłeś. Wstydz się, Paul!

— Wybieram się tu na całe popołudnie, ale teraz pozwól spragnionemu żołnierzowi skoczyć na piwo — żartował — mam straszną ochotę na piwo, a my jak zaczniemy gadać, to chyba potrwa, nie?

Brigitte pogroziła mu palcem:

— Pójdiesz i ugrzęzniesz w knajpie.

— Nie. Załatwimy to po żołniersku, eins, zwei, drei i wracamy.

— Nie wierzę ci.

— Weźmiemy Juttę ze sobą, przypilnuje nas — powiedział i uśmiechnął się zadowolony, że mu to w ostatniej chwili przyszło do głowy. — Pójdiesz z nami, Jutta?

Dziewczyna spojrzała na matkę pytająco. Na jej gładkich policzkach wystąpił rumieniec emocji. Jako dziecko była trochę podobna do Shirley Temple. Paul przyglądał się jej z zachwytem. W początkach swego małżeństwa, zanim niepłodność Lotty stała się faktem stwierdzonym, marzył o córeczce, takiej jak Jutta, a właściwie do ostatka nie rezygnował z tego marzenia, które nigdy nie miało się spełnić. Na myśl o tym westchnął i odwrócił wzrok od dziewczyny ku matce.

— No, pozwól jej — powiedział — rozerwie się.

— Niech idzie — rzekła — tylko nie siedźcie długo. Ale wobec tego, Paul, zapraszam ciebie na obiad. Was obydwu, naturalnie — zwróciła się do Helmutha.

Chłopak milcząco skinął głową. Był onieśmiewony.

— To jest pierwszorzędna myśl — powiedział Paul — wcale nie zapomniałem, jak świetnie gotujesz.

— Ty pochlebco — klepnęła go po ramieniu — tylko przyjdź.

— Zu Befehl — zawołał i stuknął obcasami. Brigitte uśmiechnęła się przyjaźnie.

Musieli poczekać chwilę na Juttę, która pobiegła do pokoju włożyć odświętną sukienkę. Wybiegła w podskokach, a Brigitte spojrzała znacząco na Paula.

— Przyznaj się, że tylko po to przyszedłeś, łobuzie. To on ciebie podszyftował — wskazała na Helmutha.

— Jesteś inteligentną kobietą, ale się mylisz, ten pomysł przyszedł mi w ostatniej chwili do głowy.

— Narzekała, że jej nigdzie nie puszczam?

— Trochę, nie za wiele. Każdy by narzekał.

— Nie mam zaufania do Handtów — powiedziała oschle.

Chłopiec poczerwieniał i chrząknął.

— Każdy odpowiada za siebie.

— Słusznie — rzekł Paul — Helmuth zasługuje na zaufanie, o ile go znam.

— Wy wszyscy zasługujecie — powiedział z ironią.

— I ja? — udał zdziwienie — co masz do mnie?

Jutta wyszła z pokoju w płaszczu i z parasolką w ręku. Uśmiechnęła się zalotnie do Paula, ale on przyjął to jako wyraz wdzięczności za to, że ją wypuścił na wolność. Popatrzył z ukosa na Brigitte, niepewny czy powinien serio traktować jej poprzednią ironię i dostrzegł na twarzy młodej kobiety ten sam zalotny uśmiech, co u jej córki. „Do diabła — pomyślał — czyżby im wszystkim, czy też mnie coś na mózg uderzyło?”.

Do gasthausu nie było daleko, ale deszcz siąpił, a zimny wiatr zacinał uparcie w oczy i wyrywał dziewczynie z rąk parasolkę. Przez całą drogę walczyła z nią, przytrzymując drugą ręką pod szyją kołnierz płaszcza,

robiła to zgrabnie i z wdziękiem, który odziedziczyła po matce, ale zauważył w tym jeszcze trochę miejskiego szyku i to spodobało mu się. Z małej Shirleyki wyrosła naprawdę piękna dziewczyna, aż pozazdrościł Helmuthowi. Poczul się nawet skrępowany, gdy Jutta zaczęła się do niego wdzięczyc, jakby miała zamiar go uwieść. Helmuth z tego oczywiście powodu natychmiast posmutniał i siedział zgaszony ze wzrokiem utkwionym w kuflu piwa. Wszystko wydało się Paulowi okropną dziecinadą, w którą nie chciał być w żaden sposób wmieszany bez względu na to czy dziewczyna próbowała tylko podrażnić chłopca, czy też sprawdzała na dorosłym mężczyźnie uwodzicielską siłę swych rozkwitających wdzięków. Ponadto śmieszyło go, że Jutta każde zdanie zaczynała od: Herr Obergefreiter.

— Mów mi po prostu Paul — rzekł do niej. Obergefreiter w wojsku znaczy tyle co starszy parobek. Jak byłaś małą dziewczynką, to znaczy nie tak dawno, mówiłaś mi zawsze Paul. Co ci strzeliło do głowy?

Poczerwieniała i umilkła na chwilę, a potem odparła:

— Dzieci sobie na wiele pozwalają.

— Niech ci się zdaje, że jesteś dzieckiem.

— Ale nie jestem.

— Czy wobec tego chcesz, żebym do ciebie mówił Fräulein Jutta?

— Och nie — pokręciła przecząco głową, wprawiając w falisty ruch całe bogactwo złotych loków — nie, w żadnym wypadku.

— Zatem w porządku, wiemy już czego się trzymać.

Popatrzyła na niego wymownie, ale więcej odczuł w tym spojrzeniu zalotności niż zrozumienia jego intencji. Ostatecznie było mu wszystko jedno, nie miał za-

miaru wykorzystywać jej dobrych czy złych chęci, tym bardziej, że żał mu było chłopca.

Helmuth przełamał wreszcie swoje przygnębienie i wskazał na Eisernes Kreuz.

— Nie miałeś tego ostatnim razem. Za co go dostałeś?

— Sam nie wiem, dają według rozdzielnika.

— Żartujesz, to wysokie bojowe odznaczenie — rzekł Helmuth z powagą — uczyliśmy się, że można je otrzymać tylko za wybitny czyn bohaterski na polu walki.

— Z tym różnie bywa — odparł Paul. — Mój kumpel Krebs siedział w latrynie i miał takie szczęście, że akurat granat eksplodował w samym dole. Nikt nie został wprawdzie zabity, choć było ich tam wtedy sześciu, ale Krebs oberwał parę odłamków w tyłek. Kiedy wrócił ze szpitala, miał już na piersi blachę i baretkę za rany...

— To kawał — przerwał mu Helmuth.

— Wcale nie. Tak było, a ten Krebs to był dzielny chłop i zasłużył na medal znacznie wcześniej, ale go dostał dopiero za rany na dupie. Co do krzyża, otrzymałem go pod Kurskiem za wyniesienie spod ognia naszego lejtnanta, który został ranny w czasie kontrnatarcia. Nie spodziewałem się, że jego tatuś jest generałem. Żał mi było chłopaka, przyszedł do nas prosto ze szkoły oficerskiej, taki młokos, dwadzieścia jeden lat. Dostał Ritterkreuz.

Chłopiec wciąż spoglądał na niego z niedowierzaniem i widać było, że w głowie mu się nie mieści taki banalny przebieg bohaterskich spraw, był naładowany heroizmem i brakło w nim miejsca na rzeczywistość, jaką mu przed chwilą objawiono. Coś jednak w jego młodzieńczej łepetynie zaczynało kiełkować, jakieś

wątpliwości jeszcze niezbyt jasne, jakieś rozterki jeszcze nie uświadomione. Rozejrzał się niespokojnie dokoła. Siedzieli w kącie pod oknem dość daleko od bufetu, a oprócz nich w obszernej sali nie było nikogo. Mimo to nachylił się w stronę Paula i zapytał ścisząc głos:

— Powiedz, Paul, czy naprawdę tak źle z nami?

— Co ja mogę wiedzieć. — Przechylił kufel i zanurzył usta w piwie — za dobrze nie jest — mruknął po chwili. — Oberkomando dokonuje strategicznych odwrótów, ale ma jeszcze dość wojska, żeby przejść do potężnego przeciwuderzenia. Całkiem możliwe, że tylko czeka na Wunderwaffe i w odpowiedniej chwili zmiażdży wroga jak żabę.

— Ja też tak myślę — rzekł Helmuth — najważniejsze, żeby przetrzymać napór i nie wpuścić Rosjan w nasze granice.

— To będzie bardzo trudne.

— Na nas, Wschodnioprusakach spoczywa wielka odpowiedzialność — rzekła Jutta — ma być powołany Volkssturm. Gauleiter Koch już zapowiedział przez radio: Cały naród stanie pod bronią.

— Mówiłem już wczoraj Helmuthowi — mruknął — wojna jest straszna i kto nie widział walk frontowych, nie może sobie nawet wyobrazić jak to wygląda, co to znaczy. Nie życzę wam, żebyście musieli je przeżywać we własnym kraju.

Patrząc apatycznie na swój kufel postanowił przesliznąć się między prawdą a kłamstwem i zaczął im opowiadać o pochodzie na Moskwę i o wielkiej bitwie w rejonie Smoleńska, gdzie po raz pierwszy przeżył ogień zaporowy artylerii, natarcie i szturm. To było coś w sam raz dla ich uszu, spragnionych chwały niemieckiego oręza.

Drzwi wejściowe skrzyknęły cicho, na salę weszli sklepikarz Kaleta i bezręki inwalida z pierwszej wojny światowej, Maleski. Paul nie był z nimi w wielkiej zażyłości, ale oni pozdrowili go z daleka i zaraz przywołali do bufetu na kieliszek sznapsa. Magiczna siła munduru działała na wszystkich jednakowo.

— Nie wypada starszyźnie odmówić — szepnął do Jutty — zaraz wróć.

Był już po trzech kuflach piwa i przyszła mu ochota na sznapsa, a poza tym nadarzała się szczęśliwa okazja do pozostawienia Helmutha sam na sam z Juttą. Frau Lammers, urzędująca ospale za ladą, ożywiła się nieco, zwłaszcza że ledwo zdążyła napełnić kieliszki, gdy w drzwiach gasthausu pojawił się rybak Krause, który od progu krzyknął: halt i zwawo pokuśtykał do bufetu z ręką wzniesioną do góry gestem żandarma, regulującego ruch pojazdów na skrzyżowaniu. Frau Lammers bez słowa dostawiła czwarty kieliszek. Krause pozostawał z nią w dobrych stosunkach, bo jak każdy rybak przepijał większą część swoich połowów w jej lokalu. Obdarzono go przezwiskiem Rheumatismus, gdyż stale rozpowiadał o swojej chorobie, zwłaszcza gdy się napił a lubił gadać i dobry humor nie opuszczał go nigdy, mimo że choroba dokuczała jego obrzękłym stawom przy każdej zmianie pogody. Pił wtedy więcej niż zwykle. Za jego sprawą usiedli za stołem, na którym znalazła się butelka rumu oraz dzbanek ersatzherbaty, pili więc grog, napój marynarzy i rybaków.

Paul był bardzo rad ze zmiany towarzystwa. Żaden z kompanów nie pragnął usłyszeć jego opinii co do dalszych losów wojny.

— Taka między nami stanęła umowa — tłumaczył Krause — że nie gadamy o tym. Inaczej kieliszka sznap-

sa nie można by wypić. Wprawdzie Maleski nie donosi, ale jako Parteigenosse wie wszystko najlepiej. Kaleta słucha pilnie doktora Goebbelsa i innych mędrców, ale kiedy tylko ktoś zacznie rozmowę na tematy polityczne zaraz odchodzi, a ja mam w tyłku cały świat i pół Ameryki. Tak więc, bracie, z nami możesz wypić spokojnie. Prosit! — odstawivszy kieliszek przechylił się nad stołem i dodał cicho: — z tymi gówniarzami lepiej bądź ostrożny.

— W tych sprawach nie mam nikomu nic do powiedzenia — odparł — dlatego się zastrzegłem.

— I dobrze — rzekł głośno Krause — dziś ściany mają uszy, nawet we własnym domu.

Paul chciał odpowiedzieć, że to nie jego dom, ten o którym myśli, ale zaczęli wypytywać go o różne szczegóły życia żołnierskiego, dla porównania z własnymi wspomnieniami, bo każdy z nich brał udział w tamtej wojnie i czuł potrzebę powrotu w ten czas bohaterki oraz potrzebę podkreślenia własnej roli. Była to rozmowa bezpieczna i sprzyjająca szybkiemu opróżnieniu butelki. Kiedy ją wysuszyli, przeszli na piwo i wszyscy czterej zgodnie uznali, że nadeszła pora pomówić o różnych sprośnościach, w jakie obfitują wspomnienia wojaków. Frau Lammers, gdy zaczęli opowiadać kawały, opuściła bufet i odeszła do mieszkania, sąsiadującego z salą gospodnią, skąd w każdej chwili można było ją przywołać dzwonieniem w kufel.

Paul zdawał sobie sprawę, że jest solidnie podpity i że ogarnia go coraz większe podniecenie wcale nie z powodu zwietrzałych anegdot, jakie sobie opowiadali. Słuchał ich i uśmiechał się machinalnie, a w duchu snuł natrętne myśli o własnych nie zaspokojonych potrzebach, z jakich nie miał zamiaru przed nikim się

zwierzać. Roily mu się na jawie jakieś nieokreślone kobiety, które bezwiednie obdarzał kształtem lub twarzą Brigitty, jakby dla przypomnienia, że ma niebawem pójść do niej na obiad. Pamiętał o tym i od czasu do czasu dawał Jutcie znak, że już niedługo.

— Muszę jednak iść — powiedział wreszcie spoglądając na zegarek — mam jeszcze gdzieś wstąpić.

— Co tam, nie gadaj głupstw — Krause przytrzymał go za ramię — mój rheumatismus siedzi cicho to i ty posiedź.

— Kiedy na mnie też pora — rzekł Kaleta — zrobimy jeszcze jedną kolejkę przy bufecie i jazda.

Rybak nie ustępował, miał czas, pieniądze i nie ugaszone pragnienie.

— Pogadam ze starą, znajdzie jeszcze flachę rumu — powiedział. — Siedźcie do diabła, gdzie wam się śpieszy!

Paul jednak powstał.

— Innym razem — rzekł — moja chora głowa więcej nie wytrzyma — zrobił gest w stronę Jutty, dając jej znak, że już koniec — właściwie to mi w ogóle nie wolno pić.

— Ty, Kuntzig, albo jesteś żołnierzem albo nie — powiedział Krause i zaraz dodał — za moich czasów żołnierzowi tylko na warcie nie było wolno...

— Daj mu spokój, Emil — odezwał się Maleski — chłop ma recht, dosyć na dzisiaj.

Rybak markotnie zaglądał każdemu w oczy wyrażając tym swoje rozczarowanie.

— To jest właściwe zakończenie — rzekł Maleski.

Wracając do stolika młodych Paul starał się iść prosto i pewnie.

— Nie patrzcie na mnie — powiedział stając przy

nich. — Jestem zalany jak wieprz ale... przy... przytomny — powiódł wzrokiem po ich zakłopotanych twarzach — wie... wierzycie mi czy nie?

— A pamiętasz, że mamy iść na obiad? — zapytała Jutta.

— Tttak, złotko, doskonale. I nie przyglądaj mi się, wiem, że jestem zalany.

— Troszeczkę.

— Solidnie. Bardzo mi przykro, ale wiem, wiem wszystko co trzeba i dlatego — spojrział na zegarek — wy... wy tu posiedzicie sobie pół godziny, a ja pójdę się trochę prze... przewietrzyć.

— Pójdziemy z tobą, Paul — rzekł Helmuth.

Paul machnął przecząco ręką.

— Nnie. Nie trzeba. Nie bójcie się, jestem całkiem przytomny, wystarczająco przytomny, aby wrócić do przytomności — zaśmiał się — a poza tym muszę iść do wychodka.

— Idź, zaczekamy — powiedziała Jutta.

Włożył płaszcz i czapkę. Wiedział, że będą patrzyli za nim i starał się iść prosto. Skreślił za budynek w stronę ustępów, a potem załatwiwszy potrzebę wyszedł przez boczną furtkę w płocie na polną ścieżkę. Pamiętał, że ścieżka wychodzi na drogę do młyna i że przy tej drodze, na skraju wsi, jest domostwo Izbrandtów, a w nim Brigitte oczekująca jego powrotu. Podśpiewywał cicho i pęczniał cały z podniecenia. Kroczył śpiesznie, popychany naporem wichury. Wpadł na ten pomysł, kiedy zobaczył uchyloną furtkę i tę ścieżkę, wiodącą miedzami do drogi. Wkroczył na nią bez żadnego namysłu i podśpiewując wyobrażał sobie, co to zaraz będzie, gdy zjawi się niespodzianie sam i powie Brigitte jak sprytnie wykołował dwoje szczeniaków.

Był bardzo podniecony wyobrażaniem sobie tego wszystkiego, ale w połowie drogi opadły go wątpliwości czy dobrze zrozumiał zalotny uśmiech Brigitty i czy Paul Kuntzig postępuje uczciwie, zamierzając uwieść żonę przyjaciela. Zanim dotarł do obejścia Izbrandtów, rozstrzygnął te pytania i uchylona żelazna furтка nie skusiła go, minął ją przyśpieszając kroku.

Przy młynie zatrzymał się i ostrożnie zajrzał do środka. Dziadka Gottlieba nie było, ale wygniecione miejsce na kupce świeżo skoszonej lucerny wskazywało, że niedawno tu siedział.

Usiadł opodal i otarł mokrą od deszczu twarz. Zastanawiał się przez chwilę czy by nie przespać się tutaj, gdzie nie zauważony przez nikogo mógłby pozostać, aż nadejdzie pora do pociągu, jednak przemoczony płaszcz odwiódł go od tego zamiaru. Wyszedł na dwór i stanąwszy pod okapem dachu patrzył na utracone dzieciństwo. Nie mógł oderwać wzroku od zabudowań okolnych zielenią sadu i tworzących zamknięty świat kolonii, a jednocześnie odczuwał ulgę, że się z niego wyrwał. Ogarnięty mieszanymi uczuciami stał obejmując ramieniem rzeźbiony słup, podtrzymujący podcienie.

Drzwi domu otworzyły się i na dwór z wiadrami w ręku wyszła Maria Anna. Popatrzyła w niebo, a potem skuliwszy ramiona skierowała kroki w stronę obory i zniknęła Paulowi z pola widzenia za węglem budynku stajennego. Nie wiadomo dlaczego poczuł się zawiedziony tym, że tak szybko stracił ją z oczu i nagle zrodziła się w nim ciekawość, jak to miastowe stworzenie daje sobie radę z dojeniem sześciu krów. Bez zasta-

nowienia ruszył w kierunku obory, obchodząc od tyłu stajnię. Trwało to nieco dłużej niż przejście przez dziedziniec, bo musiał obejść gnojownię i zarośla zdziczałego agrestu, ale nie miał szczególnego powodu do pośpiechu, chciał tylko zobaczyć, jak dziewczyna radzi sobie z dojeniem krów, nic więcej.

Gdy wszedł do obory, zobaczył wiadra na chodniku między boksami, ale Marii Anny nie było. Domyślił się, że wyszła bocznymi drzwiami do szopy, w której trzymano ściólkę. Między oborą a szopą, mieszczącymi się pod jednym dachem, był ciemny korytarzyk, skąd prowadziły schody na strych i do piwnicy, a prócz tego wejście do małej kłitki, gdzie dawniej mieszkał parobek. Postanowił tam zajrzeć, a Maria Anna musiała posłyszeć jego kroki, bo stąpał głośno i zderzyli się w drzwiach do izdebki w momencie, gdy z pośpiechem ją opuszczała. Pod wpływem tego zdarzenia, kiedy biodra ich starły się niespodzianie, w tym ciasnym korytarzyku, gdzie za mało było miejsca, aby się wyminąć, a za dużo ciemności, aby tego nie pragnąć, wszystkie złe myśli, które prześladowały go, wezbrały tak nagle, że nie potrafił się im przeciwstawić. Chwycił Marię Annę za ramiona i wepchnął z powrotem do izdebki. Próbowwała wyzwolić się z uścisku, jak jaszczurka wyginając ciało, ale trzymał ją mocno. Z obezwładniającą rozkoszą odczuwał jej bezradne szamotanie i umyślnie zwalniał uścisk, aby zachęcić ją do dalszych prób wyślizgnięcia się, które podejmowała uparcie, bez wytchnienia i bez żadnego okrzyku. W zupełnym milczeniu toczyli tę nierówną walkę, w której do niczego jeszcze nie zmierzał poza chęcią utrzymania w ramionach ciała dygocącego ze strachu, ale gdy niespodzianie wyrwała mu się z rąk i gdy, żeby ją zatrzymać, szarpnął za

bluzkę tak mocno, że puściły wszystkie guziki, wtedy ogarnęło go szaleństwo. Pociągnął bluzkę do tyłu i uwięził w ten sposób ramiona dziewczyny, przyciągając ją znów ku sobie. Zaniechała wszelkiego oporu, jakby siły opuściły ją ostatecznie i nie była już zdolna do żadnego odruchu ani nawet westchnienia czy jęku. Przytrzymał ją jedną ręką, a drugą zerwał ramiączka koszuli i obnażył piersi, dwa niewielkie wzniesienia, które nawet nie zasługiwały na swą nazwę.

Patrzył na nie z góry, na ich bezbronną niedojrzałość, znad pochylonej głowy dziewczyny, poprzez rozsypane puszyste włosy i nie mógł się zdobyć na żaden ruch więcej.

Ciało dziewczyny zaciążyło mu i nie widząc jej twarzy pomyślał, że zemdląca. Ogarnął go dziki strach, bo jednocześnie poczuł piekielny ból głowy a z nim zachwianie równowagi, zwiastujące początek ataku. Ostatnim wysiłkiem uniósł Marię Annę i posadził na pryczy, na nędznym sienniku wypchanym sieczką i przykrytym brunatnym kocem.

Ból, opasujący czaszkę jak ognista obręcz, odebrał mu całkiem zdolność myślenia; zataczając się wybiegł z izdebki.

O dziewiątej Handt ogolony, w odświętnym ubraniu, udał się do wsi, jak mówił, na zebranie, co oznaczało, że nie wróci wcześniej niż o trzeciej lub czwartej, o ile kompletnie pijanego nie zmoże po drodze sen i nie uwali się na polance w olszynie, tam gdzie zwykle, gdy mu już nogi odmawiały posłuszeństwa, robił odpoczynek, trwający parę godzin, zależnie od tego, ile wypił i jaka była pogoda.

Wkrótce po nim odjechali dwukółką dziadek Gottlieb, Frieda i Helmuth, a kiedy kurz, wzniecany kopytami konia, opadł i dudnienie na mostku oznajmiło, że wjechali w olszynę, Paul sprawdził jeszcze, co robią niewolnicy. Maria Anna była zajęta przygotowaniem obiadu. Koszyk wczesnych ziemniaków, kapusta, pęk marchwi i inne warzywa przeznaczone do obrania upewniły go, że dziewczyna nie upora się z tym prędzej niż za godzinę. Nie raczyła nawet na niego spojrzeć, gdy wszedł do kuchni ani gdy zaczerpnął kubkiem wodę z wiadra i pił ją powoli, przedłużając rozmyślnie chwile pobytu w kuchni ponad potrzebę. W pochyłych nad stołem barkach dziewczyny dostrzegał czujne napięcie czy jakby bezbronne i trwożne oczekiwanie tego, co się już raz zdarzyło i czego nie mógł odzłować. Był pewny, że ona — niiby zajęta obieraniem jarzyn — strzyże spłoszonymi oczami raz w lewo, raz w prawo, w miarę jak zmieniał miejsce. Zdawało mu się również, że dostrzega na chudych ramionach Marii Anny gęsią skórkę oraz że cała drży lekko, wietrząc niebezpieczeństwo i nie mogąc w żaden inny sposób mu zapobiec, jak tylko udawaniem, że je lekceważy. I znów nastąpiła w nim chwila wahania, czy nie wyprowadzić jej z błędu i nie uspokoić jakimś słowem życzliwym lub nawet obojętnym, ale przerywającym wrogą ciszę, pomyślał jednak, że przez to jedno słowo wdałby się zaraz w usprawiedliwiającą rozmowę, której wolał uniknąć, choć jednocześnie do pewnego stopnia pragnął, gdyż była to jedyna i ostatnia okazja, by mógł z nią porozmawiać na osobności i prosto w oczy wyjaśnić wszystko, co należało. Z kubkiem w ręku stał niezdecydowany przy oknie, ogarnięty wątpliwościami czy cokolwiek da się tu naprawić.

Postawił kubek na kredensie i wyszedł, nie powiedziawszy nic, z postanowieniem, że wróci.

Richarda znalazł na placyku za stodołą, przy torfie. Chłopcu też nie było dane próżnować nawet w niedzielę. Przesztawiał brykiety torfu, suszące się w piramidkach na słońcu i starczyło mu tego zajęcia do południa. Jego ruchy nabrały nagłej żywości, ale Paul rzucił mu paczkę papierosów, dając tym znak, żeby się nie wysilał.

— Nie śpiesz się — rzekł — bylebyś skończył do obiadu. Zawieziesz mnie na stację po południu. Odjeżdżam dziś.

— Miał pan być dłużej!

— Tak się złożyło — mruknął.

Richard nie wstając z klęczek wyprostował grzbiet. Wycierał ręce o spodnie i kiwał głową, jakby dawał do zrozumienia, że wie dlaczego wyjazd następuje tak szybko i że współczuje. Potem spojrzął na swoje palce, a uznawszy je za dostatecznie czyste, wyjął z paczki papierosa.

— Szkoda, że pan odjeżdża — powiedział — teraz będzie nam jeszcze gorzej niż było.

— Niewiele wam pomogłem — rzekł Paul — musicie jakoś wytrzymać, jeszcze trochę, może już nie długo.

— Prędzej zdechnę.

Paul nie odpowiedział. Wrócił do domu i wzięwszy z pokoju plecak, wyszedł cicho, zamykając za sobą drzwi.

W młynie panowała nie zmacona niczym cisza, półmrok, przesycony zapachem nakoszonej lucerny. Pełno starych gratów i różnych rupieci tarasowało drogę, ale znalazł przejście obok kamieni i wyminąwszy je odpiął

haczyk i otworzył małe drzwiczki wychodzące nad wodę, gdzie na skarpie była ławka, na której przesiadywał z dziadkiem Gottliebem. Chwilę zatrzymał się nad brzegiem wody, ale nie uległ pokusie spokojnej chłodnej ciszy, jaka panowała w tym ustroniu. Obszedł budynek dookoła i założył drzwi wejściowe żelazną zasuwą. Potem wrócił tą samą drogą. Odgarnął lucernę na kamienie i namacawszy w ciemnym kącie gwoździe wyjął je ze zmurszałych desek podłogi. Musiał jeszcze przesunąć stare toczydło, jakieś koryto i sita, rzucone w pozornym nieporządku i dopiero wtedy bez wysiłku rozsunał deski. Odgarnął piasek z kamiennej płyty, zamykającej wejście do jamy i wślizgnął się do niej. Była tak stara jak młyn i służyła za schronienie jeszcze w czasie wojen napoleońskich, jak twierdził dziadek Gottlieb.

Spod drewnianej płyty po omacku wydobyl podłużny pakiet owinięty natłuszczonym płótnem i obwiązany sznurkiem. Później wszystko starannie doprowadził do poprzedniego stanu. Kucnąwszy przy drzwiczkach odwiązał sznurek i rozwinął płótno. Pod warstwą wazeliny stał krótkiej lufy i zamka karabinu oparta się wilgoci. Rozścielił na podłodze jakiś podarty worek, wysypał naboje i zaczął je wycierać. Na żelaznych magazynkach również nie było śladu rdzy. Przeliczył naboje i starannie poupychał je między bielizną w plecaku. Zostało jeszcze dosyć miejsca na prowiant, który spodziewał się dostać, choć pomyślał, że przy skąpstwie teściowej i po tym, co między nimi zaszło, nie otrzyma zbyt wiele.

Rzucił worek do kąta i wyszedł na zewnątrz, po czym przymknął drzwiczki, podkładając pod nie kamień, by się nie otwierały. Położył plecak na ławce

i usiadł obok. Spojrzał na zegarek, upłynęła godzina, zostało dość czasu, żeby wziąć się do następnej sprawy, jaką odłożył, ale którą należało załatwić, aby mógł odejść z czystym sumieniem i żeby zło zostało naprawione, jeśli to w ogóle jest możliwe.

Patrzył na wodę, spływającą na koło przez szczeliny zastawy i cienkimi strużkami spadającą z łopat do koryta młynówki. Widok ten koił jego wielki smutek, jednak nie oswobadzał od poczucia winy. Czuł przy tym daremność układanych zdań i brak słów języka, który był właściwie ten sam, lecz w jego ustach ubogi w wyrazy odpowiednie do tego, co miał zamiar powiedzieć na swoje usprawiedliwienie. Gdyby Maria Anna знаła trochę lepiej niemiecki, wtedy może by jej jakoś wyjaśnił wszystko, ale tak czy owak za dużo było gadania, w tym co sobie układał, a powinna rzecz zamknąć się w kilku zdaniach.

Noc nie przespana ciążyła mu na powiekach. Wyciągnął nogi na ławce i oparłszy głowę o plecak leżał na wpół drzemiąc, zagubiony w jałowych rozważaniach, aż w końcu usnął.

W cichy szmer wody i bzyczenie owadów wdarł się zgrzyt żelaznej zasuwki głównych drzwi. Paul obudził się przedtem, nie spał długo, tylko leżał z zamkniętymi oczami w tępych rozleniwieniu, nie mogąc zdecydować się wrócić do domu i odbyć tę nieszczęsną rozmowę z Marią Anną, od której zależał spokój jego sumienia. Gdy zasuwka zgrzytnęła, nie otworzył nawet oczu, tylko obrócił się na bok nadstawiając zdrowe ucho ku ścianie. Drzwi skrzypnęły głośno, a potem usłyszał szuranie nóg i szelest lucerny. Bez trudu wyróżnił wśród szmerów dochodzących go z wnętrza budynku stąpanie Marii Anny. Nie była sama, ktoś jeszcze jej towarzy-

szył, zapewne Richard. Pomyślał, że przyszli się kochać, ale zaraz uprzytomnił sobie, że na to mają dość czasu w nocy, wygodnie i bez strachu. Co innego zatem musiało ich sprowadzić do tej rypieciarni. Zastanawiał się czy chrząknięciem nie zdradzić swojej obecności i usprawiedliwiał się w duchu, że cokolwiek usłyszy, nie wykorzysta tego przeciw nim ani nie zdradzi nikomu. Zresztą może tylko przyszli poszukać czegoś wśród gratów albo też wziąć lucernę dla buhaja. Nie mógł nic wywnioskować z rozmowy prowadzonej zbyt cicho i dopiero po dłuższej chwili usłyszał nieco wyraźniejszy głos Richarda:

— Czy to wszystko dla mnie?

— Tak — odpowiedziała Maria Anna — ale uważaj, bo patelnia gorąca.

Teraz Paul zrozumiał, z czym przyszli i dlaczego aż tutaj. Do jego ucha dotarł zgrzyt łyżki o dno naczynia.

— Gdzie on jest? — zapytał Richard.

— U siebie. Śpi z pewnością, to śpiący rycerz.

— Z niego całkiem niezły chłop — mruknął Richard niewyraźnie.

— Bałam się trochę, bo przedtem kręcił się po kuchni, jakby coś węszył.

— Chybaby nic nie powiedział. To niezły chłop.

— Może — potwierdziła po namyśle — ale nie ufam mu. Tu tylko jeden dziadek ma sumienie.

— Z Handtowej to też kawał dziry.

— Handt gorszy.

— No pewnie. Handt to ostatni skurwysyn. Niech ich jasny szlag trafi wszystkich.

Maria Anna zamilkła. Słysząc było tylko zgrzyt łyżki po patelni i odgłosy jedzenia. Dopiero po chwili dziewczyna odezwała się:

— Smakowało ci?

— Dobrze było. Żeby tak codziennie wrębać pięć jajek, to bym odżył.

— Pierwszy raz zdarzyła się taka okazja. To dlatego, że on jest. Samych nas by nie zostawili.

— Czy wiesz, że dziś wyjeżdża?

— Dzisiaj?

— Tak. Mówił mi. Odwożę go po obiedzie do stacji.

— To dziwne. Miał trzy tygodnie urlopu.

— Dlaczego dziwne. Jak mu baba nawiała, co ma tu robić, jeszcze z takimi teściami, ale szkoda, że jedzie. Przez te dni tylko dwa razy dostałem w mordę i jeden raz Helmuth mnie kopnął. Teraz znów zacznie się polka. Czuję, że to wiecznie pijane szwabskie bydło nas wykończy, mnie w każdym razie.

— Wszystko możliwe.

— Ciebie on trochę jeszcze oszczędza, wszystko skrupia się na mnie. Handt jest pewny, że śpiemy ze sobą.

Maria Anna milczała, Richard skrobał wytrwale łyżką dno patelni.

— Mój los jest w twoim ręku — mruknął po chwili.

Nie otrzymał odpowiedzi i sam nic nie mówił przez jakiś czas.

— Słuchaj Maryśka — odezwał się znów — nie sądz mnie źle, ale to i tak się stanie, prędzej czy później. Może dopiero jak on się mnie pozbędzie. Tego nie unikniesz.

— Wiem o tym.

— Ta świnią to zrobi z całą pewnością.

— Wiem.

— Gdybyś tylko chciała, mogłabyś sobie owinać go dookoła palca. Handtowa on nic nie obchodzi, nawet tyle co zeszłoroczny śnieg. Ona wcale nie widzi, że on

się do ciebie napala. Gdybyś chciała, mogłabyś go sobie owinać dookoła palca.

— Tak ci się tylko zdaje — powiedziała Maria Anna — to jest świnia do kwadratu.

— A ja ci mówię, że odetchnęlibyśmy. Taki starszy gość potrafi zabujać się na fest. W razie czego i starą wzięłby za hals i tego drańskiego bękarta. Mówię ci, że odetchnęlibyśmy.

— Tak się boisz kacetu?

— Boję się. Myśl sobie co chcesz, ale boję się. Ty nie potrzebujesz się bać, ale to, co powiedziałem, stanie się prędzej czy później, tylko że mnie już nie będzie na tym świecie. Zrozum, że chcę żyć.

— Bardzo dobrze rozumiem.

— A ty nie chcesz żyć?

— Już nie.

— Nie bądź głupia, wytrzymałaś tyle, trzeba wytrzymać do końca za wszelką cenę. Życie najważniejsze.

— Już nie chcę. Mam wszystkiego dość.

— Ja też dawno bym zdechł, gdyby nie nadzieja, że przyjdzie dzień, kiedy im bebechy powypruwam, wszystkim po kolei. A od tej grubej świni zacznę. To mnie trzyma.

— Wątpię, czy byś potrafił.

— Ja? Z zimną krwią. Nie jestem takim mięczakiem, za jakiego mnie uważasz. Znoszę te wszystkie codzienne bicia i kopania, bo muszę przeżyć. Mógłbym zarębać Handta choćby dziś, ale co by mi z tego przyszło, rozwaliliby mnie. Może tak zrobię, jak nie będzie innego wyjścia, ale na razie trzeba starać się wytrzymać za wszelką cenę. Przysięgam ci, że nie daruję niczego. Całymi dniami układałam sobie, jak to zrobię, wszystko do najdrobniejszego szczegółu.

— Nic z tego nie będzie.

— To zależy tylko od ciebie.

— Nic ode mnie nie zależy, ty głupcze — krzyknęła.

— Nie gniewaj się, mówię tylko jak jest. Powinnaś zrozumieć.

Paul usłyszał ciche łkanie dziewczyny. Leżał nie ruszając się, odrętwiały i przygwożdżony tą rozmową, która choć go nie tyczyła, bolała jednak, jakby uczestniczył w cierpieniu, hańbie i upodleniu tych dwojga wpędzonych w pułapkę bez wyjścia. Pot wystąpił mu na skronie, a blizna zaczęła pulsować. Dotknął palcami miejsca, wysyłającego ostrzegawcze sygnały. Zawsze w takich momentach zdawało mu się, że nadwerężona kość czaszki drga i puchnie. Szumiało mu w uchu i zląkł się, że zaraz dostanie zawrotów.

Za ścianą Richard znów zaczął mówić cicho, jak gdyby uspokajał Marię Annę, a potem Paul posłyszał jej przerywany łkaniem głos:

— Proszę cię, Rysiek, idź. Zostaw mnie.

Chłopak mówił coś półgłosem dość długo i Paul nie mógł zrozumieć ani słowa, domyślał się tylko, że Richard daremnie próbuje uspokoić dziewczynę.

— Zostaw mnie — krzyknęła nagle. — Idź sobie!

Potem nastąpiła cisza, a za chwilę drzwi skrzypnęły i Paul usłyszał oddalający się już na zewnątrz odgłos kroków. Przeczekał, aż ucichły całkiem, wtedy wstał i uchylił ostrożnie drzwi.

Maria Anna leżała bokiem na kupce lucerny z twarzą w niej ukrytą i osłoniętą chudym ramieniem. Ciało dziewczyny wstrząsało łkanie, nie usłyszała jak Paul wszedł i dopiero gdy podkute gwoździemi buty

zachrobotwały po podłodze, zerwała się, ale przerażenie nie dało jej powstać. Skuliwszy ramiona i kolana patrzyła na niego jak na widmo. Szeroko rozwarte oczy miały barwę lodu, widział w nich strach pomieszany z nienawiścią. To mu odebrało mowę, zatrzymał się o dwa kroki przed nią i milczał. Oboje milczeli długo, aż Maria Anna przerwała ciszę:

— Czego pan chce ode mnie?

— Dziś wyjeżdżam — powiedział — wyjeżdżam i więcej mnie nie zobaczysz. Nie patrz tak na mnie, ja wiem, że to było ostatnie świństwo, ale... ale...

— Czego pan chce?

Pytanie zabrzmiało trochę łagodniej i dostrzegł, że bladość ustępuje z jej twarzy, widział teraz zaczerwieniony nos, obrzmiałe od płaczu wargi, nawet nie obeschła wilgoć łez na policzkach nie uszła jego uwagi.

— Nie potrafisz zapomnieć o tym?

Próbowała uśmiechnąć się nie otwierając ust, z których jeszcze nie zszedł grymas płaczu, a może chciała tylko wyrazić zdziwienie lub szyderstwo.

— Tak panu zależy?

— Zależy mi — odparł — nie jestem skończonym bydlakiem jak mój teść.

Dziewczyna milczała, jej wzrok wymownie prześliznął się po nim i bez trudu zrozumiał, co miała na myśli.

— Choć noszę ten mundur zostało we mnie trochę uczciwości — powiedział — ale ty w to nie wierzysz, prawda?

— Dlaczego nie? Wierzę.

Teraz uśmiechnęła się naprawdę, trochę smutno, ale bez szyderstwa.

— Czy mogę usiąść? — wskazał ręką miejsce obok niej. — Nie bój się, łapy będę trzymał przy sobie.

Nie spuszczał z niej wzroku i dostrzegł natychmiast jak zastygła wewnątrz, nie potrafiąc ukryć wyrazu niechęci na twarzy ani odruchu ramion, podobnego do gestu obrzydzenia. Stał więc niezdecydowany i gotowy do zrezygnowania z zamiaru, lecz ona przemogła jakoś w sobie tę niechęć, nie zwalczwszy jednak wszystkiego do końca, bo powiedziała bezbarwnym głosem — proszę — a potem jakby w niej coś odżyło i powtórzyła trzeci raz z akcentem podniecenia:

— Czego pan chce?

Usiadł, ale znów pytanie zmroziło go i stracił całą swobodę, jaką zaczynał odzyskiwać pod wpływem złudzenia, że udało mu się przełamać w niej nienawiść. W milczeniu patrzył na nią i ona milczała nie uchylając wzroku.

— Nie mów do mnie pan — powiedział — wyglądam staro, ale mam dwadzieścia osiem lat. Możesz mi mówić ty, jak do przyjaciela. Czy poza tym jednym razem nie byłem do ciebie przyjaźnie usposobiony?

— Owszem, zauważyłam to.

— Nie jestem twoim panem. Nie mam z tym nic wspólnego.

— Każdy Niemiec jest naszym panem.

— Ale ja nie jestem Niemcem.

— Tym gorzej. Dlaczego pan służy w niemieckim wojsku?

— Proszę cię, mów do mnie Paul. Nie możesz nawet tego zrobić?

— Mogę.

— No więc. Nie zobaczymy się już nigdy w życiu. Dziś wyjeżdżam.

— Wiem. Mówił mi Rysiek... — Twarz jej nagle pokryła się rumieńcem i nie dokończyła zdania.

— Tak — skinął głową — słysszałem wszystko, o czym rozmawialiście. Leżałem na ławce, tam — wskazał ręką — i wszystko słysszałem.

Przymknęła powieki i odwróciła głowę na bok, włosy osłoniły policzek, ale dostrzegł jej zmieszanie.

— Słuchaj Mariann — powiedział łącząc oba jej imiona w jeden wyraz — słysszałem wszystko, ale ty nie rób tego, do czego ciebie namawiał Richard. Nie rób tego, choćby nie wiem co się działo — powtórzył z naciskiem. — Już niedługo waszej biedy. Rosjanie zajęli Białystok, podchodzą pod Warszawę i wnet tu będą. Nie rób tego Mariann, nie poddawaj się — chwycił ją za rękę zmuszając, żeby popatrzyła mu w oczy. — Nie zrobisz tego, prawda? Powiedz, że nie zrobisz.

Nie odpowiadała i przymknąwszy powieki zwiesiła głowę.

— Dlaczego milczysz? — zawołał i w tym momencie zrozumiał wszystko, jeszcze zanim otworzyła usta.

— Za późno — powiedziała szeptem — teraz za późno.

— Nieprawda!

Puścił jej dłoń i chwycił się za głowę. Chciał opłamać nagłe uderzenie krwi, ale było to nadaremne. Atak zaskoczył go. Po omacku szukał dla zachwianej równowagi jakiegoś oparcia. Trafił na korbę toczydła i przyłożył głowę do chłodnego metalu. Sprawilo mu to wielką ulgę.

Maria Anna siedziała przez cały czas bez ruchu i odwrócona nie dostrzegła jego cierpienia.

— Teraz już wiesz — odezwała się po chwili, a gdy nie odpowiedział, dotknęła jego ramienia — co tobie? — zapytała z przestrawieniem.

— Nic. Nic — powiedział nie odrywając skroni od metalu. — Jak się zdenerwuję, dostaję zaraz piekielnego bólu głowy, ale takiego, że zwariować można. I jeszcze do tego mam zawroty, jakbym był pijany.

— Może ci zrobić kompres? Przyniosę mokry ręcznik.

— Siedź! Nie trzeba. A zresztą dobrze, idź, u mnie w pokoju na nocnej szafce leżą proszki, przynieś jeden i trochę wody do picia.

— Może się położyć.

— Nie, tak mi lepiej — powiedział.

Był ogłuszony bólem i tym jednym słowem, które go wywołało. Przesunął głowę wzdłuż ramienia korby. Zimne żelazo przynosiło ulgę, nie na tyle jednak, by mógł wrócić do pełnej przytomności. Ledwie pojmował, o co pytała go Maria Anna. Jakieś niejasne przerażające pragnienia snuły mu się w myślach, wyławiał je z trwogą i daremnie usiłował opanować. Czuł, że dzieje się z nim coś niedobrego, przed czym ostrzegali koledzy, a ta groźba wydała mu się straszniejsza niż fizyczne cierpienie, które z wolna ustępowało.

Maria Anna wróciła prędko, jej zdyszany oddech świadczył, że biegła.

— Jak się czujesz? — zapytała.

— Już lepiej.

— Przyniosłam proszek i kompres.

Wyczuł w jej głosie nutę życzliwości i otworzył oczy.

— Trochę mi lepiej — powtórzył — to nigdy nie trwa długo, chociaż potem łeb boli parę godzin. Dawniej, to znaczy, gdy byłem w szpitalu, trafiało mi się często, dwa, trzy razy dziennie, teraz tylko jak się czymś zdenerwuję. To z tego postrzału — wskazał na bliźnę — czaszka niby nie naruszona, ale kto tam

wie. Nie prześwietlili. Lekarz mówił, że od wstrząsu mam trochę nadwężone ucho środkowe, tam gdzie mieści się Gleichgewichtsinn... nie wiem jak to po polsku.

— Może zmysł równowagi?

— No właśnie. Coś tam nie w porządku. Nic dziwnego, po takim sztosie, nie?

— To musi być bardzo bolesne.

— Jakby mi kto głowę ze wszystkich stron młotkiem obstukiwał. Zwariować można.

— Kompres powinien pomóc.

— Tak. To jest dobra rzecz.

Wziął od dziewczyny proszek, zażył go i popił wodą. Maria Anna przysunęła się bliżej do niego i obwiązała mu głowę mokrym ręcznikiem. Widział, że starała się zachować pewną odległość, jednak nie mogła uniknąć tego, żeby przez chwilę piersią nie dotykać jego twarzy. Odczuł policzkiem to niewielkie wzniesienie, które nawet nie zasługiwało na swą nazwę, ale mimo to spowodowało, że zadrżał.

— Dziękuję — rzekł.

Odstąpiła na krok i skinęła głową.

— Tak. Trzyma się dobrze — powiedziała. — Teraz muszę już wracać do roboty.

— Usiądź jeszcze na chwilę. Ja też zaraz pójdę — ujął ją za rękę. — Nie boisz się chyba mnie, prawda?

Stała niezdecydowana, ale nie oswobodziła dłoni.

— Może jesteś lepszy, niż myślałam.

— Tylko może?

— Chyba na pewno.

— To usiądź — powiedział puszczając jej rękę. Nie chciał, żeby zrobiła to pod przymusem.

Zajęła poprzednie miejsce i spojrzała na niego ba-

dawczo. Cień nieufności znów zasnął jej twarz i miał wrażenie, że swoim wzrokiem przenika jego myśli. Wytrzymał jej badawcze spojrzenie i zagryzł wargi. Wahał się czy zadać pytanie, które postanowił zadać, choć wiedział, że jest niestosowne i bolesne dla niej jeszcze bardziej niż dla niego. Musiał jednak, a ten wewnętrzny przymus był silniejszy od głosu rozsądku, który spowodował wahanie. Z tej sprzeczności wynikła chwila milczenia, podważająca poprzedni, prawie przyjazny nastrój.

— Słuchaj — rzekł wreszcie — czy ja ciebie dobrze zrozumiałem... czy naprawdę to się stało?

— Stało się — powiedziała oschle.

— Przepraszam. Trudno mi było uwierzyć.

— Myślisz, że mu się podłożyłam? O to ci idzie?

Przestraszył się brzmienia jej głosu i łez, które błysnęły w oczach.

— Nie! Nie! — rzekł pośpiesznie. — Nigdy!

— Kłamiesz! Tak myślałeś?

— Nie! Przysięgam ci, że nie — zawołał — po prostu... po prostu w głowie mi się nie może pomieścić, żeby... żeby... das ist für mich ein Greuel, verstehst du?

Zaprzeczyła ruchem głowy, a on nie mógł znaleźć odpowiedniego polskiego określenia i rozłożył bezradnie ręce.

— Ja nawet po niemiecku nie potrafię wyrazić tego, co czuję i teraz dopiero wiem, jak musisz mną pogardzić — powiedział ciszej. — Co za okropność. Mein Gott! Mein Gott! Ale ja tego nie chciałem, Mariann, to był chwilowy wybuch... zamroczenie umysłu, nigdy bym tego nie zrobił... diese Greueltat... niemożliwe, że bym mógł zrobić...

Spojrzała na niego życzliwie.

— Nie zrobiłeś i to wystarczy — rzekła.

— Zawsze uważałem taki czyn za największą podłość, jaką może popełnić człowiek i przysięgam ci, że nie miałem tego zamiaru...

— Przecież ci wierzę, Paul — przerwała mu.

— Sam nie rozumiem, jak do tego doszło — ciągnął dalej — ale wiem na pewno, że chciałem cię tylko przytrzymać, podroczyć się, no, takie głupie żarty. A później, jak zaczęliśmy się szamotać, to mnie naprawdę zamroczyło i chyba z tą moją głową nie jest całkiem w porządku, bo nigdy w życiu z żadną dziewczyną nie postąpiłem w ten sposób.

— Niepotrzebnie tak się tłumaczysz — powiedziała.

— Bo mnie to dręczy. Za takie łajdactwo powinna być kula w łeb.

— Gorsze zbrodnie uchodzą bezkarnie.

— Nic nie będzie darowane — mruknął. — Niemcom w każdym razie nic. Rosjanie wnet tu będą, a przed zimą może zajdą do samego Berlina.

Maria Anna spojrzała w kierunku drzwi.

— Pójdę już — rzekła.

— Dobrze — odparł. — Wszystko co było potrzeba, zostało powiedziane. Nie masz do mnie żalu?

— To będzie moje najlepsze wspomnienie z tego domu, jeśli przeżyję.

— Przeżyjesz, jestem tego pewny. Postaram się.

Potrząsnęła głową z powątpiewaniem. Nie mogła wiedzieć, co miał na myśli. Wstała i obciągnęła sukienkę.

— Muszę iść.

— Idź.

Patrzył za nią, dopóki nie zniknęła, a później położył się i zaczął rozważać to, co miał zrobić w ciągu następ-

nej godziny. A kiedy wszystko punkt po punkcie zostało obmyślane i postanowione, zdjął ręcznik. Głowa jeszcze nie przestała go boleć i był trochę oszołomiony, wiedział jednak, że to wkrótce przejdzie. Działanie proszku było dotychczas niezawodne, a nic więcej już nie mogło wyprowadzić go z równowagi. Zabrał z ławki plecak i wrócił do swego pokoju. Spakowanie żołnierskiego dobytku nie zajęło mu wiele czasu. Wyjął z plecaka jeden magazynek i załadował karabin. Zapiął pas i nałożył czapkę. Z karabinem przewieszonym przez ramię i z plecakiem w ręku wszedł do kuchni.

Maria Anna spojrzała zdziwiona:

— Miałeś jechać po południu? Czemu tak śpieszysz, zaczekaj do obiadu, przecież nie ma dwukółki.

— Pójdę piechotą. Mam coś pilnego do załatwienia we wsi.

Podszedł do drzwi spiżarni.

— Oczywiście zamknięta — mruknął — daj mi tasak.

— Co chcesz zrobić?

— Zobaczysz. Daj tasak.

Wyjęła z kredensu i podała bez słowa. Wyważył zamek i otworzył na oścież drzwi.

— Nie rób takiej zmartwionej miny. Nie będziesz potrzebowała im nic tłumaczyć, ich to nie zdziwi — mówił ładując do plecaka prowiant. Przebierał na półkach i zgarnął z gwoździ cały podręczny zapas wędlin. Część wędzonego boczku, kielbasy, szynki i parę wędków z pasztetem przeniósł na stół.

— Schowaj to gdzieś dobrze, będziecie mieli na jakiś czas. Powiesz, że wziąłem do walizki. Zabiorę ją ze sobą i wyrzucę gdzieś po drodze. Albo nie, zaczekaj...

Wyszedł do pokoju i wrócił z niedużą brązową wa-

lizką. Maria Anna siedziała na ławce i zamysłona patrzyła przez okno.

— Zostawię ją wam — powiedział — tak będzie lepiej. Włóżysz do niej wszystko i niech Richard schowa w drwalce pod drzewem.

Postawił walizkę przy nodze stołu, zarzucił plecak na plecy i przewiesił przez ramię karabin.

— No, czas na mnie. Pożegnaj ode mnie dziadka Gottlieba. Bądź zdrowa, Mariann.

— Szczęśliwej drogi, Paul.

Podszedł do niej i wyciągnął rękę. Przez chwilę trzymał jej dłoń w swojej. Maria Anna wstała i patrzyła mu prosto w oczy.

— Szczęśliwej drogi.

— Kiedy żołnierz odchodzi z domu, domownicy żegnają go pocałunkiem — powiedział na wpół żartobliwie — nie zobaczymy się już Mariann.

Dostrzegł u niej moment lekkiego wahania. Uniosła się na palcach i milcząc przytknęła usta do jego policzka.

— Powiniennem także — uśmiechnął się — ale to byłoby za dużo, prawda?

— Nie. Zrób to.

Pocałował ją skwapliwie w ten sam sposób jak ona jego.

— Teraz wiem, że mi przebaczyłaś całkiem — powiedział.

— Zapomnij o tym.

— Chciałbym cię kiedyś jeszcze zobaczyć, Mariann.

— I ja bym chciała. Żałuję, że już odjeżdżasz.

— Mogę ci powiedzieć prawdę, skończyłem z Wehrmachtem.

Maria Anna otworzyła szeroko oczy. Dostrzegł w nich

nie tylko wyraz zdziwienia, wierzył im i wzruszył go cień przestרחu, który zauważył ponadto.

— Chcesz zdezerterować? — szepnęła.

— Właśnie to miałem na myśli.

— Złapią cię, Paul — powiedziała z przejęciem. Chwyliła go za rękę i ścisnęła ją. — Za to kula w łeb.

— Nie. Za to teraz wieszają — uśmiechnął się — ale spróbuję tego uniknąć.

— Paul! Ty się zastanów, co robisz.

— Zastanowiłem się. Kiedy byłem w szpitalu w Białymstoku nawiązałem kontakt z jednym Polakiem. On mnie namawiał, żebym przeszedł na ich stronę, mówił, że w polskiej partyzantce są żołnierze z Wehrmachtu. Nie bardzo w to wierzyłem, możliwe jednak, że są. Wtedy zresztą byłem rekonwalescentem i nie nadawałem się do niczego, a teraz tam się nie dostanę, bo Rosjanie zajęli Białystok. Ale będę próbował gdzie indziej.

— I poszedłbyś do naszej partyzantki?

— Z pewnych powodów tak. Trudno mi w tej chwili powiedzieć, jeszcze się nie zdecydowałem, zobaczę na miejscu, jak to wygląda.

Popatrzyła na niego z życzliwym zdziwieniem, a nawet wydało mu się z ciepłą serdecznością i jeszcze raz ścisnęła mu rękę.

— W każdym razie życzę ci powodzenia, Paul.

— Zrobiłbym nie wiem co, żeby tu wrócić i ciebie jeszcze zastać.

Uśmiechnęła się smutno.

— Tego mi nie życz.

— Racja. Chciałem powiedzieć, że zrobię, co tylko będzie można, żeby ciebie znaleźć. Gdziekolwiek.

— Może znajdziemy się w Polsce.

— Nawet nie znam twojego nazwiska.

— Zaczekaj, napiszę ci na kartce i adres, skąd jestem. Będę starała się tam wrócić.

Poszukała w szufladzie kredensu kawałka papieru i ołówka. Schował kartkę do portfela i zasalutował.

— Bądź zdrowa, Mariann.

— Bądź zdrów, Paul.

Przed mostkiem zboczył z drogi. W krzakach zdjął plecak, wyjął z niego jeszcze dwa magazynki i włożył je do kieszeni. Potem przykrył plecak gałązkami. Nikt nie powinien go znaleźć w ciągu kwadransa, zanim tu wróci, nikt nie miał tu nic do szukania i było niemożliwe, żeby ktoś przypadkiem trafił. Plan był dokładnie obmyślony i tylko jakiś nadzwyczajny zbieg okoliczności mógł przeszkodzić w wykonaniu. W niedzielę w Stillwasser nigdy nie działo się nic nadzwyczajnego, a obecnie, kiedy zabrakło dorosłych mężczyzn, nawet jedyne miejsce, gdzie jeszcze mogło się coś zdarzyć, nie nastroczało zbyt wiele okazji. Stara Frau Lammers, bezdzietna wdowa, skąpa i chytra na pieniądze, w piątym roku wojny żyłowała kilku zaledwie pijaków, jacy pozostali. Nie było komu tańczyć ani też zajmować miejsc przy zбитych z desek stołach pod lipami w ogrodzie, gdzie dawniej, w upalne niedzielne przedpołudnia, gospodarze wypijali po parę kufli mocnego piwa i niekiedy dochodziło do awantur. Frau Lammers umiała sobie z tym radzić, ale teraz wieś zasługiwała w zupełności na swą nazwę, tylko że za chwilę, za parę minut, w podłużnej ciemnej sali, której powietrze zawsze było przesycone zapachem piwa i dymu tytoniowego, zrobi się taki jubel, jakiego Frau

Lammers jeszcze nie widziała w swoim długim życiu.

Nie czuł żadnego pośniecenia, raczej był zdziwiony wstrząsem, jaki przeżył, i postanowieniem, które było skutkiem tego, co mu powiedziała we młynie Mariann. Już wiedział, że nie była mu obojętna od pierwszej chwili, kiedy ją zobaczył i że uczucie, które wtedy zaczęło w nim kiełkować, nie było tylko zwyczajnym pożądaniem kobiety, jak mu się z początku wydawało, wywołanym długim przymusowym postem. Przez cały czas nie uświadamiał sobie, że wszystko, co go tak pociągało w polskiej dziewczynie, było fizycznym i duchowym przeciwieństwem Lizelotty.

Dopiero teraz, kiedy już stało się nieszczęście i nie dało się zmienić biegu zdarzeń, pojął jak bardzo Mariann odpowiadała jego wyobrażeniu kobiecości hodowanemu w sobie i o jakim marzył przez całe nieszczęśliwe pożycie z Lizelottą. Zawsze miał w sobie skłonność do idealizacji dziewczyn, które mu się podobały i być może Mariann nie była w rzeczywistości taką, jaką sobie ją wyobrażał, ale przez krzywdę, która ją spotkała, przez okrutność położenia i nawet przez zło, którego sam omal jej nie wyrządził, stawała się godniejszą uwielbienia niewinnością, którą nie tylko pokochał, ale ubóstwił.

Temu uczuciu poddał się znajdując rozkosz w cierpieniu, jakiego doznawał rozpamiętując wszystko, co zaszło i jeszcze większą we wszystkim co postanowił.

Szedł wymierzyć sprawiedliwość, którą należało wymierzyć i tylko on mógł to uczynić. Szedł i w duchu usprawiedliwiał się sam przed sobą, że nie zrobi tego z chęci zemsty ani w porywie wielkiego gniewu. Wszak na chłodno obmyślił cały plan i z zimnym spokojem zdążył do jego wykonania. To postanowienie zapadło

w nim tak, jak postanawia się zabić wściekłego psa, by uwolnić okolicę od śmiertelnego niebezpieczeństwa. To była konieczność przede wszystkim dla ocalenia Mariann i tego chłopca, ale przecież nie tylko dlatego. Wprawdzie możliwe, że gdyby nie odkrył w sobie, czym stała się dla niego Mariann i gdyby była tylko obojętną mu dziewczyną, którą po pijanemu chciał zgwałcić, nie doszłoby do tego; co niebawem się stanie, ale ta sprawa tylko przeważała szalę goryczy. Miana została przebrana i więcej nie był w stanie wytrzymać. Wojna go długo deprawowała, pogrążał się w jej nieprawościach i brał w nich udział bez sprzeciwu, jak każdy zwykły człowiek zmuszany swą małą ważnością do ślepego posłuszeństwa tym, którzy mieli władzę i moc rozkazowania. A są jednak granice ludzkiej wytrzymałości, gdy pękną, wyzwalają z człowieka całe nagromadzone zło i skłaniają do czynów desperackich, na jakie nigdy by się nie ważył. Już od dawna buntował się wewnątrz i może wojna nie zdołała go zepsuć doszczętnie, skoro na szczęście okazał się trochę lepszym od Handta, wtedy kiedy jeszcze nie wiedział, że kocha Mariann, a może właśnie rodząca się miłość ożywiła w nim resztki uczciwości i uchroniła od haniebnego czynu. Zły zamiar jednakże nie uniknął kary, jego życie zostało bezpowrotnie zmarnowane, ale za podły uczynek Handta, für diese Greueltat zabije go z zimną krwią. To będzie jeden sprawiedliwy strzał z tych niezliczonych, jakie oddał, a jeśli uda się ujsć cało, nie będzie to strzał ostatni. Trzeba było takiego nieszczęścia, by ostatecznie zrozumiał, w jakim kierunku należało zwrócić lufę karabinu.

Odbezpieczył mauzera i nieśpiesznym krokiem poszedł drogą ku wsi. Olszyna skończyła się, piaszczyste

wzgórza połyskiwały ścierniskami aż do zielonej ściany lasu. Z pagórka ujrzał wioskę położoną w dolinie i wkrótce wszedł między drewniane domostwa, kryte trzcinową strzechą. Pusto było i cicho. Starsze dzieci z matkami pojechały do kościoła. Tylko z niektórych kominów unosił się dym wskazując, że ktoś pozostał w domu.

Na skrzyżowaniu Paul rozejrzał się, czy przypadkiem nie sterczy gdzieś jakiś wyrostek z Hajot, ale nie dojrzał nikogo. Było mu właściwie obojętne, czy spotka kogo po drodze, liczył się z tym nawet, lecz to nie stanowiło przeszkody w jego planie, właściwie nic nie stanowiło przeszkody, co najwyżej utrudniłoby ucieczkę. Zresztą i tak nie miał żadnej nadziei, że uda mu się uniknąć pościgu.

Cicho uchylił drzwi gasthausu i wszedł do środka. Nie był całkiem pewny czy Handt nie mówił prawdy o zebraniu NSDAP, stary jednak zełgał jak zwykle. Siedział z czterema kumplami przy bocznym stoliku pod ścianą, czerwony na twarzy i dobrze podpity. Za ladą drzemała Frau Lammers. Nie dokończona wełniana pończocha, z tkwiącymi w niej drutami, spoczywała obok okularów, które zdjęła do drzemki. Na sali nie było ponadto nikogo, ale piątka pijaków wypełniała ją gwarem dostatecznym, by zagłuszyć lekkie skrzypnięcie drzwi. Znał ich i wiedział co to za typy. Dwóch, Beckerat i Tylkowsky, należało do NSDAP i było zajadłymi hitlerowcami. Butschek i Rautenberg, obaj zaledwie o parę lat młodszy od dziadka Gottlieba, mieli gdzieś politykę. Zapijali się na śmierć, korzystając z nieobecności synów, ale dawniej też wytrwale towarzyszyli Handtowi tylko nie tak do upadłego, jak obecnie, kiedy z powrotem przejęli ster rządów w domu, a synowe nie

śmiały się sprzeciwiać ich woli. Pod tym względem nawet Frieda, żona Handta, była bezsilna, choć cała gospodarka jeszcze należała do dziadka Gottlieba, więc miała większe prawo niż tamte kobiety.

Paul zdjął karabin z ramienia i pomału szedł środkiem sali. Butschek, który siedział twarzą do drzwi, pierwszy go zauważył i skinął ręką:

— Komm hier, Paul, was machst du mit dem Gewehr?

Wszyscy obejrzel się jednocześnie, nie wypuszczając z rąk kufli i przestali od razu rozmawiać, bo Paul nie odpowiedział, tylko zatrzymał się i wymierzył z karabinu w pierś Handta, który patrzył na niego bezmyślnie z tym sztucznym uśmiechem, jakim człowiek kwituje niezrozumiałą sytuację. Znadto był pijany, żeby w jaki bądź sposób zareagować, a jego kumple też myśleli zbyt wolno, tylko Butschek, który pierwszy dostrzegł wejście Paula i miał parę sekund więcej do zastanowienia się, zawołał:

— Człowieku, co to za głupie kawały! Z bronią się nie żartuje!

— To nie są żarty — powiedział Paul i wystrzelił.

Handt otworzył szeroko usta, westchnął głośno i przechylił się do przodu. Głową uderzył o blat stołu i zaraz zwalił się na podłogę. Tamci siedzieli na krzesłach sztywno, każdy w innej pozie — jak którego wystrzał zaskoczył. Tylko Frau Lammers za ladą, zbudzona hukiem, poderwała się i miauknęła jak wystraszona kotka. Chwiejąc się dziwnie, podobna do ściętej pokrzywy, upadła i zniknęła za ladą. Czterej mężczyźni oddychali głośno, ciężko nabierając powietrza w płuca, a ręce ich spoczywające na stole (każdy wciąż trzymał w jednej ucho kufła) drżały jakby w pogotowiu do wykonania

jakiegoś ruchu obrony lub nagłego ataku, ale Paul wiedział, że oni czekają tylko na rozkaz: Hände hoch, który nie padł i wskutek tego ci czterej umierający ze strachu myślą, który z nich będzie następnym do Himmelskommando. Wiedział i miał tę pewność, dostrzegając pod stołem, że stary Rautenberg oddał mocz w spodnie. Na podłodze podrygiwało ciało Handta, a z jego gardła dobywał się bulgocący skrzek krwotoku. Krew tworzyła już pod stołem kałużę, docierając z wolna do stóp Rautenberga i mokrej plamy strachu. Poprzez obłok dymu wszyscy czterej patrzyli na Paula zupełnie tak samo jak jeńcy wzięci na polu bitwy, wzrokiem wyrażającym niemą prośbę, by ich nie zabijać.

Współczuł im, ale nie mógł pocieszyć ani wytłumaczyć, że wymierzył sprawiedliwość za największe łajdactwo spośród wielu łajdactw, jakich w swoim życiu dokonał jego teść — Dieter Handt, a o których przeważnie wiedzieli, choć nigdy nie próbowali się przeciwstawić.

— Przez pięć minut macie siedzieć cicho i nie ruszać się z miejsca — powiedział wodząc lufą po ich twarzach. — Który ośmieli się wytknąć swój pysk przez drzwi albo przez okno, dostanie kulką w sam środek ryja. Pięć minut — dodał pokazując wzrokiem na zegar, wiszący nad bufetem.

Wycofał się tyłem do drzwi, wciąż grożąc karabinem gotowym do strzału, gdy już był na dworze, szybkim krokiem przeszedł cieniem lip, pod ich rozłożystymi konarami, gdzie beztrosko świergotały ptaki. Na drodze nie było nikogo ani też z sąsiednich domów nikt nie ukazywał się na podwórzu, tylko gdzieś za narożnikiem skrzyżowania jakiś kobiecy głos uspokajał rozwrzeszczane dziecko.

Ta południowa cisza nie uspiła czujności Paula. Liczył się z jakimś niespodziewanym spotkaniem oraz z tym, że ci czterej, których zostawił, mogą — ochłonawszy ze strachu — wybiec przez mieszkanie Frau Lammers i podnieść alarm. Nie przewidywał jednak, by ktokolwiek, nie mając broni palnej, odważył się ścigać żołnierza uzbrojonego w karabin. We wsi nie było telefonu ani żadnego urzędu, nawet szkoły. Upłynie kilka godzin, zanim przyjedzie żandarm, a gestapo zjawi się najwcześniej jutro. Jednak przez głupi przypadek mógł w każdej chwili pojawić się ktoś zdolny do zorganizowania pościgu, więc dopóki nie minie ostatniej chałupy, należało się wszystkiego spodziewać.

Szedł szybko trzymając w ręku karabin i co chwila oglądając się do tyłu. Na podwórku przedostatniego domu dwie dziewczynki bawiły się przed bramą i pozdrowiły go, Grüss Gott, a potem wspięły się na furtkę i wychylając głowy patrzyły za nim z bezmyślną ciekawością wiejskich dzieciaków. Jedną z nich poznał, to była córeczka Bennona Neumanna, tego co odgrażał się, że zastrzeli Handta. Ta mała z pewnością opowie kiedyś ojcu, że widziała żołnierza, który to zrobił.

Następne obejście należało do Rautenberga. Na środku podwórza, koło pompy, zobaczył jego żonę. Odwrócona tyłem do drogi nie zauważyła go, a była za głucha, żeby usłyszeć kroki.

Minąwszy zabudowania zatrzymał się pod przydrożnym drzewem i przez chwilę nastawiał uszu. We wsi wciąż panowała senna cisza upalnego południa. Nad piaszczystą drogą drżało rozgrzane powietrze. Ruszył zaraz laufschrift, by czym prędzej dotrzeć do olszyny, do której było z trzysta metrów. Na pagórku obejrzał

się po raz ostatni, a nie dostrzegłszy żadnego ruchu zszedł w dół i stracił z oczu domostwa.

Dopiero w olszynie zwolnił, przewiesił karabin przez ramię i otarł pot z czoła. Cały był spocony i koszulę miał moką, ale nie czuł żadnego zdenerwowania. Mimowolnie pomacał palcami bliznę. Wszystko w porządku, pomyślał. Przez pięć lat można się przyzwycząić do zabijania ludzi, tak jak rzeźnik przyzwyczajają się do zabijania zwierząt, nerwy nie grają w tym żadnej roli, dopóki człowiek nie poczuje, że sam staje się ofiarą. Ciekawe, co na to wszystko powie dziadek Gottlieb. Też miał Handta na wątrobie, ale zawsze to był mąż jego córki. Dziadek Gottlieb i wszyscy będą się głowili dlaczego to zrobił, pomyślą na pewno, że zwariował, inaczej nie potrafią sobie tego wytłumaczyć. Jeśli go złapią, będzie mógł udawać wariata. A może nim jest naprawdę? W szpitalu specjaliści od symulacji powiadali, że prawdziwy wariat nigdy siebie za takiego nie uważa i najlepszym sposobem dla wprowadzenia w błąd lekarza jest uparcie twierdzić, że się jest zdrowym, mając jednocześnie opracowaną jakąś manię.

Gdy zajdzie potrzeba, będzie wiedział co wymyślić. Doszedł do mostku i zatrzymał się. Spojrzał na zegarek, upłynęło dwadzieścia minut od chwili, kiedy stąd odszedł, by zabić Handta. Pięć minut dłużej niż sobie wyliczył, ale jeszcze i tak zostało sporo czasu, by zniknąć i zatrzeć trop.

Zszedł z drogi i przez zarośla zmierzał do miejsca, gdzie zostawił plecak. Grunt był grząski, pozostawały więc głębokie ślady, ale nie zdążył pomyśleć, jakby temu zapobiec, bo rozchyliwszy krzaki zobaczył koło plecaka siedzącą na walizce Marię Annę.

Obrócona w jego stronę albo raczej ku szelestowi

i człapaniu, które słyszała i rozpoznała, patrzyła na niego z takim spokojem jakby się tu umówili i jakby miejsce było do tego odpowiednie. Gdy zaskoczony jej widokiem stanął i głosu wprost nie mógł dobyć z gardła, musiała dostrzec w nim coś, co zmąciło jej pewność, bo zmieszana się nagle. Rumieńce wystąpiły jej na policzkach i poruszyła nerwowo głowę dla dodania sobie odwagi czy też otrząsając lęk, który już pojawił się w jej oczach, szeroko otwartych i czujnych. On też nie potrafił ukryć, że jest przerażony raczej niż uradowany jej obecnością.

— Mariann! Co tutaj robisz? — zawołał półgłosem.

Wstała i postąpiła śpiesznie ku niemu.

— Nie mogę tam dłużej zostać, Paul — powiedziała wciąż ze wzrokiem lekliwie utkwionym w jego oczach — kiedy odszedłeś, pomyślałam, że powinnam uczynić to samo i jeszcze pomyślałam, że muszę to zrobić zaraz, bo inaczej nie zrobię tego nigdy — głos jej drżał i przechodził w niski szept: — Weź mnie ze sobą, pójdziemy razem do Polski, do naszych. Przydam ci się. Weź mnie Paul, ja tu umrę.

— Um Gottes Willen, uciekaj stąd — zawołał i ująwszy ją za ramię nachylił się ku niej: — ja zabiłem Handta!

— Co? — Twarz jej zszarzała i wargi rozchylone pytaniem zastygły w grymasie zdumienia.

— Zabiłem Handta — powtórzył ciszej. — Nie możesz iść ze mną. Wracaj prędko do domu, póki czas. Teraz ci już nie grozi!

— Po coś to zrobił, Paul! — Chwyciła go za przegub ręki, którą trzymał na jej ramieniu, a on również wykonał ten sam ruch i stali spleceni w tym uścisku rozpaczliwym i patrzyli sobie w oczy.

— Żeby cię nie prześladował — powiedział ze smutkiem — żebyś mogła żyć. Wracaj do domu, Mariann, musisz tam wrócić. To konieczne. Słyszysz!

Potrząsnęła przecząco głową, czuł drżenie jej ciała, a na przegubie ręki kurczowy uścisk jej palców.

— Nie. Już nie wrócę. Weź mnie ze sobą, Paul!

Był przerażony tym, że nie pojmowała grozy sytuacji, którą stworzyli, nie wiedząc nic o swych postanowieniach, rozbieżnych a prowadzących niechybnie ku męczeństwu i śmierci najokrutniejszej, jaką mógł sobie wyobrazić.

— Teraz to niemożliwe — wyjąkał. — Zrozum, że po tym...

— Wszystko rozumiem. Bardzo dobrze.

— Przecież tobie nic nie grozi, zastanów się. Handt nie żyje. Nikt nie wie, dlaczego zabiłem go, nikt absolutnie.

Nie zwalniała kurczowego uścisku palców na przegubie jego ręki, patrzyła mu w oczy z uporem, który wyostrzył rysy jej twarzy czyniąc ją zwięzłą napięciem mięśni i zaciskiem szczęk.

— Ale ja wiem — powiedziała gniewnie — i właśnie dlatego, że wiem — dodała łagodząc brzmienie głosu — tym bardziej...

— Nie mogę cię wziąć — potrząsnął przecząco głową — nie mogę, to szaleństwo.

— Paul...

— Musisz wrócić. Nie mogę wziąć — powtórzył.

— Więc nie chcesz — puściła jego rękę. Znow upór wyostrzył rysy jej twarzy — powiedz, że nie chcesz.

— Nie po to zabiłem go, żeby cię narażać. Chcę cię ocalić, a nie zgubić.

— Jeżeli mnie nie weźmiesz, pójdę sama — powie-

działa stanowczo — to pójdę sama. Wolisz, żebym poszła sama? — głos Mariann brzmiał ciepłą nutą. Rozluźniła mięśnie twarzy przywracając jej dziewczęcą przywilność, której uległ.

— Mariann, ja... ja cię błagam, wracaj. Nie ma ani chwili do stracenia, ani chwili.

Odsunęła się od niego i zmarszczyła brwi.

— Już przepadło — powiedziała oschle — jeżeli sobie nie życzysz, żebym poszła z tobą, trudno, pójdę sama. — Odwróciła twarz z niechęcią i przez moment trwała w gniewnym milczeniu, a potem rzekła — ale żebyś wiedział, że zawiodłeś mnie. Byłam głupia, po prostu byłam głupia... ech, mniejsza z tym. Dam sobie radę.

Schyliła się i sięgnęła po walizkę. Zatrzymał ją gwałtownym szarpnięciem za rękę.

— Chcesz zginać? Koniecznie chcesz zginać?

— Nie boję się śmierci.

— Złapią cię, zanim słońce zajdzie.

— Nie boję się śmierci — powtórzyła.

— Więc dobrze. Chodź!

Podniósł z ziemi plecak i włożył go na barki.

Nieduży młodnik sosnowy był ryzykowną kryjówką i kiedy Paul oznajmił Mariann, że tu zatrzymają się na dwa albo trzy dni, może nawet dłużej — dostrzegł powątpiewanie w jej oczach. Nie wyraziła tego na głos, była zmęczona i zziajana z powodu pośpiesznego marszu i dźwigania walizki, choć droga jaką przebyli nie wyniosła więcej niż dwa kilometry. Najpierw szli korytem młynówki, a później wąskim strumykiem, który wił się kotliną między wzgórzami, zasilając nadmiarem

wilgoci wąskie i kręte, jak jego bieg, pasmo łąki. Rosła na niej bujna kwaśna trawa, a tuż przy brzegu wody kuliste kępki łoży. Łąka była właściwie bagienkiem, tylko gdzieś tam torfiasty grunt ustępował piaskowi.

Wędrówka po grząskim dnie strumyka trwała pół godziny i gdyby w tym czasie ktoś znalazł się na wzgórzach, musiałby ich zauważyć, toteż Paul oglądając się na wszystkie strony, gestem i wzrokiem przynaglał Mariann do pośpiechu.

Gdy stanęli wreszcie u podnóża wyniosłości, tworzącej dalej rozległy obły pagór, nie dał dziewczynie ani chwili wytchnienia. Wyszli na twarde brzeg obok większej kępy łożyny i dotarli do zagonu kartofli, który ciągnął się aż do młodnika. Ten lasek zasadził przed dwudziestu laty dziadek Gottlieb na piaszczystym garbie wzgórza, z którego wiatry ustawicznie zasypywały piaskiem niżej położone lepsze grunty. Ta nieduża wysepka zieleni, licząca niecałe dwa morgi, ciągnęła się aż do szczytu, a nigdy nie przecinana, tworzyła gęsty i zbity zagajnik sadzonych szpalerami drzewek. Przedrzeć się przez nie było trudno, bo uschłe gałązki, rosnące dołem, tworzyły płataninę sprężystych i haczących macek. Młodnik nie miał żadnego połączenia z lasami, które w sporej odległości otaczały ze wszystkich stron pola Stillwasser, był sztucznym tworem mającym jedno przeznaczenie: powstrzymać pochód piasku i nikt niczego więcej od niego nie wymagał. Nie rosły w nim grzyby ani jagody, nie dostarczał opału ani budulca i nie było w nim żadnej ścieżki. Doszli do niego bruzdami zagonu kartofli i wniknęli w szare poszycie skuleni, a miejscami przedzierając się na czworakach w poprzek szpalerów. Pod samym szczytem Paul odkrył nie-

wielką łysinę, pozbawioną zupełnie drzew. Było to miejsce, o czym zgoła nie wiedział, z którego kiedyś czerpano piasek, zapewne przed zasadzeniem lasku, gdyż do wyraźnych śladów wykopu nie prowadziła żadna droga.

Tu zatrzymali się w cieniu drzewek. Powietrze prze-sycone zapachem żywicy i rozgrzanego igliwia było suche, a piasek zionął pustynnym żarem. Na brzegach wykopu pozółkła trawa i pędy macierzanki ścieliły się anemicznie. Upał południa wypłoszył nawet muchy z tego miejsca, nic nie szumiało, nic nie brzęczało, tylko od czasu do czasu gdzieś lekko trzasnęła sucha gałązka i z szelestem spadła na ziemię. Mariann położyła się na srebrzystoszarym mchu, który pod drzewkami opanował piaszczysty grunt. Jej włosy koloru suchej trawy, wilgotne od potu, spływały w podłoże kosmykami o różnych odcieniach, podobnie jak grzywka na czole w wąskich, długich, półkuliście wygiętych ząbkach sięgała do ciemnych brwi. Oczy szeroko otwarte i nieruchome utkwiała w niebie, a nozdrza jej małego prostego nosa i otwarte usta wciągały chciwie powietrze w przyśpieszonym rytmie oddechu. Na górnej wardze uformowały się drobniutkie kropelki potu. Nie ocierała ich. Rozrzuciwszy ręce i nogi dłuższą chwilę leżała bez ruchu, gdy Paul zapytał, czy bardzo jest zmęczona, uniosła się na łokciach jakby z trudem odrywając plecy od mchu.

— To tylko ten upał — powiedziała — wypędził ze mnie siódme poty. Ale odetchnęłam, możemy iść dalej. A ty też jesteś cały mokry.

— Nie szkodzi, zostajemy tutaj.

— Tu?

— Tak — odparł.

— Ale ja mogę iść dalej. Nie jestem wcale zmęczona, wytrzymam jeszcze dwadzieścia kilometrów, jeżeli trzeba.

— Nie. Tu zatrzymamy się kilka dni. Od razu miałem taki plan i gdyby nie było ciebie, też bym tu został. Miejsce jest bardzo dobre.

Spojrzała na niego z powątpiewaniem.

— Nikomu na myśl nie przyjdzie, że możemy się tu ukrywać — powiedział. — Będą robić obławy po okolicznych lasach, kontrolować drogi, stacje kolejowe, gestapo puści w ruch swoją maszynę w całym Ostpreussen, ale na to nie wpadną, że siedzimy w tym głupim lasu. Przez parę dni będzie wściekła gonitwa, a później wszystko ucichnie. Nie bój się nic, ja to dobrze obmyśliłem. Brałem parę razy udział w obławach na ruskich partyzantów, oni zawsze tak robili. Uganialiśmy się za nimi nieraz dziesiątki kilometrów, a później okazywało się, że siedzieli w jakimś głupim miejscu.

Mariann westchnęła i spojrzała w niebo:

— Żeby tylko pogoda się utrzymała.

— Mam plandekę — odparł — jakąś budkę trzeba będzie sklecić. Później zrobię, bo teraz za gorąco. Może chcesz się napić — wskazał na manierkę przy boku — wzięłem kawę.

— Nie. Dziękuję.

— Napij się, jeden łyk dobrze ci zrobi — odpiął manierkę i podał jej — do wieczora wystarczy, a jak się ściemni przyniosę wodę i nakopię kartofli. Powinny być, bo już przekwitły, zauważyłaś?

— Nie. Myślałam tylko, żeby czym prędzej dostać się do tego lasu.

— Z głodu nie zginiemy. Czy wzięłaś prowiant?

— Tak, prawie wszystko i trochę swoich rzeczy.

— Skąd wiedziałaś, gdzie schowałem plecak?

— Wybiegłam za tobą i wołałam, ale ty byłeś daleko...

— Nic nie słyszałem.

— Dochodziłeś do olszyny, więc biegłam, bo myślałam, że cię dogonię — mówiła trzymając dalej w rękę manierkę i spoglądając na nią niezdecydowanie. — W olszynie już ciebie nie zobaczyłam i to mnie speszyło. Pomyślałam nawet, że może umyślnie schowałeś się przede mną.

— Może bym tak i zrobił, gdybym ciebie zauważył — powiedział i uśmiechnął się lekko, by dać jej do zrozumienia, że teraz to już nieważne.

Mariann też rozchyliła wargi w nieznacznym uśmiechu.

— Liczyłam się z tym — odparła. — Usiadłam przy drodze i zastanawiałam się, co robić. To znaczy byłam zdecydowana uciekać bez względu na to, czy zechcesz mnie wziąć ze sobą czy nie i raczej spodziewałam się, że odmówisz.

— Bo to nie miało wielkiego sensu — wtrącił.

— Pomyślałam sobie, że gdybyś chciał, to byś mi zaproponował przy pożegnaniu, albo jakoś przynajmniej napomknął. Ale ty, wręcz przeciwnie, myślałeś tylko o sobie...

— Teraz wiesz, o czym myślałem — przerwał jej.

Mariann skinęła głową. Odkręciła nakrętkę manierki i pociągnęła z niej mały łyk kawy. Jej wzrok spoczął przez moment na twarzy Paula.

— Skąd mogłam przypuszczać, że przyjdzie ci do głowy takie szaleństwo, tyle miałam różnych wątpliwości. Chęć ucieczki spadła na mnie nagle, właściwie w ostatniej chwili przed twoim odejściem, kiedy uświadomi-

łam sobie, że ty znacznie więcej ryzykujesz jako dezertter z wojska niż ja. Nie mogłam się z tym wszystkim uporać i chciałam się trochę zastanowić, kiedy zniknąłeś mi z oczu i sądziłam, że już ciebie nie dogonię, chyba we wsi, gdzie byłoby niemożliwe porozmawiać swobodnie. Więc siedziałam i rozmyślałam nad tym, a wtedy ty wyszedłeś z krzaków i od razu rzuciło mi się w oczy, że bez plecaka. Nie krzyknęłam i nie zawołałam ciebie, bo domyślałam się, że musisz wrócić po plecak, jak załatwisz coś, o czym wspominałeś, ale nawet mi przez myśl nie przemknęło to, co się stało. Pomyślałam sobie, że będzie lepiej, jak zaczekam na ciebie, bo przypuszczałam, że zechcesz mi odradzać, a ja byłam już zdecydowana, tak jak ci mówiłam przy mostku, dosłownie tak.

— Teraz już przepadło — powiedział Paul — ale byłoby lepiej, gdybyś mnie wtedy zawołała.

— Nie wzięłbyś mnie?

— Wzięłbym bardzo chętnie, ale nie zastrzeliłbym Handta.

— Żałujesz, że mnie wzięłeś?

Spojrzał na nią z wyrzutem i pokiwał głową:

— Czy ty wciąż nic nie rozumiesz?

— Nie jestem dzieckiem. Zdaję sobie sprawę, na co się narażamy, ale dla mnie już życie nie ma wartości.

— Dla mnie też nie miało, ale teraz chciałbym to przeżyć.

Maria Anna usiadła i wzięła go za rękę. Z drzeniem spojrzał w jej oczy.

— A może przeżyjemy, Paul — powiedziała.

— Chciałabyś?

— Bardzo.

Zdziwił się tym brakiem konsekwencji w jej słowach,

ale pomyślał zaraz, że nie może spodziewać się po niej zbyt wiele rozsądku, miał nad nią przewagę dziesięciu lat, a wydawało mu się, że jest wobec niej tak stary, jak gdyby był jej ojcem i cała odpowiedzialność spadała na niego również za to głupstwo, które zrobiła.

— Postaram się — odrzekł zatroskany, ale ona uśmiechnęła się trochę żałośnie.

— Przyrzekłeś mi to jeszcze w domu.

— Pamiętasz?

— Wszystko pamiętam — odparła — każde słowo.

— Wtedy całkiem co innego miałem na myśli.

— Oboje nie mieliśmy najmniejszego pojęcia, że się tak szybko zobaczymy. Wyobraź sobie, że to było niecałe dwie godziny temu.

Mimowolnie spojrzął na zegarek.

— Jeszcze są w mieście — mruknął — nie przypuszczają, jaka ich czeka niespodzianka.

— To straszne.

— Wszystko inne, co nas czeka, będzie jeszcze straszniejsze. Nie wiem teraz, może lepiej byłoby odejść stąd jak najdalej — popatrzył na jej obłoczone nogi — przez pół dnia i noc można by ująć czterdzieści kilometrów, gdzieś pod Ortelsburg, ale ty nie dasz rady.

— Dam, nie bój się.

— Tak ci się zdaje. Do takiego marszu trzeba być wprawionym. Sam nie wiem, czy bym przeszedł. Człowiek wytrzyma, ale stopy nie wytrzymują, oboje bylibyśmy do niczego. — Wskazał na jej półbuciki pokryte grubą warstwą zasychającego mułu: — Trzeba zdjąć i oskrobać z błota. Wieczorem przepluczemy skarpetki. W mokrym obuwiu po godzinie mielibyśmy poobcierać nogi. Nie, zostaniemy tutaj, to była całkiem niezła myśl. A później także nie będziemy się śpieszyć.

— Jak uważasz.

— Jedzenia na razie nam starczy — mówił ściągając buty — poczekamy tu, jak długo się da, może do czwartku.

— Nie za długo? — wtrąciła — nie będzie wciąż takiej pogody.

— Im dłużej, tym lepiej.

— Nie rozumiem dlaczego lepiej. W końcu ktoś nas tu może zauważyć.

— Wszędzie może nas zauważyć — odparł — a tu nikt nie ma żadnej potrzeby chodzić. Jak długo sami się nie zdradzimy, możemy siedzieć bezpiecznie, choćby i miesiąc. Za kilka dni wszystko ucichnie. O to się tak bardzo nie martwię, gorsza sprawa z żywnością.

— Żywności nigdzie nie dostaniemy bez kuponów.

— Mam kupony urlopowe nie wykorzystane, ale na to niewiele liczę.

— Pewnie, że tak dobrze nie będzie — zgodziła się Mariann.

— Nie ma sensu pchać się z nimi do obcych, ale myślę po drodze wstąpić do znajomych. We wioskach, koło których będziemy przechodzić, znam paru Mazurów. Do nich będzie można wstąpić, jeżeli tylko są na wolności.

— A jak nie?

— Damy radę. Teraz lato, żywność jest w polu.

Oczyścili obuwie z mułu, a potem Paul rozwinął plandekę i poszukał odpowiedniego miejsca, gdzie by ją rozpiąć. Wyłamał kilkanaście uschłych drzewek i przy ich pomocy sporządził jednospadowy daszek, na którym rozłożył plandekę i zamocował. Mariann zносиła w kocu suche igliwie na posłanie. Oczyszczała je z gałązek i rozkładała warstwami pod daszkiem. Paul

ściągał ze wszystkich stron uschłe drzewka, łamał je na krótsze kołki i wbijał w ziemię od strony szczytowej daszku, a potem w ten sposób zrobił jeszcze drugą ściankę. Wzmocnił też daszek, kładąc na plandekę kilka kołków, żeby wiatr jej nie zwiewał.

— Wygląda możliwe — powiedział zaglądając do budy, gdzie klęczała Mariann. Była zajęta formowaniem wezgłowa, a gdy usłyszała jego głos, usiadła bokiem i pociągnęła ręką po warstwie mchu i igliwia.

— To będzie strasznie kłuło — westchnęła.

— Trochę, ale rozścielimy płaszcz, a pod głowę damy moją bieliznę.

— Szkoda że ja nie wzięłam płaszcza. Mam tylko cienką kurteczkę przeciwdeszczową.

— Można by zasłać kocem — odparł — ale czym się przykryć? Noce są chłodne i jeden płaszcz nie wystarczy, a koc na szczęście jest dobry, prawie nowy.

— Podaj mi te rzeczy — powiedziała bez przekonania — zobaczymy, jak to będzie wyglądało.

Legowisko nie wzbudziło w niej zachwytu, choć mizolila się dłuższy czas, żeby je urządzić.

— Wszystko jedno — rzekła — o lepszym nie ma co marzyć. — Ocierając pot z twarzy wysunęła się z budy i usiadła opodal, gdzie anemiczny cień sosenek dawał złudzenie chłodu.

Paul otworzył słoik z pasztetem i ukroił cztery cienkie kromki chleba.

— Chleb będziemy jeść tylko raz dziennie — powiedział — bo jeden bochenek to trochę za mało na dwie osoby, ale pasztetu mamy pięć słoików.

— Wzięłam wszystko, co było w walizce.

— Bardzo dobrze. Walizkę trzeba będzie tu zostawić, niewygodna do niesienia. Czego nie zdążymy zjeść,

to pójdzie do plecaka, a z twoich rzeczy zrobi się tobolek.

— Niewiele tego. Można było jeszcze wziąć jeden bochenek chleba, ale tak się śpieszyłam, że nie pomyślałam o tym.

— Głupstwo. Mamy pod nosem kartofle. Kiedy się ściemni, rozpalimy ogień i upieczemy je na kolację. Na dnie tej jamy będzie można rozpalić nieduże ognisko.

— Wieczorem może być widać.

— To prawda. W nocy nawet błysk zapalki widać na pół kilometra, myślę jednak, że w tej jamie będzie można.

— A nie lepiej byłoby w dzień?

— Nie. Dym mógłby zdradzić. Tylko wieczorem albo o świcie, bo wtedy nikt się nie włóczy po polach. Na wszelki wypadek, jak rozpalimy ogień, pójdę jeszcze sprawdzić czy nie widać.

Mariann zamilkła, siedziała z kromką chleba w ręku, zamysłona, z wyrazem przygnębienia na twarzy.

— Wiem, o czym myślisz — powiedział — dlatego chciałem, żebyś została w domu. Powinnaś była zostać.

— Nie żałuję. Chyba że ty żałujesz.

— Jeżeli czegokolwiek żałuję, to tylko tego, że się urodziłem — odparł.

Czas im się dłużył, do wieczora było jeszcze daleko i musieli wypełnić wolno płynące godziny rozmową o różnych sprawach związanych z położeniem, w jakim się znaleźli, tylko nie dotykając jednej, jak gdyby oboje umówili się, żeby przemilczać to, o czym ustawicznie myśleli, bo Paul nie miał wątpliwości, że Mariann, podobnie jak on, mówiąc o rzeczach pozornie ważnych ale

bląhych w porównaniu z tym, co ich nurtowało, bez przerwy myśli o czymś innym, dokładnie o tym samym, co on. Ciężyło to jakoś na ich rozmowie i na zachowaniu, które mimo okazywanej wzajemnej życzliwości było niepewne, jakby nacechowane obawą, żeby drugiego czymś nie dotknąć, nie spłoszyć wzajemnego zaufania, które zaledwie zakiełkowało i wymagało troskliwej pielęgnacji z obu stron. Byli omotani niewidzialną siecią własnych przypuszczeń i szamotali się w niej, jak mniemał, oboje wypełnieni dobrą wolą pokonania tej przeszkody dla wspólnego dobra. Dlatego z ulgą przyjął, gdy po wyczerpaniu podręcznych tematów i po przygniatającym dłuższym milczeniu zapytała:

— Ty byłeś górnikiem?

— Pracowałem w kopalni jako pomocnik maszynisty, na górze, ale zaczynałem w hucie. Mój ojciec nie chciał, żebym został bergmanem. Sam zdrowie stracił pod ziemią i chciał mnie kształcić, ale wtedy akurat jak skończyłem volksschule, wybuchł kryzys. Nic nie wyszło z dalszej nauki, musiałem szukać jakiejś roboty.

— A ja przeszłam do dziewiątej klasy. Byliśmy pod Sowietami, a u nich była dziesięciolatka — powiedziała Mariann. — Kiedy przyszli Niemcy, już do szkoły nie chodziłam.

— Może jesteś taka pechowata jak ja — mruknął. — Są ludzie, którym wszystko wychodzi na opak.

— To chyba prawda — powiedziała zamyślona.

— Co do mnie, to nigdy nie miałem za dużo szczęścia w życiu, zawsze musiałem walczyć ze swoim pechem i przez to zrobiłem się uparty. Gdy człowiek musi iść na przekór losowi, nabiera wytrwałości i uporczywości albo ginie.

— Mnie teraz już wszystko jedno.

— To nieprawda. Jakby ci było wszystko jedno, to byś została, ale z takim nastawieniem daleko nie zajdziesz. To dopiero początek, a ty się już załamujesz.

— Wcale nie — odpowiedziała Mariann — wręcz przeciwnie, nie boję się niczego.

— To za mało, zresztą to też nieprawda. Lepiej bać się i mieć nadzieję, niż nie bać się i nie mieć nadziei.

— A ty ją masz?

— Jasne.

— Więc w porządku — uśmiechnęła się. — Liczyłam na ciebie przecież.

Leżała na brzuchu i podłożywszy dłonie pod brodę spoglądała na niego z przekorną ufnością.

— Patrzysz na mnie zupełnie tak samo jak moja siostra Rita, kiedy jej prawiliem kazanie.

— Czy ty zawsze byłeś taki poważny?

Zbył milczeniem to pytanie. Wpatrywał się w jej twarz dostrzegając jakieś nieuchwytnie podobieństwo do twarzy Rity. Może tkwiło ono w tym uśmieszku, który był tylko lekkim skrzywieniem warg i błyskiem w oczach.

— Miałem trzy młodsze siostrzyczki, którymi musiałem się opiekować — rzekł po chwili. — Mama po urodzeniu najmłodszej nie wstała z łóżka. Jako najstarszy z rodzeństwa musiałem je wychować, a to nie było wcale łatwe. Akurat w tym czasie nastął wielki kryzys, największy po tamtej wojnie. Kapitaści bankrutowali jeden po drugim, zamykano fabryki, ograniczono wydobywanie w kopalniach i wciąż były strajki. U nas w domu taka nastąpiła nędza, że już jeść nie było co. Ojcu właśnie w tym czasie przygniotło nogę, a gdy wyzdrowiał nie było już dla niego miejsca w

kopalni. Żyliśmy z renty dziadka Marcina, ale z tego nie można było wyżywić siedmiorga osób.

— Dlaczego nie wróciliście tutaj? — zapytała Mariann.

— Nie wiem. Przypuszczam, że nie było do czego wracać. Wszyscy myśleli, że ten kryzys długo nie potrwa, a on się ciągnął, dopóki Hitler nie doszedł do władzy. Okropnie biedowaliśmy przez ten czas, później już było lepiej, Hitler zaczął się zbroić i wszyscy mieli pracę. To fakt.

— Byłeś zwolennikiem Hitlera?

— Skądże znowu. Przez niego musiałem stamtąd uciekać.

— To dlaczego go chwalisz?

— Powiedziałem tylko, że po jego dojściu do władzy wszyscy znaleźli pracę, trzeba też przyznać, że sytuacja gospodarcza bardzo się poprawiła.

— A dlaczego ty musiałeś uciekać?

— Należałem do Rote Front. Naszą grupę młodzieżową ktoś sypnął, nie mieliśmy żadnej wprawy konspiracyjnej. Gestapo przyszło w nocy po mnie do domu, ale ja już nocowałem u kolegi, więc mnie nie wzięli. Przez dwa tygodnie ukrywałem się, w końcu musiałem jednak nawiać i dziadek wysłał mnie tutaj.

— Twoje siostry już pewnie powychodziły za mąż.

— Wszystkie trzy.

— Za Niemców?

— Dwie za Niemców, a jedna za swojego. Czemu o to pytasz?

— Tak sobie — powiedziała Mariann. — Gdybyś miał dzieci z Lizelottą, byłyby Niemcami.

— Byłyby. Na szczęście nie miałem — rzekł niepewnie. Coś go niepokoiło w tym obrocie rozmowy i posta-

nowił ją przerwać. — Pójdę na skraj lasku — powiedział wstając — zobaczę, czy coś się nie dzieje.

Odszedł czując na sobie jej wzrok i pomyślał, że znów obcość wkradła się pomiędzy nich. Oczy Mariann miały chłodną niebieską barwę. Nawet zimną, pomyślał.

Kiedy zrobiło się całkiem ciemno mogli przystąpić do czynności zaplanowanych w ciągu dnia. Zeszli do potoku, nabrali wody do menażki i do hełmu, wypłukali skarpetki, a w drodze powrotnej Paul wygrzebał spod kilkunastu krzaków po parę kartofli. Noc była bezksiężycowa i mieli kłopoty z odnalezieniem obozowiska, gdyż lasek tworzył teraz czarną, zupełnie nieprzeniknioną gmatwaninę gałęzi, w której musieli szukać drogi po omacku, mając w dodatku zajęte ręce. Stracili sporo czasu, zanim wyszli na polankę, ale Paul rozpaliwszy nieduży ogień, poszedł jeszcze raz.

— Już nie zbłądzę — powiedział — a ty za chwilę, tak za pięć minut, dorzuc do ognia trochę chrustu, zobaczę czy nie widać.

Wrócił zadowolony z obserwacji. Mariann zdążyła już zagotować wodę w menażce i dołała do niej trochę kawy z manierki, a później, gdy już było dość żaru i popiołu, upiekli wszystkie kartofle, tak żeby mieć również zapas na dzień następny. W dekle menażki podgrzali pasztet, zjedli z kartoflami. Potem zaspokoili pragnienie wodą z menażki żałując, że nie wpadło im do głowy wziąć paczkę zbożowej kawy, przecież znajdowała się w spiżarni.

Noc była ciepła, nagrany za dnia piasek promieniował, a macierzanka i suche trawy zagłuszały swoim

zapachem woń spalenizny. Ognisko spopielalo zupełnie, tylko tu i ówdzie tliła się iskierka, ale oni siedzieli milcząc i odwlekając chwilę udania się na spoczynek. Dopiero, gdy fosforyzowane wskazówki na zegarku Paula osiągnęły godzinę jedenastą, powiedział z lekkim zażenowaniem:

— Nie ma rady, trzeba iść spać.

— Nie wiem, czy zasnę.

— Szkoda, że mamy tylko jeden koc — mruknął. — Będę spał w spodniach.

Milcząco przyjęła to do wiadomości i odeszła w stronę namiotu. Przeczekał chwilę, a potem wczuł się do budy i odchyliwszy koc położył się koło Mariann.

— Dostyc miejsca dla dwojga — powiedział — i nawet miętko.

— Tak. Tylko szpilki kłują mnie w pięty.

Uśmiechnął się:

— Musisz się przyzwyczaić.

— No pewnie — powiedziała.

Milczał czas jakiś wsłuchując się w jej obecność, odległą zaledwie o dłoń i niewidoczną w głębokiej ciemności, ale wyczuwalną przez oddech, ciepło ciała i tę wspólnotę koca, która przedłużając dotyk nie zaspokajała poznania, tylko zachęcała do wyobrażenia sobie czegoś więcej i jednocześnie mniej niż było. Czuł, że ogarnia go podniecenie, gonitwa myśli, której nie może pohamować w tej denerwującej ciszy i że trzeba powiedzieć cokolwiek, aby ją przerwać, bo ta cisza staje się złym doradcą.

— Kiedyś byłem bardzo wygodny — odezwał się — ale teraz mógłbym spać na kamieniach.

— A ja chyba oka nie zmrużę.

— Wciąż się boisz, że będę się do ciebie dobierał.

— Nie — odpowiedziała bez wahania.

Poczuł się jakby dotknięty tą jej pewnością i trochę zdziwiony.

— Naprawdę?

— A wolałbyś, żebym się bała?

— Mógłbym teraz zrobić z tobą, co tylko bym chciał.

— Mogłeś to zrobić we młynie i jeszcze przedtem, a nie zrobiłeś.

— Ale teraz nikt nie jest w stanie mi przeszkodzić. Nie uciekniesz, nie wymkniesz mi się, nikt nie usłyszy twego krzyku.

— Chcesz mnie przestraszyć?

— Wiesz dobrze, że tego nie zrobię.

— Więc po co o tym mówić. — W jej głosie zabrzmiał ton łagodnej wymówki, ale wciąż nie było w nim cienia niepokoju.

— Bo myślę o tym — odparł — słyszę w sobie ten diabelski głos, choć nie chcę go słyszeć.

— Daj spokój, Paul.

— To nie zależy ode mnie — ciągnął dalej — w każdym człowieku są dwie natury.

— Możliwe. Mnie też się tak czasem zdaje.

— Jak zrobisz coś złego, to odzywa się w tobie sumienie, a jak chcesz coś dobrego, to zaraz jakiś szatan szepcze ci, nie bądź głupi, nic na tym nie zyskasz, nie udawaj świętego. Stale mam z tym do czynienia i to jest bardzo męczące bez przerwy toczyć ze sobą walkę. Czy ty nigdy tego nie odczuwasz?

— Nie zastanawiałam się.

— Masz szczęśliwe usposobienie. Bo ja przeciwnie, nie znajduję chwili wytchnienia, można powiedzieć, że bezustannie patrzę w siebie i przeważnie jestem prze-

rażony nikczemnością tej drugiej natury, która przecież też jest mną. Wydaje mi się, że ona jest we mnie silniejsza i powiadam ci, czasami czuję taki wstręt do siebie, że bym się zabił.

— Nie masz powodu. Wcale nie jesteś taki zły.

— Zdaje ci się. Jeszcze mnie mało znasz. Nikt mnie nie zna, ale ja siebie znam. Co z tego, że czasami chcę być uczciwy, to są tylko pozory. Tam w środku siedzi coś całkiem innego, cała zgnilizna moralna, w której człowiek się topi. Myślę, że nie ma nic gorszego, jak widzieć gnojówkę we własnej duszy.

Mariann milczała i sądził, że teraz zaniepokoił ją trochę, ale ona po chwili zapytała:

— Masz wyrzuty sumienia z powodu Handta?

— Nie — odpowiedział — to było konieczne i sprawiedliwe, ale zabijałem niewinnych ludzi, Francuzów, Anglików, Greków, Rosjan, strzelałem do nich i zabijałem, choć mogłem tego nie robić, choć zanim poszedłem na wojnę, przysiągłem sobie, że nie zabiję nikogo...

— Ty należysz do jakiejś sekty — przerwała mu jak gdyby nie przyjmując do wiadomości jego samopotępienia i jakby jej to zupełnie nie interesowało. Był rozczarowany i prawie zły z tego powodu, ale nagle pytanie wydało mu się zabawne i rozbroiło go od razu.

— Nie — uśmiechnął się — w ogóle nie wierzę w Boga, uważałem jednak, że nie należy zabijać ludzi, którzy bronią swojej ojczyzny. Ale człowiek, kiedy dostanie do ręki karabin, zapomina o najświętszych przyrzeczeniach. Musi zabijać i chce zabijać, wcale nie dlatego, że mu każą albo żeby sam nie został zabity. Nie! Każdy to robi, bo ma karabin, bo mu dano możliwość zabijania. Nie potrafiłem się oprzeć tej chęci, niestety,

i nawet nie zawsze dręczyły mnie wyrzuty sumienia. Z początku nie myślałem o tym wcale. Kto przeszedł front, staje się zdolny do największej podłości i dlatego nie ufam sobie. Ty też nie ufaj mi.

— Byłam na to przygotowana.

— Na co? Że mogę tak myśleć, czy że mogę tak zrobić?

— Nie wiem, jak to wyrazić. Liczyłam się z taką możliwością.

— To znaczy przypuszczałaś, że mogę okazać się podły.

Mariann milczała. Poczul się zraniony tą niewiarą i rzekł cierpko:

— No powiedz!

— Nic takiego nie przypuszczałam — powiedziała wreszcie. — Nie jestem dzieckiem i rozumiem wszystko.

— Obawiam się, że niewiele rozumiesz.

— Wszystko co trzeba. W każdym razie więcej niż ci się wydaje.

— Chciałbym wiedzieć, co ty właściwie o mnie myślisz.

— Na pewno dobrze. Inaczej nie znalazłabym się tutaj.

— Nie o to mi idzie — mruknął. — Mówiłem, że niewiele rozumiesz.

Mariann nie odezwała się i zapadło milczenie brzemienne w słowa nie wypowiedziane, jak gdyby zaczone w ciemności, które oboje wazyli z obawą, wahaniem czy lękiem. Wokół nich, na zewnątrz budy w zagajniku i na polach również panowała cisza, tylko suche gałązki z trzaskiem co chwila opadały na ziemię. Leżeli tak obok siebie nieruchomo, wciąż nie mogąc

przełamać onieśmielenia, w pozornym spokoju, wyczekując kto pierwszy zdobędzie się na odwagę powiedzenia tego, co ostatecznie musiało być powiedziane.

— Nie miałem zamiaru poruszać tego tematu — zaczął znowu — i w ogóle niepotrzebnie mówiłem, ale wydało mi się, kiedy położyłem się tu obok ciebie, że ty możesz myśleć to samo. Chciałem jakoś temu zapobiec, no i tak wyszło niedobrze. Czuję, że bardzo niedobrze to wyszło, a ja chciałem tylko, żebyś zrozumiała, że cię kocham i że nic ci z mej strony nie grozi.

— Właśnie o tym myślałam.

— Powinienem to powiedzieć za dnia i wtedy wszystko byłoby na miejscu. Wiem także, że ty mnie nie kochasz i nie oczekiwałem tego. Należało sobie to wszystko wyjaśnić zawczasu, ale ja nie miałem śmiałości, czy może nie umiem o tych sprawach mówić jak trzeba, a to było konieczne, nie uważasz?

— Chyba tak lepiej.

— Musi być między nami szczerłość, bo inaczej nie idzie wytrzymać. Nie masz do mnie żalu?

— Nie, Paul. Powiem ci prawdę, byłam przygotowana na gorsze.

— Mówisz poważnie?

— Tak. Byłam przygotowana, ale mimo to przeczuwałam, że będzie tak, jak jest. Żałuję tylko... Paul, nie masz pojęcia jak mnie wzruszyłeś tam we młynie...

— Nie pocieszaj mnie tym, wiem, że nie możesz mnie kochać.

— Dlaczego nie potrafisz wczuć się w moje położenie?

— Właśnie wczuwam się, o nic więcej mi nie szło tylko o to, żebyś wiedziała, że rozumiem twoją sytuację.

cję. Nie musisz ani robić nic, ani mówić nic, żeby mnie zjednać, to niepotrzebne.

— Wiem, że niepotrzebne.

— Ich verehre dich. Szkoda, że nie potrafię powiedzieć tego po polsku. Znam tylko naszą gwara i to nie-dobrze, dlatego takie wyszły nieporozumienia. Po niemiecku to bym się wyjęzyczył, ale znowu ty nie rozumiesz. No, wszystko jedno, w każdym razie możesz spokojnie spać — zakończył żartobliwie — spróbuj zasnąć.

— Spróbuję — potwierdziła z pewną skwapliwością.

— Zatem dobrej nocy.

— Dobranoc.

Nie odezwał się więcej. W nieprzeniknionej ciemności wyławiał nieznaczne poruszenia Mariann, jej oddech, jej obecność zniewalającą do myślenia wyłącznie o niej. Zastanawiał się, czy ta jego miłość jest rzeczywiście eine sonderbare Verehrung oder eine sogenannte ideale Liebe. Czy rzeczywiście uwielbia ją bez pragnienia wzajemności. I zaczął szukać wsparcia dla tych myśli w rozpamiętywaniu czterech zaledwie dni, w jakich zamykała się głęboka czułość jego serca.

Leżał na wznak oddzielony od Mariann wolną przestrzenią wypełnioną fałdą koca. Znowu zmieniła położenie ciała, obróciła się na bok twarzą do niego i czuł jej oddech, docierający do szyi ciepłym powiewem. Sprawiał mu rozkosz, jakby go dotykała ustami. Przez chwilę wyobrażał sobie, że znajdują się one całkiem blisko i wystarczy nieznaczny ruch głowy, aby je odczuł naprawdę. Ale nie wykonał go. Otworzył oczy i zobaczył, że ciemność na zewnątrz szalasu zrzędała, co

wskazywało, że noc dobiegała końca. W budzie pannał jeszcze zupełny mrok.

Po pewnym czasie tego przytomnego czuwania usłyszał szept:

— Nie śpisz?

— Nie — odpowiedział.

— Taka jestem zmęczona — westchnęła — a nie mogę usnąć.

— Do wszystkiego trzeba się przyzwyczaić.

— Te gałązki w lesie bez przerwy trzaskają, jakby ktoś chodził. Wciąż mi się wydaje, że to on.

— Kto? Handt? Nie zwracaj sobie głowy.

— Przeze mnie zginął mimo wszystko.

— Nie przez ciebie, przez swoje łajdactwa.

— Gdybym ci nie powiedziała, byłby żył.

— I co? Żałujesz go?

— Nie. Ale tak mnie to jakoś dręczy.

— A mnie nic a nic.

— Jednak myślę, że nie trzeba go było zabijać.

— Nie spodziewałem się wcale, że wszystko weźmie taki obrót, chciałem ciebie uwolnić od tego łotra i nie było innego sposobu.

— Uciekłabym.

— Nic o tym nie wiedziałem, dla mnie nie było innego sposobu, tylko ten. Zresztą musiałem go zabić.

— Nie przypuszczałam, że jesteś taki bezwzględny.

— Wcale nie jestem. A ty wolałabyś, żebym go nie zabił?

— Nie myślałabym teraz, że on tu gdzieś może być.

— Mówisz jak dziecko. Jak to może gdzieś być?

— Tak mi się wciąż zdaje.

— To nie jest pewne, czy go zabiłem. Strzeliłem do niego spod pachy. Wprawdzie trafiłem go dobrze, ale

strzał nie musiał być śmiertelny. Widziałem tylko, że upadł. Kto wie, może żyje, może tylko ciężko ranny.

— Byłoby dobrze — westchnęła.

— To jest całkiem możliwe — mówił, aby rozproszyć jej lęk — byłbym nawet zadowolony, gdyby nie zdechł od razu. Taka beczka łożu potrafi dużo wytrzymać. Teraz sobie przypominam, że gdy wychodziłem z karczmy, on się jeszcze zdrowo ruszał. Jestem przekonany, że musiałem go źle trafić.

— Myślisz?

— Znam się trochę na tym.

Westchnęła znowu i milczała chwilę, a potem rzekła:

— Dziadek Gottlieb będzie mieć do ciebie żal.

— Jeśli będzie miał, to z innego powodu. Kiedyś ci opowiem z jakiego. Handta on nie cierpiał. Dużo by o tym opowiadać.

Usiadł i okrył ją swoją częścią koca.

— Teraz już śpij i nie myśl o niczym, bo znowu wynajdziesz sobie jakieś świeże zmartwienie.

— Dlaczego mi dajesz tyle koca?

— Bo wstaję. Rozpalę ognisko.

— Po co?

— Trzeba zrobić trochę gorącego popiołu i trzymać w nim kartofle, żeby były ciepłe do południa. Teraz najlepsza pora.

— Nie jesteś śpiący?

— Co tam dla mnie. Jeszcze się wyśpię.

— Pochłodniało, prawda?

— Dosyć. Czekał, okryję cię porządnie kocem.

Otulił ją szczelnie, owijając nogi i prześlizgując się dłońmi wzdłuż ciała aż do szyi, a gdy natknął się na pasmo włosów okalających kark, pogłaskał ją czule po głowie:

— Śpij, śpij!

Potem wyczołgał się z budy trzymając bluzę w ręku. Niebo szarzało, wierzchołki drzewek tonęły w mgle zasłaniającej gwiazdy.

Po dwóch godzinach mgła zrzędła i nagle zaczął padać deszcz. Grube krople zaszeleściły wśród gałęzi, a żar ogniska czerniał, z sykiem wyrzucając małe obłoczki pary. Paul zagrzebał w popiele kartofle i usypał nad nimi wysoki kopczyk piasku. Niebo zasnutę jednostajnie nie wróżyło rychłego roz pogodzenia. Wrócił do szałas, ale zanim zachołgał się pod dach, obejrzał go uważnie ze wszystkich stron. Powinien wytrzymać ulewę. Ostrożnie usiadł na skraju posłania.

Mariann spała podkuliwszy kolana i niewiele zostało miejsca obok niej. Pod podwójnie złożonym kocem musiało jej być ciepło, bo rękę i barki miała odkryte. Od- dychała równo, a nieznaczny szmer, jaki sprawił wcho- dząc do budy, nie zakłócił jej spokojnego snu.

Rosa srebrzyła pola, a po dolinach mgliste opary sprawiały wrażenie cichych jezior, w których brodzili kierując się ku lasowi. Godzina była szara i ptaki jeszcze milczały. Po trzydniowej słocie noc wreszcie nastąpiła pogodna i zimna, wróżąca korzystną zmianę. Szli miedzami nadkładając drogi, żeby nie robić zbyt widocznego śladu, choć Paul twierdził, że wciąż padająca rosa zniweczy ich trop, zanim oracze wyjdą na pola. Kroczył przodem, stawiając długie kroki, pochylony i czujnie wpatrujący się w mglistą przestrzeń, a za nim dreptała Mariann z niedużym tobołkiem w ręku. W zupełnej ciszy, jaka panowała w powietrzu, ich stapania były jedynym nikłym zresztą odgłosem życia, niezdolnym nawet do spłoszenia zająca, który zerował spokojnie na zagonie pastewnych buraków i kiedy go mijali odkicał bez pośpiechu w głąb zagonu, skąd wystawił ciekawie uszy. Po kwadransie dotarli do lasu, lecz zanim do niego weszli, kroczyli jakiś czas skrajem aż natrafili na rozstaje kilku dróg krzyżujących się kapryśnie na piaszczystym gruncie między kępkami karłowatych i pokrzywionych sosen. Pod jedną z nich na pagórku zatrzymali się i spojrzeli ostatni raz na pole Stillwasser i na prostokątną plamę młodnika, który przez trzy doby służył im za schronienie.

— Już nigdzie nie będzie nam tak dobrze — powiedziała Mariann.

Paul skinął głową.

— Te lasy znam — odparł wskazując na wschód — przez pięć lat wywoziłem z nich drzewo traktorem. Do Hohenstein znam wszystkie drogi i po drugiej stronie szosy też, prawie do Passenheimu. Dalej to już nie mam pojęcia jak będzie. Ale tam także lasy i lasy.

— Przydałaby się mapa.

— Pewnie. Ale przeważnie nocami będziemy szli, a w nocy z mapy niewielki pożytek. Przydałaby się jednak.

— Myślisz, że jeszcze będą nas szukać?

— Skąd mogę wiedzieć. Przypuszczam, że raczej tak, tylko z każdym dniem coraz słabiej. Na pewno już przetrząsnęli okolice.

— W taki deszcz?

— To żadna przeszkoda — mruknął — zresztą przez cały czas nie lało. Kiedy mój batalion został zdziesiątkowany pod Kurskiem, wycofano nas aż pod Bobrujsk. Deszcz nie deszcz, śnieg nie śnieg, szło się i już. Tylko złość brała większa i marny los tego, kto dał się wziąć żywcem.

— Straszne uczucie być tropionym jak dzikie zwierzę.

— Wszystko zależy od sprytu i odwagi. Jeśli idzie o rosyjskich partyzantów, to baliśmy się ich więcej niż oni nas.

— My jesteśmy w innej sytuacji.

— Jasne.

Marian wzięła go za rękę i przytuliła do jego ramienia.

— Z tobą się nie boję.

Znieruchomiał czujnie, lecz ona odsunęła się nic nie wiedząc, jak mocno zabiło w nim serce.

Weszli do lasu i szli obok siebie drogą, po której dawno nikt nie jeździł. Wysoka trawa zraszała im nogi, była soczyście zielona, nie wypalona słońcem i dopiero dojrzewająca. Dalej po obu stronach za pasmem rzadkich zarośli, u stóp wysokich sosen, jak okiem sięgnąć pleniły się krzaczki czarnych jagód. Wśród szarozielonych listków gdzieś widać było spóźnione owoce. W lesie panował jeszcze półmrok, choć niebo nad drogą pojaśniało i gwiazdy znikły za pierzastymi obłokami, wybielającymi zmatowiały błękit. Droga teraz wiodła na wschód, przez rozległą porębę, na nowo zalesioną młodymi sosenkami, które z trudem wychylały się z bujnych chwastów i krzaków malin, pochyłonych ku ziemi i brzemiennych nadmiarem rosy.

Nagle zaróżowiony horyzont pękł i ogromne żółte słońce wyskoczyło z czerwieni. Wszystko dokoła zaczęło sypać iskry, siatki pajęczyn ujawniły swą obecność pośród gałązek i odezwały się pierwsze ptaki.

— Jak tu pięknie — powiedziała Mariann przystając. Paul rozejrzał się.

— Być może — odparł — przed wojną z tej poręby wywoziłem drzewo i gdzieś w tym miejscu złamałem tylną oś przyczepy. Straciłem wtedy trzydzieści marek.

— Świat jest cudowny, gdy człowiek czuje się wolny.

— Dla ludzi z miasta las zawsze wydaje się piękny. Jak tutaj przyjechałem z Essen, miałem wielką przyjemność chodzić do lasu. Później mi spowszedniało.

— Chciałam powiedzieć, że tylko wolność pozwala cieszyć się światem. Wtedy jest piękny w każdym miejscu — powiedziała Mariann. Stała pośrodku drogi smu-

kła i rozchwiana, z radością w oczach. Potrząsnęła puszystymi zwichrzonymi włosami, okalającymi skronie i spływającymi łagodną falą po szyi. Usta miała rozchylone w uśmiechu i nozdrza jej drgały, wciągając ciepłą żywiczną woń.

— Ale jesteś ładna — powiedział.

Zarumieniła się i odwróciła twarz, nie mogąc jednak ukryć rumieńca na wystawionym do słońca policzku. Dostrzegł na nim, w pobliżu ust, nieduży jasnobrązowy pieprzyk.

— No tak — bąknął — chodźmy.

Komary w popłochu sterowały z wysłonecznionej nad drogą przestrzeni w stronę cienia.

Dwukrotnie opuszczali leśny trakt. Raz zauważyli kobietę prowadzącą krowy do zagrody, drugim razem omal nie natknęli się na jakiegoś starca, który zaorywał ściernisko pod samym lasem i zatrzymał się tuż przy drodze, by poprawić uprzęż. Zastłaniały ich krzaki ale w porę usłyszeli brzęk łańcuchów. Byli tak blisko, że konie ich poczuły; parsknęły i zastrzygły uszami. Chłop zajęty uprzężą nie zwrócił na to uwagi i zdążyli w porę zejść mu z oczu. Nauczeni tym doświadczeniem obchodzili pola skrajem lasu, unikając miejsc odkrytych. Teren był pagórkowaty, porośnięty starodrzewiem, a droga wiodła szerokim piaszczystym duktem, na którym po obu stronach rosły gęste krzaki. Ze szczytu każdego wzniesienia widzieli dolinę, czasami dwie, trzy dalsze, co dawało im poczucie bezpieczeństwa, ale mimo to pod każde wzgórze wchodzili ostrożnie, a Paul trzymał w pogotowiu odbezpieczony karabin.

Pnie sosen były czerwone od słońca, ich korony szumiały kołysane lekkim wiatrem, który w dole dawał się odczuć. Pod krzakami rumieniły się poziomki, a gałązki malin były oblepione jagodami.

W jednym miejscu zatrzymali się na chwilę i ugasili nimi pragnienie, a potem wspięli się na kolejne wzgórze.

Gdy osiągnęli jego szczyt, Paul nagle poderwał karabin do strzału i krzyknął:

— Halt! Hände hoch!

Przed nim o pięć kroków zaledwie na siodlastym grzbiecie pagórka stali Helmuth i Jutta Izbrandt. Przez ramiona mieli przewieszzone fuzje, na barkach wypchane plecaki. U szyi chłopca na cienkim rzemyku zwisała myśliwska lornetka.

Paul opanował nerwowy dreszcz, jaki go przeszył.

— W tył zwrot i nie ruszać się — powiedział ciszej. — Jeden podejrzany ruch, a zastrzele was oboje.

Obrócili się potulnie, ich oczy nieprzytomne z przerażenia zdradzały, że nie są zdolni do oporu, byli podobni do dzieci złapanych na kradzieży jabłek i oczekujących, że za chwilę dostaną w skórę, lecz Paula nie zwiodła ta potulność, ani nie wzruszyła. Podszedł do nich i przyłożył Helmuthowi lufę do karku. Skinął głową na Mariann, która zatrzymała się w tyle:

— Zdejm jej fuzję — wskazał głową na Juttę.

Drżącymi rękami wykonała polecenie, była tak samo blada jak tamci i tak samo na wpół przytomna.

— A teraz jemu — powiedział. — Weź tę fuzję na ramię — dodał widząc, że nie wie, co zrobić z bronią trzymaną w ręku.

Gdy już ich rozbroiła, kazał jej zdjąć z barków Jutty plecak i przywiązać mocno jedną szelkę do prawego

ramienia dziewczyny, a drugą do lewego ramienia chłopca. Robiła to powoli i niezdarnie, i musiał ją strofować, żeby dobrze zacisnęła węzły. Rozdrażniony tym pchnął chłopca lufą w plecy mocniej, niż było trzeba:

— Maszerować przed siebie. Jazda! Przy najmniejszej próbie ucieczki strzelam bez ostrzeżenia.

Ruszyli ze skwapliwą gorliwością, brnąc przez piach drogi. Po kilkunastu krokach kazał im skręcić w las, w prawo, aż odszedłszy spory kawałek znaleźli się w niewielkiej kotlinie.

— Siadać — zakomenderował.

Usiedli w miejscu, zdyszani, jedno przy drugim, spętani szelkami plecaka. Ich karki połyskiwały potem. Wciąż milczeli, od chwili spotkania żadne słowo nie padło z ich ust i Mariann nie odezwała się ani razu, jakby strach odebrał im mowę albo jakby wszyscy troje poddali się beznadziejności sytuacji. To była cisza rzeczywiście śmiertelna dla nich i długo nie mogli jej znieść.

— Co chcesz z nami zrobić? — zapytał wreszcie Helmut nie odwracając głowy. Głos miał drżący, ale usiłował mu nadać spokojne brzmienie.

— Dowiedcie się zaraz — rzekł Paul.

— Zabijesz nas?

Nie odpowiedział. Mariann błagalnie chwyciła go za ramię, ale wyszarpnął się.

— Zostaw mnie — rzekł szorstko i obszedł dokoła siedzących. Usiadł naprzeciw z karabinem wciąż gotowym do strzału. Jutta wlepiała w niego oczy. Usta miała wciąż otwarte, jakby zamarł w nich krzyk i jakby lada chwila miał je ożywić. Zastanawiał się co robić, jeśli ona zacznie krzyczeć. Nieraz widział kobiety rea-

gujące w ten sposób po dłuższym martwym milczeniu i żadna groźba nie była w stanie ich wstrzymać, krzyczały dopóki cios lub wystrzał nie uciszył ich na zawsze. Nie czuł się zdolny do takiego okrucieństwa i nie znajdował w myśli żadnego wyjścia. Mariann, która pozostała za plecami siedzących, dawała mu błagalne znaki. Była równie przerażona jak tych dwoje wyrostków. Oni wszyscy zdawali sobie sprawę, że nie ma tu mowy o litości i że w ciszy, jaka nastąpiła, rozstrzygają się ich losy. Patrzyli na niego jak na kata, jakby wyrok już zapadł, czytali w jego myślach to, o czym sam jeszcze nie wiedział. Oni, wszyscy troje, zgodni, choć wcale nie zjednoczeni losem, który kogoś musiał oszczędzić albo kogoś zgubić.

Starannie ukrywał swą rozterkę w zmarszczeniu brwi i zaciśnięciu szczęk aż do bólu. Nie wypuszczał z rąk karabinu wymierzonego w pierś chłopca.

— Nie! Nie! — zawołała Jutta.

— Nie krzycz — rzekł — bo będę musiał cię ogłuszyć.

Uwierzyła w tę groźbę i skuliła się jakby w oczekiwaniu ciosu, choć nie wykonał żadnego ruchu.

— Nie zabijaj nas — powiedziała prawie szeptem.

— Chciałbym tego uniknąć — odparł — myślę nad tym.

— Przysięgam, że nie powiemy nikomu, żeśmy was widzieli.

— I ja mam w to uwierzyć, co? Łaziliście z żandarmami, a teraz będziecie siedzieć cicho?

— Taki był rozkaz — powiedziała.

Helmuth spojrział na nią gniewnie:

— Milcz! Myślisz, że coś ci pomoże? On chce tylko od nas wyciągnąć, co wiemy.

Jutta spojrzała niepewnie na Paula. Potrząsnął przecząco głową.

— Nie słuchaj go.

— Co chcesz z nami uczynić?

— Jeszcze nie wiem. Muszę się zastanowić. W każdym razie, Jutta, nie bój się, nic ci nie grozi.

— Puścisz nas? — zapytała.

— Żebyście sprowadzili nam na kark całą zgraję żandarmów?

— Przysięgam, że słowa nie powiem.

— Sama nie wierzysz w to, co mówisz — powiedziała bez ironii.

— Przysięgam.

Paul skierował wzrok na Helmutha.

— Ale on? Czy za niego także przysięgniesz?

Nie odpowiedziała. Chłopiec też milczał, siedział nieporuszony, blady i tylko jego spojrzenie zdradzało co przeżywa. Widać było, że usiłuje nadać mu nienawistny wyraz i zapanować nad nerwowym rozbieganiem oczu. Przymykał co chwila powieki, ale zaraz unosił je i rozmazywał nienawiść w wilgotnym zamgleniu źrenic.

Na dobrą sprawę powinienem was wykończyć — rzekł Paul.

Jutta zaprzeczyła ruchem głowy.

— Nie zrobisz tego.

— Nie jestem mordercą. Gdybym nim był, nie męczyłbym się teraz nad tym, co z wami począć. Do diabła, że też musieliśmy się spotkać.

— Puść nas, Paul — rzekła błagalnie.

— Wykluczone. Nie widzę innego wyjścia, jak tylko związać was i tu zostawić.

Jutta odetchnęła głęboko, na jej rozchyłonych war-

gach pojawił się lekki uśmiech. Nie próbowała ukryć swej radości i wyraziła ją dziękczynnym spojrzeniem Paulowi w oczy.

— Jednak związę was tak — rzekł chłodno — żeby upłynęło kilka godzin, zanim zdążycie się uwolnić. Będę musiał was porządnie spętać i może nawet zostanieie tu przez noc. Gdyby mi się to udało, to dopiero jutro moglibyście zawiadomić żandarma, a my przez ten czas będziemy daleko stąd.

— Nie wymkniecie się — rzekł Helmuth — nawet gdybyśmy milczeli. Myślisz, że obława zakończona?

— Spodziewam się że nie, ale dlaczego was puścili?

— Nie powiem ci.

— A ty, Jutta, też nie powiesz?

— Milcz — rzekł do niej Helmuth. — Nie wolno ci nic mówić.

Dziewczyna spojrzała na Paula i zrobiła usprawiedliwiający gest ręką. Wydawało mu się, że dostrzega w jej oczach nie tylko uspokojenie, ale coś w rodzaju odrodzonej sympatii lub może wdzięczności za to, że darował im życie. Odpłacił jej smutnym uśmiechem i w duchu nie miał już za złe, że wzięła udział w obławie.

— Boisz się, że cię sypnie — powiedział — to całkiem możliwe. Nie musisz nic mówić, ja i tak domyślam się, dlaczego was zwolnili. Szukają teraz gdzie indziej, nie w tych lasach, prawda?

— Tak — powiedziała — już wczoraj puścili wszystkich, tylko my zostaliśmy u ciotki w Elgnau, bo padał deszcz. Żandarmów wojskowych dużo się zjechało, bardzo dużo i SS, robią wielką obławę w lasach po tamtej stronie szosy. Wszystkie drogi i mosty obstawione są dokładnie, na wszystkich przejściach stawiają po-

sterunki. Wydrukowano listy gończe z twoją fotografią, dziś pewnie już rozlepiają.

— Widziałaś te listy gończe?

— Nie. Ale słyszałam, jak mówili, że już są i mają rozlepić.

— Bardzo szybko to załatwili — mruknął — a przez was jutro będą na naszym tropie.

— Ja bym słówka nie pisnęła, Paul — powiedziała dziewczyna i zerknęła na Helmutha. Chłopiec siedział z opuszczoną głową, ponury i zacięty. Odwrócił twarz, jakby nie chciał słuchać tego, co mówiła Jutta. Paul przyglądał mu się, tłumiąc w sobie rozdrażnienie.

— Po nim nie mogę się tego spodziewać — odparł — nawet gdyby mi na klęczkach przysięgał. Jego prawo szukać zemsty, nie mogę mieć do niego żadnych pretensji.

Helmuth drgnął i uniósł głowę.

— Nigdy ci nie przebaczę, rozumiesz, niczego.

— Nie potrzebujesz mi tego mówić. Przypuszczam, że byś się cieszył, gdyby mnie powiesili.

— Dlaczego go zabiłeś?

— A wiesz dlaczego Benno Neumann mu się odgrażał?

Helmuth poczerwieniał i pochylił głowę.

— Benno nie znał całej prawdy, bo gdyby znał, nie skończyłoby się na pogrózkach. I nie tylko on, mogę ci wymienić paru innych, ale ty sam wiesz lepiej ode mnie. A może nie wiesz?

— Nie twoja sprawa.

— Była też i moja. Właśnie dlatego, że była, to się stało. Inaczej nie zabiłbym go.

— Nigdy ci tego nie wybaczę.

— Nie żądam. Masz prawo mnie nienawidzić, tak samo jak mam prawo ukatrupić was.

— Na co czekasz?

— Powiedziałem wam już, że nie jestem bandytą i mordercą.

— Jesteś dezercerem, zdradziłeś Führera i ojczyznę.

— Tego wariata? I ten kraj przeklęty przez cały świat? Dawno należało mi to zrobić.

— To jest zdrada.

— Nazywaj sobie jak chcesz — rzekł zniecierpliwiony — nie będę się przed tobą tłumaczył, ty bękarcie Hitlera. Dostyc tego gadania — powiedział ostro, wstał i skinął na Mariann — daj tu fuzję.

Gdy podeszła i złożyła broń, kazał jej obejść ich z tyłu i opróżnić obydwie plecaki. Było w nich, prócz ciepłej bielizny i przyborów toaletowych, parę kanapek z wędliną. W manierkach przytroczonych do boku mieli kawę z mlekiem.

— Będę wam musiał zabrać wszystką żywność — powiedział do Jutty — przegłodzicie się trochę i na to nie ma rady.

Był trochę podenerwowany całą rozmową, a także tym, że nie miał pewności, czy uda mu się porządnie ich związać. Wyjął z pochwy bagnet i odciął paski od fuzji. Zaszedł od tyłu Helmutha i związał mu ręce na plecach, potem dopiero uwolnił jego przedramię od szelki plecaka Jutty. Spętanie obojga zajęło mu sporo czasu, bo wciąż musiał uważać, żeby któreś z nich nie próbowało ucieczki. Wszystko, co się tylko dało, pociął na pasy. Nie był bardzo pewny czy więzy, które z nich sporządził, będą dostatecznie wytrzymałe i niezbyt zadowolony kilkakrotnie sprawdzał nałożone pęta.

— Niestety, będę jeszcze musiał zakneblować wam usta i zawiązać oczy — rzekł po chwili — zawsze to lepsze, aniżeli bym was przywiązał do drzewa, bo moglibyście zdechnąć z głodu i pragnienia. Położę was oczywiście osobno, jakoś się znajdziecie prędzej czy później. Postąpiłem z wami najłagodniej, jak tylko było możliwe — powiedział usprawiedliwiająco, ale dostrzegłszy ironiczny grymas na twarzy Helmutha dodał:

— Możecie myśleć, co wam się podoba, to mnie zupełnie nie interesuje i więcej nie mam wam nic do powiedzenia.

— A co ze strzelbami — zapytał Helmuth — zabierzesz?

— Mogę je zostawić. Nie są mi potrzebne, zabiorę tylko lornetkę, bo się przyda.

Spojrzał na Juttę i pokiwał głową:

— Masz stracha, co? Przykro mi, nie trzeba było iść, żeby na nas polować, to nie jest zajęcie dla dziewczyn.

— Kazano nam. Cała wieś szukała i z sąsiednich wiosek ludzie też musieli.

— Długo?

— Jeden dzień, ale nas zwolnili dopiero wczoraj.

— Możemy jeszcze kogoś spotkać?

— Chyba nie.

— Trzeba będzie uważać — mruknął.

— Tak — powiedziała Jutta. Patrzyła na niego przychylnie, a jej twarz nie zdradzała już lęku. Może naprawdę żałowała, że dała się wciągnąć w tę okropną historię, a może tylko nadrabiała miną. Wziął ją na rękę i zaniósł kilkanaście kroków dalej do miejsca ocienionego krzakami. Rozejrzał się czy nie ma w pobliżu mrowiska, a potem zakneblował jej usta.

— Miałem ci jeszcze zawiązać oczy — powiedział

ściszonym głosem nachylając się nad nią — ale postanowiłem oszczędzić ci tej przykrości, zresztą po omacku moglibyście się nie odnaleźć i zginąć marnie. Jemu jednak zawiążę. Słuchaj, Jutta — mówił cicho — jeżeli możesz, to rób tak, żebyście przed północą nie byli w domu. Helmuthowi nie przyjdzie łatwo oswobodzić się, solidnie go związałem. Wszystko będzie zależało od ciebie, gdybyś wytrzymała do wieczora — byłoby dobrze. Zrobisz to?

Skinęła pokornie głową.

— Masz piękne oczy — powiedział trochę wzruszony — jak fiołki — spoglądał w nie i starał się w nich odczytać prawdę — takie nie powinny być złe. Wierzę ci.

Odgarnął jej włosy z czoła i zawrócił nie oglądając się.

Odeszli na wschód w kierunku drogi, ale po chwili Paul wziął Mariann za rękę i skręcił z powrotem w las, na północ. Brodzili w mchach i wśród paproci, na których rosa nie obeschła, a gdy osiągnęli grzbiet wzniesienia, Paul zatrzymał się w cieniu wyniosłego świerku i zdjął plecak.

— Tu zostaniemy na razie — powiedział.

— Nie jestem wcale zmęczona.

— To nic. Nie ruszymy się stąd do wieczora — odłożył karabin i usiadł — teraz już nam wszystko jedno i tak będzie lepiej.

— Nie wiem — powiedziała odpinając szelki plecaka. Położyła go na mchu i usadowiła się na nim jak do chwilowego odpoczynku, w pogotowiu do dalszej drogi.

Oni muszą być gdzieś blisko. Zatoczyliśmy taki łuk, prawda?

— No! Są tu zaraz, może dwieście kroków stąd. Ja tylko markowałem, że zależy mi na czasie, by myśleli, że chcemy odskoczyć jak najdalej. Niech szukają pod Neidenburgiem.

— Wolałabym już być za siódmą górą, choćby przyszło iść dzień i noc.

— Po co? Wszędzie będą szukać, tylko nie tu.

— Jak użyją psów, to znajdą nasz trop.

— Tak, gdyby je sprowadzili tutaj dosyć wcześnie. Myślę, że to nie może nastąpić prędzej niż jutro po południu. Do tego czasu ślady zwietrzeją.

— To fatalnie, żeśmy się spotkali z tymi, bałam się, że ich pozabijasz.

— Ty też myślisz, że jestem mordercą.

— Paul! — położyła mu rękę na kolanie i popatrzyła w oczy.

Przykrył jej dłoń swoją, ale ciepły dreszcz jaki go przeniknął nie rozproszył przygnębienia.

— To było konieczne — powiedział — wydawało mi się konieczne. Nie mogłem cię zostawić na pastwę tego bydlaka, ale też jest prawdą, że chciałem pomścić twoją hańbę.

— Nie mówmy o tym, Paul.

— Nie, to trzeba sobie wyjaśnić — zacisnął dłoń na jej palcach — nie mam żadnych wyrzutów sumienia, ale według prawa jestem mordercą, prawo nie pozwala zabijać człowieka, choćby był największym łotrem. Nie pozwala tego robić na własną rękę, oczywiście. Wydaje mi się to całkiem słuszne, bo do czego by doszło, gdyby każdy sam wymierzał sprawiedliwość. Tak przynajmniej myślałem, dopóki nie poznałem drugiego pra-

wa, które nakazywało zabijać zupełnie niewinnych ludzi. Przez cztery lata było to moim obowiązkiem. Robiłem to i sam nie wiem, ilu ludzi pozbawiłem życia. Gdy przechodziłem ulicami miast i wsi w różnych podbitych krajach, zawsze czułem w oczach przechodniów, że widzą we mnie mordercę swych ojców, braci i synów. I choć miałem za sobą prawo, sumienie mnie dręczyło, ale teraz z powodu Handta nic mnie nie dręczy i jeżeli żałuję, to tylko tego, że wpakowałem ciebie w tę historię.

— To wszystko przeze mnie — powiedziała szeptem.

— Nie jesteś winna, że cię tak pokochałem — odparł — nie wiadomo, kto tu jest winien w tym wszystkim.

Mariann pochyliła się nagle i pocałowała go w rękę.

— Co znowu — zawołał cofając dłoń — co ty wyprawiasz?

Przestraszył się własnego głosu, w którym zabrzmiał karcący ton. Nie miał wcale tej intencji, tylko jej nieoczekiwany odruch zaskoczył go i wprowadził w zdumienie, któremu dał wyraz szorstkim okrzykiem. Nie potrafił tego naprawić i siedział nieruchomo, szukając w myśli odpowiednio delikatnych słów, a ona ukrywszy twarz rozplakała się i łzy ciekły jej przez palce.

Ukląkł przy niej, ogarnął ramieniem barki i przechylił głowę tak, aby odjąwszy jej dłonie, mógł spojrzeć w oczy. Miała je zamknięte, przykryte drgającymi powiekami, spod których łzy wymykały się jedna za drugą.

Z lękiem, niepewny jak to zostanie przyjęte, odważył się je scałować i nie odczuł żadnego sprzeciwu. Bardzo nieśmiało dotknął jej warg na moment tak krótki, że sam nie wiedział, czy to nastąpiło czy było tylko zamia-

rem. Z największą czułością wpatrywał się w twarz dziewczyny, którą tak uwielbił, że nie potrafił wykorzystać chwili sposobnej, a kiedy otworzyła oczy, patrzył w nie przekazując wzrokiem całą wewnętrzną rozterkę, wszystkie pytania i wątpliwości, jakie go nurtowały. Nie otrzymał jednak żadnej odpowiedzi.

Z lekkim wahaniem i łagodnie wyzwoliła się z objęcia i jakby nie chcąc go tym dotknąć, przytrzymała jego dłoń w rękach na swoim kolanie. Odwróciła głowę i widział jej profil, zarysowany na tle ciemnej zieleni świerkowych gałęzi, zamykający troskę w zmarszczeniu brwi i zaciśnięciu warg.

— Dlaczegoś to zrobiła? — zapytał.

— Nie wiem — odparła nie odwracając głowy — może cię Kocham. Nic nie wiem.

— Mariann, popatrz na mnie — rzekł cicho, a gdy ich spojrzenia zetknęły się, dodał — chcesz mnie pocieszyć prawda?

Przyciągnęła go do siebie, wsunęła mu rękę pod ramię i przytuliła twarz do jego piersi. Czuł wymowę tego gestu, lecz pragnął słów przede wszystkim krzepiących wątłą nadzieję.

— No powiedz coś, dlaczego milczysz?

Ona jednak nic nie odpowiedziała. Rozchyliła mu koszulę i na piersiach szukała ustami drogi ku sercu. Kiedy znalazła właściwe miejsce, pocałowała je. Przyjął to w napięciu i z cichym niepokojem.

— Spójrz mi w oczy, Mariann — rzekł po chwili. Uniosła głowę i uśmiechnęła się zmieszana:

— Nie wierzysz mi?

— Pamiętam, coś mówiła pierwszej nocy, tam w lasku.

— I ja to pamiętam. Od tego czasu dużo się zmieniło.

Sama nie wiem, Paul, ale zmieniło się. Jakbym zaczęła na nowo żyć i aż się boję powiedzieć w tej chwili, że mi tak dobrze. Z tobą. Strasznie, ale tak dobrze, Paul. Czy mi wierzysz?

— Nie masz powodu do kłamania.

— Właśnie. Chcę mówić tylko to, co czuję naprawdę, nic więcej.

— Więc co czujesz?

Objęła go rękami za szyję i pocałowała w usta, a gdy ich wargi rozeszły się dla zaczerpnięcia tchu, pocałowała go powtórnie. Wzruszony nie odważył się już zadawać dalszych pytań. Milczał i Mariann milczała, jak gdyby pewna, że nie będzie żądał niczego ponad to, co mu w tej chwili ofiarowała. Tak sądził wsłuchany w jej oddech, w ciepło ciała, w wyczuwalny kształt jej piersi, dotykającej jego żeber swą niewielką wypukłością i jeszcze bardziej go wzruszyło to zaufanie, z jakim się do niego tuliła. Poczul się oczyszczony i wzmocniony w swych postanowieniach, a zarazem wezbrała w nim wiara, że jednak krzewi się w niej uczucie, o którym zaledwie napomknęła słowami pełnymi wątpliwości.

Gdzieś w pobliżu, na stoku pomiędzy drzewami, zachręściło poszycie i zaszleściły krzaki. Odskoczyli od siebie i Paul chwycił za karabin. Ktoś wspinał się po zboczu powoli, słychać było wyraźnie ostrożne stąpania. Milcząc, gestem dłoni kazał Mariann skryć się za grubym pniem świerka, w mrocznej gęstwinie nachylonych ku ziemi gałęzi, sam również wpełzł pod ich przykrycie i czatował z bronią gotową do strzału, miał jednak nadzieję, że nie zostaną zauważeni przez tego kogoś, kto zbliżał się, przystając co chwila, jakby zrywał jagody albo rozglądał się w poszukiwaniu czegoś. Kim-

kolwiek był, nie mógł nic wiedzieć o ich obecności, ani się nawet domyślać i tylko ślepy przypadek mógł naprowadzić go na to miejsce, gdzie byli ukryci. Było to mało prawdopodobne, więc bez zdenerwowania oczekiwał momentu, kiedy nieznany przybysz osiągnie szczyt wzgórza, lecz ten nie śpieszył się i dopiero po długiej chwili wśród świerków zajaśniał płowy kształt.

Okazały jelenź beztrosko wkroczył na oświetloną słońcem niewielką polankę opodal i pochylając uwieńczoną głowę obwąchiwał trawę. Jeszcze nie wyczuł ludzi w pobliżu, ale jakby wiedziony instynktem coraz zerkał w ich stronę i strzygł uszami łowiąc okoliczne szmery leśnego ustronia. Paul opuścił karabin i obejrzał się do tyłu. Mariann wyglądała spoza pnia i dostrzegła jego odprężenie. Przyłożył palec do ust i dał jej znak, żeby zbliżyła się, bo ze swego miejsca nie mogła widzieć. Zrobiła ostrożny krok w lewo, ale szmer jej ruchu nie uszedł uwadze jelenia. Zwierzę zwróciło głowę w tę stronę, znieruchomiało w czujnym nasłuchiowaniu, a potem bez zbytniego pośpiechu kilkoma skokami oddaliło się w głąb lasu.

— Mógłbym go ustrzelić — powiedział wstając — mielibyśmy mięso na kilka dni, ale huk rozniósłby się po lesie.

— Nie masz pojęcia, jakiego strachu się najadłam — westchnęła — jeszcze mi serce bije. Posłuchaj!

Wzięła go za rękę i przyłożyła sobie do piersi, tak, że częścią dłoni między kciukiem i palcem wskazującym wyczuł to łagodne wzniesienie, pod którym kołotało serce.

— Rzeczywiście — rzekł cicho — mocno się nastraszyłaś.

— Och — jęknęła i usiadła na plecaku. Bładość nie

ustępowała z jej twarzy, a rozchylone wargi drżały.

— Jakie to wszystko okropne — powiedziała. — Okropne!

Stał obok niej zatroskany, szukając w myśli słów, które by ją uspokoiły.

— Tak ci się tylko zdaje — bąknął.

Zwiesiła głowę.

— Czuję, że jesteśmy zgubieni.

— Na razie jeszcze tego nie widzę. W tych lasach nie mamy się czego bać, a dalej za Hohensteinem jeszcze dziksze lasy aż do samego Johannisburga. Polegaj na mnie Mariann, przeżywałem gorsze rzeczy niż to.

— Nie może być nic gorszego, niż być tropionym jak dzikie zwierzę.

Ukląkł obok niej i wziął ją pod brodę.

— Co cię tak wystraszyło — zapytał — przecież ty jesteś odważna. Nie trzeba się bać, teraz to już nie wolno się bać. Wiem, że jesteś odważna i nie boisz się.

— Ale ja nie chcę, żebyś zginął — powiedziała.

— Więc nie myśl o tym — rzekł wzruszony i pocałował ją w usta.

Gdy wysunęła się z jego objęć, powstał nie odrywając wzroku od jej twarzy. Zdawało mu się, że czyta w niej wszystko i był tym uszczęśliwiony, lecz Mariann nie dostrzegła jego stanu, bo z odrobiną nieufności w głosie powiedziała:

— Patrzysz tak dziwnie.

— Czy widzisz w tym coś złego?

— Nie — odparła — ale tak mi się bez przerwy badawczo przyglądasz, że czuję się nieswojo. Ty mnie wciąż podejrzewasz, nie wiem o co, świdrujesz mnie wzrokiem.

Uśmiechnął się z zakłopotaniem i odwrócił oczy.

— Obawiam się, że wkrótce się rozczarujesz. Jestem zwyczajną dziewczyną — wzięła go znów za rękę i zmusiła tym, żeby spojrzął jej w oczy — niczym więcej, tylko zwyczajną dziewczyną, Paul!

— Nie. Jesteś inna. Nie spotkałem podobnej wśród naszych dziewcząt ani gdzie indziej, choć byłem we Francji, Grecji i w różnych krajach. Tylko wy, Polki, macie w sobie coś takiego, że nie wiem..., nie potrafię powiedzieć... to znaczy nie wszystkie, ale często zdarzało mi się widzieć u was, w Polsce.

Mariann roześmiała się i potrząsnęła głową.

— Ja w każdym razie wolałabym, żebyś nie widział we mnie nic nadzwyczajnego.

— Tak nie jest. Po prostu kocham cię, pierwszy raz w życiu trafiło mi się to naprawdę, może dlatego.

— Bujasz. A twoja żona?

— Lepiej mi nie przypominaj tej szelmy.

— Ale kochałeś ją.

— Prawdę mówiąc, podobała mi się i z tego całe nieszczęście.

— To znaczy, że żałujesz?

— Ja? Kamień mi z serca spadł. Chyba ze sto razy myślałem plunąć na to wszystko i pójść w świat, tylko litowałem się nad nią, bo płakała, całowała po nogach i takie różne rzeczy. Bo ja z kobietami nie umiem postępować, z nimi trzeba być bezwzględny, brutalny, a nie takim jak ja. Prawda, że mam rację? — dodał po chwili milczenia.

Mariann skinęła poważnie głową.

— Trochę — powiedziała — ale nie rozumiem, jak ona mogła ciebie opuścić.

— Dobrze się stało — mruknął. — Nie gadajmy o tym więcej.

Podniósł z ziemi karabin i zabezpieczył go.

— Pójdę, zobaczę, co dzieje się z tymi prosiakami. Posiedź tu i nigdzie nie odchodź.

— Zdrzemnę się chyba — powiedziała — jestem śpiąca.

— Dobrze. Połóż się w cieniu, tu pod świerkiem. Zaraz wrócę.

Dochodziło południe i słońce przypiekało. Las był mieszany; świerki, brzozy i sosny, a u ich stóp gdzieś niedziele zarośla tworzyły nieprzebyte kępy, w których świergotały ptaki. Paul szedł górą i wkrótce, jak przewidywał, zobaczył kotlinę, w której leżała Jutta. Przetoczyła się kawałek za cieniem i wsparta plecami o pień sosny patrzyła w stronę Helmutha. Leżał o trzydzieści kroków dalej — też w innym miejscu niż poprzednio — i tarł głową o korzenie wystające z ziemi, usiłując zsunąć z oczu opaskę. Dziewczyna beczynnie przyglądała się jego wysiłkom i Paul poczuł do niej wdzięczność, że dotrzymała przyrzeczenia. Uspokojony wrócił do Mariann.

Leżała skryta pod gałęziami świerka, a gdy usiadł koło niej otworzyła oczy.

— No i jak? — zapytała.

— W porządku. Jeszcze parę godzin upłynie, zanim się uwolnią. Dopiero gdzieś o zmierzchu. Do szosy neidenburskiej mamy dwie godziny marszu. Nie bój się, wszystko przemyślałem. Przekroczymy ją wieczorem, ale nie odejdziemy od niej daleko. Po tamtej stronie są jeszcze większe lasy niż te, znam je dobrze, bo wywoziłem z nich traktorem drzewo aż do Neu Bartelsdorf. Zadekujemy się znów gdzieś na dwa, trzy dni. Taki mam plan.

— Żeby tylko starczyło nam żywności.

— Postaram się, to nie taki wielki kłopot. Pewnie poczułaś głód, że o tym mówisz.

— Zdałoby się coś zjeść — powiedziała — nie wiem czemu, ale od pierwszego dnia mam wilczy apetyt, aż mi wstyd.

— A ja sądzisz, że nie? Konia bym zjadł — sięgnął po plecak i wydobyl kanapki owinięte w papier. — Mamy jeszcze pełną menażkę kartofli z pasztetem, powinno wystarczyć. Wieczorem trzeba gdzieś po drodze znów nakopać, a najlepiej dostać do jakiegoś warzywnika. O tej porze z żywnością nie będzie żadnych kłopotów, co najwyżej z chlebem, ale bez chleba ostatecznie można się obejść, gdy jest go czym zastąpić.

— Oni tam muszą być bardzo głodni i z pewnością pić im się chce.

— Nie szkodzi jak trochę pocierpią — odparł — do wieczora wytrzymają.

— Pójdiesz jeszcze popatrzeć?

— Chyba tak. Zanim stąd odejdziemy.

— Co zrobisz, jeżeli do tego czasu nie porozwiążą się?

— Nie wiem, zobaczę. Nie powinni mieć z tym trudności.

— Spętałeś ich jak egipskie mumie.

— Zastanowię się jeszcze. Wolałbym jednak, żeby nie wiedzieli, że tu jesteśmy.

Schował pustą menażkę do plecaka i sięgnął po mianerkę z kawą. Wypili parę łyków kawy i siedzieli, trochę rozleniwieni sytością, wpół leżąc obok siebie, w nieznaczej odległości, w chłodnym cieniu świerkowych gałęzi, łagodzących nieco upał dnia.

— Chciałabym ciebie o coś zapytać, Paul — powiedziała Mariann.

— Pytaj. Proszę bardzo.

— Pamiętasz, powiedziałeś do mnie: wy, Polki. Ty nie czujesz się Polakiem?

Uchwycił jej spłoszony wzrok i zaniepokoił się, do czego zmierza tym pytaniem. Rozumiał jego ważność, choć wyrzekła je od niechcienia i jak gdyby dla podtrzymania rozmowy albo ze zwykłej ciekawości.

Nie patrzyła nawet na niego, tylko ułożywszy się w wygodnej pozycji wsparta plecami o pień drzewa błądziła wzrokiem w ciemnozielonym sklepieniu gałęzi.

Postanowił jednak nie kłamać, bez względu na to jakie miała intencje.

— Właściwie to nie czuję się Polakiem — powiedział po namyśle.

— Ale nie jesteś Niemcem.

— Nigdy nim nie byłem. W naszej rodzinie było to zakorzenione, że nie jesteśmy Niemcami, tylko Mazurami i w tym duchu się wychowałem. Od małości.

— Mazurzy, to polskie plemię.

— O tym wiem, ale wschodniopruski Mazur a Polak nie jest to samo.

— Przecież mówicie tym samym językiem jak ludzie spod Mławy czy Ciechanowa i nazwiska macie przeważnie polskie.

— Jakaś różnica jest. Nie wiem na czym to polega. Alzatzycy mówią po niemiecku i też nazwiska mają niemieckie, a nie uważają się za Niemców tylko za Alzatzyków.

— Ale Mazurzy trzymają za Niemcami.

— Nie wszyscy. Po tamtej wojnie tu był plebiscyt

i dużo Mazurów było za Polską. Nie uczyłaś się o tym w szkole?

— Nie pamiętam.

Zapanowała chwila milczenia.

— Miałem wtedy pięć lat i też nie pamiętam, a potem zaraz wyjechaliśmy do Westfalii, zdaje mi się z tego właśnie powodu. Coś tam dziadek mój kiedyś wspominał, on sympatyzował z Polakami, ale nie wiem, czy oddał głos za Polską. W naszym domu była książka pod tytułem „Krzyżacy” drukowana niemieckim szryftem po polsku, bardzo lubiłem ją czytać.

— A dlaczego nie czujesz się Polakiem?

— Trudno mi na to odpowiedzieć. Wiem tylko dlaczego nie czuję się Niemcem. Czemu o to pytasz?

— Tak sobie.

— Musi być jakiś powód.

— Nie chciałabym ciebie dotknąć.

— Możesz mówić.

Mariann urwała gałązkę świerkową i skubała igły jedną po drugiej. Rzuciła mu ukośne spojrzenie, jakby się chciała upewnić, że spokojny ton jego głosu nie jest pozorem.

— W naszym mieście — powiedziała po chwili — dwaj najgorsi esesmani byli Mazurami. Moja mama za Ruskich została wybrana do Gorsowietu, a jak wkroczyli Niemcy, to następnego dnia wszystkich mieszkańców wygnali z domów, około ośmiu tysięcy ludzi spędzili na plac sportowy i obstawili karabinami maszynowymi, i tak trzymali nas cały dzień, a przez ten czas splądrowali wszystkie mieszkania. Pod wieczór wyczytali dziewiętnaście nazwisk skazanych na rozstrzelanie i w tym także naszą mamę. Kiedy to usłyszał mój brat Tosiek, od razu zemdlał, a ja podbiegłam do tego eses-

mana, który wyczytywał nazwiska, uklękłam przed nim i błagałam o litość. To był właśnie jeden z tych Mazurów, bardzo dobrze mówił po polsku. Wtedy on chwycił za karabin i uderzył mnie kolbą w pierś, tak że straciłam przytomność. Wprawdzie Niemcy nie rozstrzelali tych dziewiętnastu osób i po czterech dniach wszystkich puścili, ale później wywieźli mnóstwo ludzi na roboty. Przywieźli nas do obozu koło Denkmalu, tam gdzie pochowany jest Hindenburg. W tym obozie było cztery tysiące ludzi; mężczyzn, kobiet i dzieci. Za parę dni przyjechali bauerzy; w butach z cholewami, w bryczesach, każdy z pejczem, Niemcy i Mazurzy. Tak chodzili sobie i przebierali nas jak bydło na targowisku, a Mazurów poznawaliśmy po tym, że odnosili się do nas najgorzej. Zresztą sam wiesz.

— Myślisz, że ja też byłem taki, zanim ciebie poznałem?

— Nie. Wiem, że nie byłeś taki i dlatego myślałam, że się poczuwasz do polskości.

— Czy przez to straciłem w twoich oczach, Mariann? To znaczy... to znaczy, czy to coś przeszkadza w tym, żebyś mnie mogła naprawdę polubić?

— To nie ma żadnego znaczenia, Paul.

Wsunęła mu rękę pod ramię i przytuliła głowę.

— Dla ciebie mogę zostać nawet Chińczykiem — powiedział.

— Dla mnie nie trzeba. To samo przyjdzie pewnego dnia, jeżeli wyleziemy jakoś z tej biedy.

— Tak będzie — powiedział.

Noc była ciemna, więc choć nie zmęczeni szli całkiem wolno w pewnej odległości od drogi, tyle aby nie stracić jej z oczu i aby uniknąć jakiegoś niepotrzebnego spotkania, a gdy doszli do rozstajów na Schwirgstein

przeszli na drugą stronę, by polami i łąkami wyminąć Waschette. Zrobiło się szaro i po lewej ręce w oddali widać było ciemną tafłę Plautzigersee. Wkrótce po prawej powinny być dwa mniejsze jeziora. Maszerowali na przełaj trafiając raz po raz na podmokłe łąki i bagienka, które musieli obchodzić, a w jednym miejscu zagroził im drogę rów melioracyjny. Szli spory kawałek wzdłuż niego w nadziei, że trafią na jakiś przepust, w końcu jednak zrezygnowali z dalszych poszukiwań i przeskoczyli rów, wpadając po kolana w grząski torf. Mariann przezornie zdjęła przedtem z nóg trzewiki. Wojskowe buty Paula wytrzymały tę próbę, ale oboje mieli nogi do kolan czarne, co wprawiło ich w dobry humor, jak gdyby odbywali krajoznawczą wycieczkę, kiedy takie przygody wydają się bardzo zabawne. Dokoła nich panowała zupełna cisza i czuli się całkiem bezpieczni w pagórkowatej okolicy, bezleśnej wprawdzie, ale okraszonej widmowymi krzakami i zagajnikami, tonącymi w porannej mgle. Rozmawiali półgłosem i Paul objaśnił Mariann, gdzie się znajdują. Wkrótce będą mieli na południu osadę Nusstal i wejdą do lasu, którego jeszcze we mgle nie było widać, ale za pół godziny powinni w nim się znaleźć.

Wnet, zanim słońce wzeszło, zaświergotały na niebie skowronki, potem odezwały się żaby, a gdy zorza poranna opromieniła obłoki, od jezior dały się słyszeć głosy wodnego ptactwa, znak że dzień już nastał. Zaraz też osiągnęli skraj lasu, rozłożonego na wyniosłych wzgórzach. Zatrzymali się tam na krótki odpoczynek i przez lornetkę oglądali okolicę. Paul nastawił dla Mariann ostrość szkieł, ale nie zauważył, co dopiero ona odkryła, że z przodu między okularami znajdował się mały kompas.

— Rzeczywiście — mruknął — nie przyszło mi do głowy. — To myśliwska lornetka, zeissowska i wcale nie gorsza od wojskowych.

Mariann przypatrywała się z uwagą małej, niespokojnie drgającej wskazówce kompasu.

— Czy on nie jest zepsuty? — zapytała.

— Pozwól — wziął lornetę z jej rąk i zgrał igłę kompasu z literą N.

— W porządku, masz, trzeba trochę poczekać, ale pokazuje prawidłowo — spojrzał w niebo i wskazał ręką na północ.

Mariann porównała położenie igły z kierunkiem, jaki pokazał i kiwnęła głową.

— Przyda się nam, prawda?

— No pewnie. W nocy albo przy pochmurnej pogodzie może się przydać, a tak wygląda, że będzie zmiana. Te baranki, popatrz, na wschodzie, wróżą deszcz.

— Dla nas lepiej — powiedziała. Przyłożyła szkła do oczu i patrzyła na szlak, jaki po rosie wyznaczyli swoją wędrówką przez łąki. Mgła zrzędła i ze wzgórza, na którym siedzieli, widok był rozległy.

— Kluczyliśmy jak zające — mówiła — ależ to komicznie wygląda, jakby jakiś pijak błędził po polach.

Paul patrzył na obłocone mazią torfową nogi Mariann, czarne do kostek, ale o stopach różowych, oczyszczonych brodeniem po zroszonej trawie. Leniwie odwrócił wzrok i skierował go ku łąkom.

— To prawda — odparł — tylko że pijak utopiłby się w tym rowie. Widzisz to miejsce?

Powiodła lornetką wzdłuż szlaku:

— Widzę doskonale, mogłabym policzyć wszystkie dziury jakie zrobiliśmy w tym torfie, ale wiesz co... — urwała i z uwagą lustrowała horyzont— spójrz, Paul

— odjęła lornetę od oczu i podała mu ją — tam daleko, gdzie odeszliśmy od szosy, tam są jacyś ludzie.

Przez chwilę nie odejmował szkieł, a potem zerwał się i chwycił Mariann za rękę:

— Prędko w las, nie ma ani minuty do stracenia

Wśród drzew zatrzymał się jeszcze na moment i znów wypatrywał.

— Tam jest patrol wojskowy — rzekł półgłosem — pięciu ludzi i dowódca, a prócz tego żandarm z psem.

— Boże! Złapią nas — jęknęła.

Nie odejmując od oczu lornety powiedział szorstko:

— Nie lamentuj, tylko wzuń trzewiki. Nie trzeba tracić głowy. Oni się jeszcze zastanawiają, nie mają takiego widoku jak stąd, ale pies węszy.

— Dopędzą nas — załkała Mariann.

— Cicho bądź!

Usiadła potulnie i obuła się.

Jeszcze przez chwilę patrzył i czekał, co postanowią tamci, ale gdy ich medytacje przedłużały się, opuścił lornetę. — Jazda, laufschrift — powiedział — teraz żadnego gadania, musimy dobrze naciągać kulasy. Myślałem, że będziemy mieli ze trzy dni spokoju. — Klepnął ją po ramieniu — No nic, na całe szczęście znam te strony, za pół godziny dotrzemy do jeziora i rzeki, przez ten czas oni dojdą najwyżej do rowu.

Ruszył piaszczystą ścieżką w głąb lasu i nie oglądał się. Mariann biegła za nim, wytrwale dotrzymując kroku, słyszał jej głośny oddech za plecami, ale nie zwalniał; ich życie zależało od szybkości nóg. Przyszło mu na myśl, że gdyby mieli naftę lub jakiś inny cuchnący płyn, pies nie byłby taki groźny jak obecnie.

Wkrótce trafił na leśną drogę do kolonii Känden i jakiś czas kroczyli twardą ścieżką wiodącą obok drogi,

między drzewami. Było to trochę ryzykowne, ale najbliżej od odnogi Lanskersee, dokąd zamierzał dotrzeć. Przed zabudowaniami folwarcznymi skręcił w las na przełaj i po paru minutach znaleźli się w młodym gęstym sośniaku na skraju piaszczystego wzgórza. Jego nagi wydmowy stok łagodnie opadał ku wodzie oddległej od skraju lasu o niecałe dwieście metrów.

Paul odetchnął, w niewielkiej zatoczce czerniały dwie stare łodzie, wyciągnięte do połowy na piasek. Mimo upływu paru lat dobrze zapamiętał to miejsce i miał nadzieję, że łodzie będą jeszcze zdatne do użytku, choć ich wiek, jak tu był ostatni raz, nie wróżył wówczas długiego trwania. Liczył jednak, że w takim wypadku będą zastąpione innymi. Były te same, służące kilku pokoleniom do wędkowania i do przeprowiania się na drugą stronę do najbliższych sąsiadów z Kiewitzbruch.

Mariann, gdy je zobaczyła, rzekła ze zważaniem:
— Pewnie są na łańcuchach.

Zaprzeczył ruchem głowy. Rozglądając się uważnie dokoła wyłamał na wpół uschnięte drzewko i oczyścił je z gałązek.

— Wątpię — powiedział — nigdy tego nie robili. Dlaczego by miały być na łańcuchu, tu nikt nie kradnie. Chodź — wyszedł na wydmę i skierował się ku łodziom.

Jak przewidywał, nie były uwiązane i nie było w nich wioseł. Zepchnęli obie na wodę i brnąc po pływnie wyprowadzili je z zatoczki ku głębinie.

— Zaczekaj — powiedział, gdy woda sięgała już im do pasa. Pchnął mocno łódź, którą prowadził i patrzył w ślad za nią — Przez to jezioro przepływa rzeka — powiedział — i jest dość silny prąd, zaraz poniesie łódkę na środek.

Mariann próbowała się wgramolić do drugiej łódki.

— Ja tu nie wsiądę — rzekła — będziesz mnie musiał podsadzić.

— Zaczekaj, masz czas — podszedł do dziobu łodzi i zaczął ciągnąć równoległe do brzegu ku płytszej wodzie — jak dasz radę, to pchaj.

Odnoga zwężała się i przechodziła w ujście rzeki Alle. Po przeciwnej stronie, nad samą wodą rósł wysokopienny las, po ich stronie, za pasem trzcin i wikliny, ciągnęła się czworokątna polana — rozległa, ale też obrzeżona z trzech stron lasem. Paul zbliżył się całkiem do trzcin, gdzie woda sięgała im zaledwie do kolan, a gdy uszli spory kawałek i do bocznej ściany lasu było już całkiem blisko, zatrzymał się. Odwrócił łódź dziobem w kierunku nurtu rzeki.

— Puść — powiedział do Mariann, która wciąż trzymała się burty. Pchnął pustą łódź i otarł rękawem pot z czoła.

— No — mruknął — jesteśmy po tamtej stronie. A teraz chodź — wziął ją za rękę i poprowadził wzdłuż trzcin ku brzegowi.

— Zrozumiałaś ten interes? — zaśmiał się — zobaczymy co z tego wyniknie.

— Myślisz, że oni dadzą się na to nabrać?

— Oczywiście.

Spojrzał na zegarek.

— Nie jestem pewny, czy poszli za nami, bo tego nie widziałem, ale jeżeli tak, to mogą tu być za godzinę i zobaczą łódki pływające po jeziorze. Najbliższy most jest stąd dwa kilometry, ale oni nie muszą o nim nic wiedzieć.

— A my co zrobimy?

— Najlepiej byłoby zaszyć się w tych trzcinach i przeczekać, tylko że leżeć czy stać tak długo w zimnej wodzie wcale mi się nie uśmiecha. Pójdziemy do tego lasu, na tę górkę — wskazał dłonią — i stamtąd będziemy widzieli co oni robią, a w razie gdyby było źle, w innym miejscu zejdziemy do rzeki. Wtedy już musielibyśmy siedzieć w trzcinach Bóg wie jak długo.

Doszli do miejsca, gdzie las przybliżył się do wody i Paul rozchylił sitowie. Brzeg w tym miejscu był twar-
dy, pokryty murawą wypasioną gładko przez dzikie
gęsi, których świeże odchody znaczyły się białawymi
plamkami.

— Spróbujmy rozmazać to na trzewikach — powie-
dział — może na coś się przyda. Diabli wiedzą zresztą,
te psy policyjne mają piekielny węch.

Na skraju gęstego sosnowego lasku zajęli miejsce do-
godne do obserwacji zatoki.

— Nie mamy nic do stracenia — powiedział — na
drugą stronę przeprowimy się dopiero wieczorem albo
w nocy.

— Może byłoby lepiej, gdybyśmy przepłynęli łódką.

— Żebym miał pewność, że zaraz zacznie padać, to
tak — odparł spoglądając w niebo — ale nie wiem.
Nie możemy ryzykować, pies wytropiłby nasze ślady
i wtedy co? Zagoniliby nas jak zające, na śmierć.

— Myślisz, że tak bezpieczniej?

— Wydaje mi się, że nie przyjdzie im do głowy szu-
kać nas po tej stronie.

— A jak przyjdzie?

— To najpierw będę starał się zabić psa. Z tego miejsca zdążę jeszcze kropnąć jednego albo dwóch esesmanów — powiedział spokojnie. — Mogłem to zrobić tam, gdzieśmy ich zobaczyli, na tym pagórku, ale trzeba by było czekać na nich i wtedy już nie mielibyśmy żadnego wyboru, a tutaj może się bez tego obejdzie.

— Wolałabym, żeby w ogóle tu nie przyszli.

— Chyba jednak przyjdą — mruknął. — Boisz się?

Leżeli obok siebie na ziemi zasłanej igliwem, skryci pod gałęziami młodej sosny i wpatrzeni w urwisty skraj przeciwległego lasu, od którego dzieliła ich rozległa prostokątna dolina, sięgająca jednym bokiem aż do jeziora.

— Nie boję się — odpowiedziała Mariann — ale gdybyśmy mieli wpaść w ich ręce, to mnie przedtem zastrzel.

— Co ty wygadujesz — powiedział z wyrzutem.

— Jak będziesz widział, że już nie ma ratunku, to mnie zastrzel — powtórzyła.

— Nie potrafiłbym tego zrobić.

— Musisz mi to przyrzec. Przyrzekasz?

— Nawet nie chcę o tym myśleć.

— Wolisz, żeby oni zrobili ze mną coś gorszego?

— Nie mów! Proszę cię, nie mów — położył głowę na wilgotnej ziemi i przymknął oczy.

— Przyrzeknij!

— Co ci to da. Wiem, że nie potrafię — jęknął — to się w ogóle nie może stać. Dlaczego mnie tak męczysz, Mariann?

— Wszystko jest możliwe i wszystko może się stać — powiedziała — prędzej to, aniżeli że wyjdziemy cało.

— Trzeba wierzyć, że się wydostaniemy i wcale nie

jest tak jak mówisz. Łatwiej znaleźć pchłę w sierści psa niż dwoje ludzi w tych lasach.

— Ale już nas znaleźli.

— Jeszcze nie. Co się boisz.

— Nie boję się — odparła — wcale się nie boję i nie prosiłabym ciebie, gdybym sama mogła sobie coś zrobić. Ale czym... — zawahała się — dasz mi bagnet?

Uniósł głowę i spojrzał na nią.

— Dasz mi bagnet?

— Nie — powiedział. — Nawet jeśli nas złapią, tobie nic nie grozi. Powiesz, że zwariowałem, że zmusiłem ciebie byś ze mną poszła, że groziłem ci śmiercią. To wszystko będzie wyglądało całkiem prawdopodobnie. A może ja naprawdę jestem wariatem? — uśmiechnął się z przymusem. — Może jestem?

— Więc wolisz, żebym się dostała w ręce tych katów?

— Wolę, żebyś żyła.

— Tak, a ciebie zabiją — zawołała płaczliwie. — Nie chcę, bez ciebie nie chcę. Dasz mi bagnet?

Przytknął głowę do ziemi i zamknął oczy.

— Dobrze — powiedział — dostaniesz go.

Mariann przysunęła się do niego i poczuł jej oddech na policzku. Leżała na wznak twarzą przy jego twarzy, piersią dotykając jego piersi i czekając na jego spojrzenie, a gdy je już uchwyciła, wzięła go za ramię, które nieruchomo spoczywało przy boku i położyła je tak, żeby ją objął i żeby mogła przycisnąć się biodrem i udem, co odczuł w błogim ciepłym dreszczu. Ich usta zwarły się, przez długi czas patrzyli sobie pytająco w oczy. Zatrzymał dłoń na wzniesieniu piersi i nie wzbraiała mu tego, ale nakryła ją swoją dłonią, a gdy jego kolano spoczęło na jej udach, rozchyliła je.

Nie odważył się jednak przyjąć tego oddania w chwili, gdy lada moment spodziewał się usłyszeć w przeciwległym lesie szczekanie psa i odgłosy patrolu. Drżał cały w naprężeniu, a jego czujność rozdwojona na rozkosz i lęk sprawiła mu ból fizyczny, który odczuł w okolicy blizny, jakby zapowiedź zbliżającego się ataku. Przerażony tym objawem uniósł głowę i przymknąwszy oczy odruchowo przytknął dłoń do czoła, ściskając palcami skronie. Był wprost zdruzgotany myślą, że jego kontuzja może się okazać trwałym uszkodzeniem mózgu i wywołać jakieś chroniczne stany, o których tyle nasłuchiwał się w szpitalu. Wszystkie opowieści kamratów i markierantów skłębiły się naraz w jego umyśle i zatracił poczucie rzeczywistości. Jakby z dali posłyszał szept Mariann:

— Co ci się stało, Paul?

Nie był zdolny jej odpowiedzieć, wciąż wsłuchany w gonitwę myśli i rosnącą w nim grozę. A Mariann objęła go za szyję i przygarnęła jego głowę. Jej dłoń, która spoczywała na skroni i łagodna pieczyta palców rozczesujących mu włosy, przynosiły ulgę.

Leżał tak z głową na jej piersi i z wolna odzyskiwał spokój.

— Wiesz co mi było? — rzekł po chwili.

— Domyślam się — odpowiedziała.

— Ale już mi lepiej, już mi przeszło — powiedział — to byłaby najgorsza rzecz, jaka mogła się zdarzyć.

— Złakłeś się, że dostaniesz ataku.

— Nie tylko. Właściwie wciąż myślę, że mogę go dostać w każdej chwili prawdziwego niebezpieczeństwa, kiedy będzie potrzebna przytomność umysłu.

— Dotychczas się to nie zdarzyło.

— Nie mam żadnej pewności. Jak poczuje najmniejszy ból głowy, ogarnia mnie takie przerażenie, że nie mogę o niczym myśleć, tylko słucham, co dzieje się we mnie i wpadam w jeszcze większy popłoch. Od tego można rzeczywiście zwariować i wcale przedtem nie żartowałem. — Uniósł głowę i popatrzył z bliska w jej oczy — powiedz mi, czy nie sprawiam czasem wrażenia nienormalnego?

Uśmiechnęła się i pokręciła przecząco głową:

— Nigdy tego nie zauważyłam. Nie wmawiaj w siebie.

Zapуściła mu palce we włosy i targała nimi karcąco.

Uspokojony pocałował ją powściągliwie w usta i oczy, a ona odsunęła się trochę rozrywając przyległość biorder, jakby z odrobiną zawstyżenia. I tak leżeli obok siebie, przytuleni głowami tylko i było im dobrze.

Upłynęła godzina zanim z lasu wyłonił się patrol. Przodem szedł żandarm trzymający na długiej lince owczarka, o kilka kroków z tyłu postępowali esesmani. Gdy dotarli do zatoki, zobaczyli obie łódki kołyszące się na falach i zaczęli się naradzać. Żandarm, jakby podejrzewając jakiś podstęp a może tylko z nawyku służbowego, zachęcał psa, aby szukał dalej i kroczył z nim wzdłuż brzegu, skrajem doliny w kierunku miejsca, skąd Paul i Mariann wyszli z wody. Na szczęście było one odległe o dobre pół kilometra i żandarmowi zabrakło wytrwałości, aby tam dotrzeć, lecz Paul nie wiedząc o tym odbezpieczył karabin i powiedział Mariann, żeby po pierwszym strzale wycofała się w głąb lasu do drogi i żeby tam na niego czekała. Powiedział również, że zastrzeli tylko psa, to powinno wystarczyć

do wstrzymania pościgu. Kiedy żandarm zawrócił, najgorsze niebezpieczeństwo minęło, choć wciąż jeszcze było możliwe, że dowódca patrolu — podoficer zdecyduje się pójść do mostu, a wtedy musieliby przeciąć trop, prowadzący z wody do lasu i pies mógłby coś zwęszyć. Esesmani nie kwapili się do odejścia. Przez lornetkę Paul widział wyraźnie, jak targowali się między sobą, kto ma przyholować łódź i po dłuższej kłótni wreszcie to rozstrzygnęli. Jeden z nich zdjął odzież i wszedł do wody, a ci co zostali poszli do lasu i wrócili zaraz ciągnąc za sobą suche gałęzie i chrust. Rozpalili na brzegu ogień. Usiadłszy dokoła suszyli obłocone buty i spodnie, zeskrobując patyczkami torfowe błoto. Potem myli ręce i każdy wyciągał z chlebaka, co miał do jedzenia.

— Wygląda na to, że wcale im się nie śpieszy — powiedział Paul — może nawet nie wiedzą kogo ścigają, chociaż te łódki powinny im dać dużo do myślenia. Gdybym przypuszczał, że ich tak długo nie będzie, to bym odholował na drugi brzeg i wrócił wpław tutaj. Było dosyć czasu.

— Wtedy musieliby iść do mostu — rzekła Mariann.

— Tak. Zrobiłem błąd, trzeba nam było wylądować po lewej stronie na półwyspie. Żandarm w tamtym kierunku w ogóle nie poszedł. On nie jest już taki młody — dodał, przyglądając mu się.

Żandarm stał na brzegu obserwując pływaka, potem usiadł przy ogniu i też zaczął jeść. Od czasu do czasu odkrawał kawałek chleba i rzucał go psu. Żołnierze jakby ignorowali obecność żandarma, bo gawędzili niefrasobliwie między sobą, a on siedział odosobniony i milczący.

Zanim pływak zdążył przyholować łódź do brzegu,

zaczął padać deszcz. Woda na jeziorze pociemniała. Rzadkie krople dżdżu zaszeleściły wśród gałęzi. Żandarm z owczarkiem pierwszy wsiadł do łódki, wskazywał na niebo i przynaglał żołnierzy do pośpiechu, miał widać nadzieję, że pies mimo wszystko zdoła odnaleźć trop, zanim deszcz rozpada się bardziej. Dowódca patrolu, podoficer i jego ludzie jednak nie zdradzili zbyt wielkiej ochoty do dalszej mitręgi, powyciągali z plecaków plandeki i biernie wyczekiwali przy ogniu na powrót łodzi; również ci, którzy przeprawili się na drugą stronę, stanęli pod drzewem i tylko żandarm gorliwie myszkował po zaroślach wzdłuż tamtego brzegu przez cały czas trwania przeprawy patrolu.

Padło coraz mocniej, grzmiało i biły pioruny, a z wielkiej czarnej chmury, która napłynęła z zachodu, lunęła rześista ulewa.

Tego dnia dwa razy padał deszcz i dwa razy świeciło słońce, ale pod wieczór znów niebo zasnuło się ciężkimi chmurami, wróżąc noc słotną. Wciąż tkwili w lesie koło zatoki, choć po południu podeszli do drewnianego mostu i z porosłego sośniną wzgórza przepatrywali zarośla po drugiej stronie rzeki. Nie dostrzegli nic podejrzanego, lecz Paul nie chciał ryzykować przejścia przez mostek ani za dnia, ani w nocy, bez całkowitej pewności, że po jednej i drugiej stronie nie ma zamaskowanego posterunku. Od lasu oddzielała mostek pusta przestrzeń piaszczystych pastwisk, na których w razie zaskoczenia nie było dla nich żadnego ratunku. Postanowił więc, gdy się tylko trochę ściemni, przyholować do brzegu drugą łódkę, która kręciła się pośrodku zatoki, spychana wiatrem ku półwypowi, potem miał zamiar przy-

ciągnąć ją ku ujściu rzeki i przeprowić się w miejscu osłoniętym trzcinami. Przed zapadnięciem zmroku przyszli z powrotem do tego miejsca, gdzie poprzednio wyszli z wody. Tam Paul, zostawiwszy Mariann ukrytą na skraju lasu, rozebrał się i popłynął w kierunku łódki ledwo widocznej na ciemnej toni zatoki.

Wrócił wśród ulewnego deszczu, który trwał prawie do północy. Dopiero wtedy przemoczeni i zziębnięci przeprowili się na drugą stronę rzeki.

Po przejściu wąskiej nadbrzeżnej łąki, pokonali ostrą zalesioną stromiznę i znaleźli się na brukowanej leśnej drodze równoległej do biegu rzeki. Zaledwie uszli nieco w głąb lasu znów zaczął padać deszcz i siąpił do rana, nie dając im oka zmrużyć.

Okolo południa Paul znów zostawił Mariann skleciwszy w dzikim zakątku leśnym szałas z gałęzi i plan-deki. Ulewny deszcz padał bez przerwy, a niebo zaciągnięte jednostajnie chmurami nie obiecywało żadnej zmiany. Z drzew strugami spływała woda. Dżdżysta zasłona ograniczyła widoczność do kilkudziesięciu kroków i spowiła las dokoła. Dopóki szli, marsz rozgrzewał ich, lecz gdy zrobili postój, chłód zaczął przenikać mokrą odzież, a nie mieli się w co przebrać, bo zapasowa bielizna w plecaku przemokła. Paul, sporządzony byle jaki szałas między konarami obalonej wiatrem sosny, wymógł na Mariann, żeby nie kładła się na mokrej ziemi i jeśli musi koniecznie spać, żeby spała siedząc na plecaku, oparta o rosochaty konar i otulona kocem, który choć też nasycony wilgocią, jednak powinien grzać trochę. Tłumaczył jej, sennej i biernej, jak dziecku, jakie fatalne następstwa grożą, gdyby nie

posłuchała, znał te rzeczy z praktyki. Jeszcze gdy człowiek rusza się, mówił jej, zmienia pozycję co parę minut, to można wytrzymać i w śniegu, czy na mrozie, ale najgorzej gdy uśnie, bo wtedy choroba pewna, na mur, a w zimie śmierć.

Mariann była u kresu sił, zupełnie wykończona przejściami ostatniej doby. Już nie nadrabiała miną, powstrzymywany płacz odrywał jej wargi, nie otarła twarzy z kropel deszczu i patrzyła tępo przed siebie, w milczeniu przytakując jego słowom. Obawiał się, że nie rozumie co do niej mówi i kilkakrotnie powtarzał to samo. Ręcznikiem wytarł jej policzki, ręce i nogi, a potem posadził na plecaku i sprawdziwszy, czy ma dostateczne oparcie, owinął kocem. Nic więcej nie mógł dla niej zrobić w tej chwili i przerażała go myśl, że jej załamanie nastąpiło tak rychło. Musiał ją jednak zostawić, tym razem na dwie, trzy godziny, żeby odnaleźć możliwy nocleg pod dachem. Tu, w tej okolicy, nadarzyła się okazja, z której pierwotnie nie zamierzał skorzystać, ale obecnie wydawała mu się jedynym ratunkiem. Ten przekłety deszcz mógł padać bez przerwy kilka dni i był w stanie wykończyć każdego.

Poszedł na przełaj przez las i chociaż parę lat minęło od czasu, kiedy woził stąd drzewo do tartaku w Neu Bartelsdorf, nie zbłądził. Po godzinie wędrówki znalazł się na tyłach zabudowań kolonii Krutschka. Do wsi było niezbyt daleko, ale kolonia graniczyła z sośniami, który wyrósł na dawnej porębie. Pod zasłoną drzewek podkraść się w poblize stodoły i przycupnąć za jednym z nich. Nie miał żadnego planu, mimo że przez całą drogę nad tym myślał. Jeszcze raz, moknąc na deszczu, roztrząsał wątpliwości. Na Krutschka nie należało liczyć, był zgrzybiałym schorowanym starcem,

może nawet już umarł. Z jego synami, Janem i Karolem, był zaprzyjaźniony, ale młodszemu, Janowi, nie można było zbyt ufać, przed samą wojną wstąpił do NSDAP. Wtedy zrobił to dla zabezpieczenia rodziny, bo i stary był politisch verdächtig i Karol uchodził za wasserpölnisch, nie bez powodu zresztą. Nie wiadomo jak wszystko układało się teraz, ale co do Karola, był pewny, że nie odmówi mu pomocy, o ile tylko jest w domu, i jeżeli go nie przymknęli za przynależność do Kapede, o co był podejrzewany. Mogli jednak nie przymknąć, gdyż Karol kierował gospodarką, podczas gdy Jan handlował bydłem i końmi, a bauerów, jeżeli tylko nie objawiali podejrzanej aktywności, zostawiano w spokoju, zwłaszcza takich dobrze po pięćdziesiątce. Karol był ponadto trochę dziwakiem, starym kawalerem i wzorowym gospodarzem. Dużo więc przemawiało za tym, że zastanie Karola, nie wiedział tylko, jak się z nim zobaczyć bez zetknięcia się z kimkolwiek innym. Chłopcy Jana musieli być w wojsku, ale w rachubę wchodziły dwie córki i żona. Wszystko razem nie przedstawiało się zbyt pomyślnie.

Już przedtem, gdy tylko przystanął, zauważył, że tylne wrota stodoły nie są domknięte. Między wierzejami u dołu widniała spora szczelina, przez którą można było od biedy się wcisnąć. Bez pośpiechu doszedł do wrót i wśliznął się do środka. Stodoła po obu stronach klepiska była załadowana zbożem. Paul pomyślał, że w ostateczności dałoby się gdzieś pod szczytem przenocować bez wiedzy gospodarza. Przy takiej pogodzie nikt tu nawet nie zajrzy ani za dnia, ani tym bardziej w nocy.

Z jednego boku stała oparta o belkę więźby dachowej duża drabina. Drzwi wejściowe we wrotach wiodących na podwórze były lekko uchylone. Podszedł do

nich i przez szparę przy zawiasach rozejrzał się po obejściu. Postanowił zaczekać tu, dopóki nie zdarzy się coś pomyślnego, była pora popołudniowego obrządku i jeżeli tylko Karol jest w domu, powinien zjawić się na podwórzu.

Dom mieszkalny stał naprzeciw stodoły nieco z boku — w prawo, po lewej stronie w jednym obszernym budynku była stajnia, obora i chlew, a po prawej pod jednym dachem szopa na siano, wozownia, magazyn narzędzi i maszyn rolniczych i różne składy. Stan budynków gospodarskich i wszystko na podwórzu było w idealnym porządku, jak to lubił Karol, każda najdrobniejsza rzecz na swoim miejscu i żadnej zbędnej. Stwierdziwszy to Paul nabrał pewności, że Karol jest obecny, czekał więc cierpliwie.

Przyszedł w sam czas, bo po paru minutach czuwania w drzwiach domu ukazała się Ingeborg, córka Jana, z jakąś obcą dziewczyną. W rękach trzymała wiadra do udoju. Ingeborg krzyknęła w stronę szopy, z której wyszło dwóch nędznie ubranych mężczyzn w średnim wieku. Paul domyślił się, że to niewolnicy. Za nimi po małej chwili zjawił się trzeci, starszy od tamtych, ale podobnie odziany w jakieś poszarpane łachy, na co by Paul nie zwrócił uwagi, gdyby ze zdumieniem w zabiedzonym niewolniku nie poznał Karola.

A więc jednak coś niezwykłego wydarzyło się na tej kolonii, coś co mogło przekreślić wszystkie nadzieje.

Ci dwaj pierwsi skręcili w bok do komórki, gdzie przygotowywano karmę dla świń, Karol zgarbiony i osowiały kroczył ku stajni. Musiał przechodzić wedle wrót stodoły i gdy się do nich zbliżył, Paul zawołał półgłosem:

— Karolu! To ja, Paul Kuntzig. Możecie tu przyjść?

Krutschek przystanął nagle, ale opanował się, podszedł ku drzwiom i usuwając nie istniejącą przeszkodę zamykał je powoli.

— Teraz nie mogę — szepnął — z okna widać. Napoję konie i zajdę od tyłu. Zaczekaj, to długo nie potrwa.

Przymknął starannie drzwi i poczłapał w kierunku stajni.

Zjawił się po dwudziestu minutach.

— Człowieku — szepnął — coś ty takiego narobił. Przez ciebie te psy gotowe przewrócić do góry nogami całe Ostpreussen.

— To już wiecie?

— Tyle wiem, co na listach gończych. Takie wszędzie porozlepiali — wskazał rękami rozmiar. — Jesteś zdrajcą narodu niemieckiego, hi, hi. A gdzie ta dziewczyna — rozejrzał się — jest tu gdzie?

— Na razie nie ma. Została w lesie. Nie wiedziałem czy tu bezpiecznie.

Łagodny półuśmiech znikł z twarzy Karola.

— I w lesie nie bardzo, i tu jeszcze gorzej — mruknął. — Wiesz, co się ze mną stało?

— Właśnie nie wiem.

— Jestem niewolnikiem u własnego brata, kapujesz, u tego drańskiego hitlerowca, żeby go pierwsza ruska kula nie ominęła. Wiesz co on narobił? Najpierw mnie wsadził do lagru, sypnął po prostu. Połakomił się na dziedzictwo, taki drań niemiecki. Mnie, rozumiesz, rodzzonego brata wydał gestapowcom. Ech tam — machnął ręką — później ci wszystko dokładnie opowiem. Teraz gadaj ty.

— Myślałem, że tu przenocujemy, ale widzę, że nic z tego.

Dlaczego nic? Można — wskazał ręką na górę — kto ciebie będzie szukał w zagrodzie zasłużonego hitlerowca. Jeżeli sam się czym nie zdradzisz, to nikt.

— Mówiliście, że tu gorzej niż w lesie...

— Mówiłem, bo tu jak u diabła za pazuchą.

— Przez ten deszcz jesteśmy wykończeni.

— A łapacze myślisz, że nie? Człowieku, w tym deszczu cały wasz ratunek. Chyba dwa pułki esesmanów szukają was od kilku dni, a kiedy była pogoda to ludzie jak mrówki łazili po lasach. Przymusowo, ale przeważnie ochotniczo, a najwięcej te szurki z Hajot.

— To wiem — szepnął Paul.

— Mielicie szczęście, żeście do tej pory nie wpadli.

— Zgnijemy w lesie.

— Jak chcesz, możesz tu zostać dłużej. Młócić nie zaczniemy, dopóki pogoda się nie zrobi. Tylko z jeżdżeniem, bracie, kiepsko. Dostają to samo co wszyscy niewolnicy, to znaczy tyle, żeby nie zdechnąć. Tego na was dwoje nie starczy.

— Mamy trochę żywności — rzekł Paul — prócz chleba.

— Spróbuję pogadać z niewolnikami, ale będzie trudno, sami patrzą za chlebem jak kot za sperką.

— To Polacy?

— Nie. Ten czarny to Francuz, a ten drugi i dziewczyna — Białorusy. Można im zaufać.

— Lepiej nic im nie mówcie. Zresztą nie zostaniemy dłużej niż do jutra, pod wieczór pójdziemy.

— A gdyby padało?

— Wszystko jedno, też pójdziemy.

— Gdybyś przebierał się na Ortelsburg, dam ci adres pewnego towarzysza, nazywa się Dopatka, mieszka w Altkirchen. Wiesz gdzie to?

— Chyba za Ortelsburgiem. Stacja kolejowa, nie?

— Tak. Właśnie tam.

Paul pokiwał głową.

— Może skorzystam, gdyby było bardzo źle. Idę Tatarską Drogą, to mi pasuje. Może skorzystam — powiedział zamyślony. — A teraz, jak myślicie, można tu za dnia przyjść czy dopiero jak się ściemni?

— A chciałbyś teraz?

— Bardzo.

— To można, byle ostrożnie. Z chałupy do wieczora przy takim deszczu nikt nosa nie wychyli. Byle hałasu przypadkowego nie narobić. Zresztą masz gwer, to złapać się nie dasz. W razie czego zdążycie uciec.

— W takim razie już pójdę.

— Zaczekaj, gdzie ci się śpieszy.

— Nie. Już pójdę. Będziemy tu za dwie godziny.

Karol rozłożył ręce.

— Nie mam zegarka — powiedział — ale zajrzę tu w tym czasie. Może uda mi się zdobyć trochę ciepłej strawy. Chyba się uda, zupy, rozumiesz, a na wieczór mleko wystaram się na pewno, hi, hi!

— Za dużo dobrego — uśmiechnął się Paul. — Wiedziałem, że na was mogę liczyć.

Karol objął go ramieniem i uścisnął.

Mariann spała twardo wtulona w rosochate konary sosny. Nie obudziły jej kroki Paula ani szelest gałęzi, gdy wsunął się do budy. Oddech miała niespokojny, a po jej twarzy przebiegały drobne nerwowe skurcze. Szeptem wymówił jej imię i powtórzył parokrotnie, zanim otworzyła oczy. Spojrzała niezbyt przytomnie

i bez zdziwienia, jakby nie zauważyła jego nieobecności. Dopiero po chwili ocknęła się naprawdę.

— Już wróciłeś — powiedziała — tak prędko?

Wziął jej twarz w obie dłonie i pocałował.

— Wstawaj, pakujemy się — rzekł — za godzinę koniec naszej biedy.

Podniosła się z trudem i znów usiadła.

— Oj, moje nogi — jęknęła.

— Co takiego?

— Strasznie mi zdrętwiały.

— Wstawaj, wstawaj i wylaź z budy. Ruszaj się, to ci zaraz przejdzie. Ja tu już wszystko zrobię — wziął ją za rękę i pociągnął na zewnątrz.

— Nie masz nade mną litości — jęczała — na taki deszcz wyganiać. Och, moje nogi — dreptała w miejscu i patrzyła na niego, jakby to była niedziela i wypędzono ją z ciepłego łóżka.

— Nie marudź — rzekł zgryźliwie — za godzinę będziemy pod dachem.

Szybko uwinął się z rzeczami i opowiedział o spotkaniu z Karolem.

— Jesteś jego pewny? — spytała.

— Nawet się nie zastanawiałem — odparł zaskoczony.

— Dzisiaj nikomu nie można wierzyć.

— Ale ty mi uwierzyłaś.

— To było co innego.

— Nie. To niemożliwe, żeby Karol — odparł — nigdy.

Słowa Mariann zasiały w nim jednak ziarno wątpliwości i gdy już szli, po dłuższej chwili milczenia powiedział:

— Właściwie miałaś rację. Cały czas myślę o tym. Nie widzę sposobu, żeby go sprawdzić.

— Wszystko jedno.

— Może to świństwo, że nie ufam staremu kumpłowi — mruknął — ale pójdę najpierw sam. Gdyby przypadkiem coś się stało, uciekaj w las.

— Pójdę z tobą — powiedziała. — Co tobie, to i mnie. Nie chcę inaczej.

— Jesteś niemądra.

— To ty jesteś niemądry. Kocham cię.

Objął ją ramieniem i tak szli przez deszcz, przez las na przełaj. A gdy znaleźli się w sośniaku, niedaleko stodoły, chwilę nasłuchiwali, a potem wśliznęli się do niej, jedno za drugim.

— Nie możemy tu stać — szepnął wskazując na betonowe klepisko — bo zostawimy za dużo mokrych śladów. Włóżmy od razu na górę. Ja pierwszy, a ty za mną, tylko uważaj, byś nie spadła.

Snopy w kilku szychtach wypełniały stodołę pierwotnie po sam szczyt, teraz jednak osiadły trochę i na samej górze było sporo miejsca. Żeby się tam dostać, musieli przejść po belce aż do stromizny dachu, a później przeciskając się wzdłuż niej dotarli do bocznej ściany budynku. Tu dopiero, nie bez trudności, osiągnęli wolną przestrzeń pod szczytem, przy tej ścianie. Otoczył ich półmrok nasycony zapachem suchej słomy, było przytulnie i ciepło jak w gnieździe.

Rozesławszy koc Paul szepnął:

— Teraz śpij, ja będę czuwał. Jeżeli Karol przyniesie coś do jedzenia, to cię zbudzę.

Zdjął płaszcz i okrył ją nim. Płaszcz był przemoczony, ale od wewnątrz nagrzaną ciepłotą ciała.

— Nie zimno ci? — zapytał.

— Nie, tylko mokro, ale to nic.

Po chwili już spała z podkulonymi kolanami i z głową schowaną pod płaszczem. Paulowi spać się nie chciało, w ciepłej ciszy tchnącej pozornym spokojem miał uczucie, że znaleźli się w prawdziwej pułapce, z której jedynym wyjściem była śmierć. Znaleźli się w niej dzięki Karolowi, albo raczej dzięki zaufaniu, jakim go obdarzył. Pytanie Mariann, czy jest jego pewny, nie było pozbawione sensu. Ale chyba Karola może być pewny, tylko ta stodoła jest potrzaskiem i tylko z tego względu musi zachować zdwojoną czujność. Innego wyjścia nie ma, choć nie zapobiegnie temu, co może się stać, jeśli przeznaczone im jest zginąć w tak beznadziejnie głupiej sytuacji.

Sięgnął do pasa, odpiął bagnet i położył go obok Mariann. Skroń zapulsowała, przyłożył do niej mokrą i zimną stal zamka karabinu. Głuchy ból przeszywał mu czaszkę.

Namacał w kieszeni pakiecik z proszkami, których do tej pory, w czasie wędrówki, nie używał. Było ich pięć albo sześć. Mógł zażyć jeden, ale czekał na następny objaw ataku. Potrząsnął głową, żeby przekonać się czy nadchodzą zawroty. Zawsze zaczynało się od uczucia, jakby mu mózg pływał w głowie. Nic takiego nie następowało, tylko ten głuchy, tępy ból, który dał się znieść. Zdjął czapkę i z mokrego ręcznika zrobił sobie kompres, potem z karabinem w garści przesunął się wzdłuż dachu do belki. Tam czekał nasłuchując, co dzieje się na zewnątrz. Deszcz wciąż padał, z rynien z pluskotem ściekała woda, poza tym żadne inne dźwięki nie docierały do jego ucha, jakby cały świat utonął w strugach dżdżu i tylko oni ocaleli w tej arce, para zagubionych ludzi.

Jednostajny szmer kropel bijących w dach koił ból, bo tylko od czasu do czasu dość łagodnie dźgał w różnych punktach czaszki. Paul zdejmował więc kompres, chłodził go w powietrzu i znów przykładął, może częściej niż zachodziła potrzeba, aby tylko czymś zająć się w nużącym wyczekiwaniu. Myśli, że Karol może zdradzić, krążyły mu wciąż po głowie, ale je odpędzał, a gdy usłyszał na dworze ciche, samotne człapanie i gdy jeszcze mocniej nasłuchując utwierdził się, że tylko ono tam rozbrzmiewa, nabrał otuchy.

Po krótkiej chwili zobaczył Karola, przeciskającego się przez szczelinę. Trzymał w ręku biksę po marmoladzie napełnioną czymś lekko parującym, co mogło być zupą.

Nie dostrzegając nikogo psyknął cicho, a Paul pokazał mu się i przeszedłszy po belce zszedł na dół z karabinem w ręku. Gdy stanął naprzeciw Karola, wzrok Krutschka spoczął na broni. Zmrużył powieki jakby z niechęcią, ale zaraz rozpogodził twarz i spojrzał Paulowi w oczy.

— Nie ufasz mi — powiedział.

— Nie gniewajcie się, ale tak bezpieczniejsz.

— Dobrze robisz — powiedział — w czasach, kiedy brat brata wydaje, nie można wierzyć nikomu. Tego się trzymaj.

— Nie miejcie mi za złe — rzekł Paul skruszony.

— Głupstwo. Tu masz zupę, zanieś ją swojej dziewczynie. Podgrzałem, jest gorąca.

— Ona śpi.

— To ją obudź. Jeszcze się wyśpi. Trzeba zjeść coś ciepłego.

— Zaczekacie?

— Tak. Mam czas.

— To potrzyłajcie karabin — rzekł Paul — będzie mi zaważał. — Karol uśmiechnął się i skinął głową.
— Nie miałem ci tego za złe — powiedział.
— Przykro mi.

Niosąc zupę czynił sobie w duchu wymówki za ten brak wiary w starego kumpla i gdy do niego po chwili wrócił, jeszcze raz próbował się usprawiełliwić, ale Karol zbył go krótko:

— Nie trap się bracie. Miałeś recht.

— Kiedy mi wstyd.

— A czy wiesz, jaka jest cena na twoją głowę?

— Nie.

— Pięć tysięcy marek.

— A za Mariann nic nie wyznaczyli?

— Jakoś nic. Tyle tam o niej mowy w liście, że może być z tobą.

— Już chyba wiedzą, że jest — mruknął Paul i opowiedział o spotkaniu w lesie.

— Gdyby ją złapali, poszłaby do Vernichtungslager — rzekł Karol.

— W najlepszym razie.

— W najgorszym. Byłem tam i wiem.

— Wyobrażam sobie. Widziałem obozy rosyjskich jeńców.

— Nic sobie nie wyobrażasz, bracie.

— Trawę jedli. Po tygodniu nie było na placu ani źdźbła trawy. Ludzie ginęli tysiącami codziennie. Widziałem taki obóz, w którym z czterdziestu tysięcy jeńców po miesiącu została niespełna setka i tych także SS wystrzelało do ostatniego.

— Byłem w kilku obozach, ale w Vernichtungslager człowiek przestawał być człowiekiem po trzech dniach.

— I brat was stamtąd wyostał?

— Nie. Tam byłbym przepadł, gdyby nie jeden wachman, rodak z Getwangen. Ulitował się nade mną i jakimś kombinacją załatwił, że mnie przydzielili do ogrodnictwa, co było przy tym lagrze. Dobry chłop był z tego wachmana, napisał do brata taki list, że go sumienie ruszyło. Jan się nie przyznał, że dostał list, ale wiem.

— Jednak sumienie go ruszyło.

— Niby trochę, ale nie całkiem, jak widzisz, kiedy za niewolnika mnie trzyma.

— Tu jednak macie trochę wolności.

— Żadnej. Jestem na tych samych prawach co Rosjanie czy Francuzi, albo Polacy, nawet na gorszych.

— Dziwne. U rodzzonego brata.

— Psu on teraz brat, nie mnie. Powiadam ci Paul, taką mam do niego nienawiść ,żebym go zastrzelił, jak ty swego teścia.

— Nie wyszedłem na tym dobrze — mruknął.

— Żałujesz?

— Wszystko obraca się przeciwko nam. Może nie należało.

— Ja poczekam — rzekł Karol — aż Rosjanie przyjdą.

— Nie wiecie, co słyhać na froncie?

— Skąd mam wiedzieć. Ani radia, ani gazety, ani dobrych ludzi. Od moich hitlerowców słowa nie usłyszysz, oni wierzą w führera. Głupcy!

— Ale o zamachu słyszeliście?

— O tym tak. Był wielki szum. Podobno... pst! Cicho — Karol umilkł. Na podwórzu jakieś drzwi skrzypnęły. — To z domu — szepnął.

Nasłuchiwali dalszych odgłosów w monotonnym

szmerze deszczu. Drzwi skrzypnęły ponownie, jakby ten kto je otworzył, rozmyślił się i zawrócił.

Siedzieli chwilę milcząc, a gdy cisza upewniła ich, że nic nie grozi, Karol szepnął:

— Jednak pójdę, bo może mieli coś do mnie. Wpadnę wieczorem, jak już będzie ciemno, przyniosę mleka. Gdybyście spali, zostawię w kącie przy wrotach.

— Na pewno pośniemy, ale zbudźcie mnie.

— Ba! Tylko jak? Nie mogę przecież wołać ani kłatać, a po ciemku nie polezę.

— Wobec tego będę czuwał.

— Musimy esce pogadać. A teraz to lepiej pójdę.

Deszcz zadudnił mocniej po dachówkach i Karol zatrzymał się na parę minut pod dachem. Kręcił się niespokojnie spoglądając przez szczelinę na chmurne niebo nie wróżące przejaśnienia. Wyszedł, gdy ulewa trochę zelżała.

Paul wrócił do gniazda, w którym Mariann okryta płaszczem spała twardo. Usiadł obok niej z mocnym postanowieniem czuwania, ale zasnął nawet nie wiedząc kiedy.

Obudziło go gwałtowne tarmoszenie.

— Posłuchaj Paul — szepnęła przestraszona Mariann.

Odruchowo spojrzął na zegarek, dochodziła ósma. W mroku nie wiedział czy to wieczór, czy też rano. Przez szczeliny ściany wpadała odrobina dziennego światła.

— Co jest?

— Słuchaj.

Deszcz przestał padać. Na podwórzu panował niezwykły jakiś ruch.

Słysząc było podniesione głosy mężczyzn, rozmawiających po niemiecku. Sięgnął po karabin i położył go na kolanie. Dłoń Mariann dotknęła jego uda.

— Wpadliśmy — powiedziała.

— Cicho bądź — szepnęła — nie ruszaj się.

Skurcz go schwycił za krtani. Ze straszną obezwładniającą jasnością przeniknęła go myśl, że to już koniec, że za parę minut wszystko rozstrzygnie się w najokrutniejszy sposób i w każdym wypadku czeka ich śmierć w mękach.

Z gwaru głosów na podwórzu nie potrafił uchwycić sensu rozmowy czy sporu, jaki tam się toczył, ale wiedział, że to żołnierze, poznawał po szczeku broni i innych odgłosach dobrze mu znanych. Musiało ich być ze dwudziestu lub więcej. Głuche dudnienie stąpań wielu nóg rozlegało się we wszystkich kierunkach jakby żołnierze otaczali stodołę. Słysząc też było skrzywienie otwieranych drzwi od szopy i innych pomieszczeń oraz okrzyki i nawoływania napływające z różnych stron. Nie taili swej obecności, widocznie pewni, że ci, których osaczali, im nie ujdą.

Mariann przysunęła się do niego i objęła w biodrach, jej głowa znalazła się przy jego boku.

— Nie dasz mnie wziąć, Paul — szepnęła.

— Nie dam — odpowiedział.

— Musisz to zrobić.

— Zrobię.

— Kocham cię — szepnęła i jeszcze raz powtórzyła — kocham cię.

— Zrobię to — rzekł cicho — a później podpale zboże. Nie dostaną nas nawet po śmierci.

— Dobrze, Pawełku. To dobrze.

— Tss!

Wziął do ręki karabin. Drzwi stodoły skrzypnęły, kilkunastu ludzi weszło do środka i napełniło ją tupotem podkutych butów.

— Tylko ognia gdzie nie zaprószcie — usłyszał zrzedny głos Karola — bo tu trzydzieści wozów zboża. Ma jątek.

— Już ty nas nie ucz, staruszk — powiedział ktoś — sami to wiemy.

— A snopów na posłanie nie brać. W szopie jest słoma w balotach. Niech paru pójdzie ze mną, to wydam ile potrzeba.

— Latarnię jaką macie? — zapytał ten sam głos.

— Znajdzie się, stajenna.

— Also gut. Chłopaki, złożyć oporządzenie i jazda po słomę.

-- Nie lepiej by wam było wszystkim w szopie, niż tu, na betonie — mówił Karol — pomieścilibyście się jakoś. Kto to widział, żeby kwaterować w stodole pełnej zboża.

— Milczeć — przerwał mu ten sam głos — nie wazsa sprawa. Wynoście się.

— Na jo, Herr Unteroffizier, ja też byłem w wojsku, w armii pana marszałka Hindenburga byłem, w tej sławnej bitwie pod Tannenbergiem wojowało się i nad Sommą, ale teraz to się nie liczy.

— Wy?

— Ja. A pan Hindenburg własnoręcznie krzyż mi przypinał 21 grudnia 1914 roku.

— Bitte um Verzeihung. Mam szacunek dla weteranów.

— Nie o to idzie — rzekł Karol spokojnie — wiem,

co może się zdarzyć, jak nie będzie zachowana największa ostrożność. Szkoda żeby tyle chleba poszło z dymem.

— Przyrzekam wam, że nikomu nie pozwolę tu palić papierosów.

— I niech nie marnują zboża. Słomy dam dosyć.

— No to pośpieszcie się, bo wnet będzie ciemno.

Paul odłożył karabin.

— Zrozumiałaś? — szepnął.

— Trochę. To nie po nas przyszli.

— Będą tu nocować.

— Straszne.

— Ale żyjemy, Mariann, żyjemy. Tylko siedzieć cicho i nie ruszać się, żeby nie posłyszeli. I nie wolno nam zasnąć, nawet w nocy, gdy oni będą spali.

— Będziemy czuwać oboje — szepnęła.

— Tak — odpowiedział — koniecznie. Teraz oni tam hałasują, ale lepiej bądźmy cicho.

Umilkli.

Na klepisku panował ruch i gwar. Żołnierze ścielili posłania, wychodzili i wracali. Po jakimś czasie szcęk menażek oznajmił, że przygotowują się do kolacji i po chwili w stodole zapanowała cisza.

Z gniazda na górze jednak nie było nic widać i Paul nie wiedział, czy ktoś nie pozostał na dyżurze. Przyłożył więc Mariann dłoń do ust, żeby milczała. W takiej ciszy nawet szept mógłby zwrócić czyjąś uwagę. Wargi Mariann przesuwwały się pocałunkami po wewnętrznej części jego dłoni, a jej ramiona wciąż obejmowały go w biodrach lekkim uściskiem przekazując im swą czułość, lecz on pomyślał o tym, ile udręki będą musieli jeszcze przeżyć przez tę noc. Najmniejszy nieostrożny ruch, chrząknięcie czy kaszel, cokolwiek czego

nie dało się przewidzieć, mogło ich zdradzić. Byli jak skazani na śmierć i oczekujący na ułaskawienie, kuszeni nadzieją i jednocześnie pełni zwątpienia. Los rozpinął nad nimi swój zwodniczy cień.

Klepisko stodoły znów zaludniło się. Wieczór nastał i pod skrzydłami dachu zamigotało światło latarni. Znów deszcz zaczął szemrzeć, napełniając poddasze monotonnym odgłosem padających kropeł. Ktoś na dole przymknął drzwi. W jednym kącie, zapewne w pobliżu latarni, jacyś zapamiętali karciarze grali w skata. Paul usłyszał licytację i uwagi kibiców. Inni żołnierze już układali się do snu, poznawał to po stukocie zdejmowanych butów i szeleście słomy. Rozmawiali sennymi głosami.

Któryś powiedział:

— Gdyby ten zdradliwy deszcz chciał padać rano, to może pospalibyśmy dłużej.

— Gównu ci dadzą pospać — odparł ktoś — słyszałem, że o szóstej wymarsz. Na Neidenburg.

— Ale gdyby deszcz padał?

— Klaus? Jak myślisz?

— Mnie się tak samo chce, jak wam — rzekł Klaus. Paul poznał głos podoficera.

— Każdy ma już dość, tylko ten zwariowany major się wścieka. Jakby miał tyłek mokry przez cały tydzień, toby mu się odechciało wszystkiego. Nie rozumiem, żeby tysiącem ludzi ganiać za jednym dezertorem.

— Zdaje się, że ukatrupił kogoś ważnego.

— Gdzie tam. Zwykłego bauera.

— Swoją drogą, jak natknąłbym się na tego świńskiego psa, z przyjemnością wpakowałbym mu w brzuch pół tuzina kul.

— Uważaj, żebyś prędzej sam nie oberwał.

— Słyszałem, że to jakiś szaleniiec, niebezpieczny dla otoczenia. Ostrzegano cywilów, by nie zbliżali się na odległość strzału.

— A ta dziewczyna?

— Nie wiadomo, co z nią zrobił, pewnie zabił.

— Jeśli go spotkam, to na wszelki wypadek, zanim zawołam halt, wpakuję mu serię w brzuch.

— Ja bym wolał spotkać tę dziewczynę, chętnie bym też jej coś wpakował.

— Sacra! Zamknijcie już przeklęte jadaczki — zawołał ktoś — spać nie można.

— Zalep sobie uszy błotem, co masz między palcami.

— Chodź, a dostaniesz takiego kopa, że poczujesz gówna na języku.

— Ruhe! Ruhe! — odezwały się zewsząd senne głosy — Klaus! Uspokój ich. Wywal ich na dwór.

— Ja tylko myślę kogo poza kolejnością wyznaczyć na jutrzejszą wartę — odezwał się podoficer. — Kto jeszcze otworzy pysk, może być pewien, że jutro będzie miał słodką noc. A wy tam — zwrócił się do karcia-
rzy — kończyć partię i skrócić lampę.

— Już, już — odpowiedziano mu — jeszcze jedno rozdanie, najwyżej dwa.

Spokój zapanował na klepisku, a wkrótce rozległo się chrapanie i stękanie w różnych odmianach zwykle towarzyszące żołnierskiemu spoczynkowi. Deszcz bębnił po dachówkach.

— Właściwie mogłabyś spać — szepnął Paul najciszej — ty nie chrapiesz. Śpij.

— Nie. Nie potrafię.

— Spróbuj, kochanie.

Potrząsnęła przecząco głową.

Leżeli przytuleni do siebie, wsparci plecami o położone poprzecznie snopki pszenicy i obejmowali się.

Musieli unikać wszelkich zbędnych ruchów, które powodowały cichy szelest słomy i choć może nie docierał on tam w dół, gdzie chrapali żołnierze, ale wydawał się być zdradziecki. Obejmowali się więc tylko, a po wielu minutach, gdy oswoili się trochę z sytuacją i nerwowe napięcie nieco opadło, ich dłonie z coraz mniejszą trwożliwością torowały sobie drogę do okolic, które pragnęły osiągnąć.

Deszcz padał z przerwami przez całą noc i przestał na czas pobudki, by znowu, gdy żołnierze opuszczali kolonię, powitać dzień ulewą.

Potem przyszedł do stodoły Karol z pozostałymi niewolnikami i wynieśli słomę. Kiedy wreszcie uporali się z tym, nastał spokój. Tylko deszcz dudnił po dachówkach i grzmoty co chwila rozrywały ciszę.

— No, teraz spać — rzekł Paul — spać i spać.

— A Karol?

— Co się martwisz.

Zdjęli obuwie i odzież, która zdążyła już na nich wyschnąć.

— Może zmienić bieliznę? — powiedziała Mariann. — Muszę zrzucić te przepocone szmaty.

— Moja koszula wygląda jak feca.

— Gdzieś po drodze upiorę.

— Jak chcesz, ja bym zostawił — zaczął grzebać w plecaku. — Twoja bielizna nawet jest sucha — powiedział — była w środku.

— To nie moja, to Jutty — zaśmiała się za jego plecami.

— Wiesz, z tego co mówili żołnierze, przypuszczam, że gówniarze nie puścili jednak farby. Jeżeli tak, to zasługa tej małej.

— Ładna dziewczyna z niej. Nie?

— Hm, pewnie. Znam ją od dziecka, zawsze była milutka.

Wziął bieliznę i odwrócił się.

Mariann czekała na nią zakrywając skrzyżowanymi ramionami piersi. W burym półmroku, na tle złocistych snopów, w tym ciasnym gnieździe zasłanym wojskowym kocem, bieleł się jej szczupły kształt niewyraźnie jak na starym obrazie. Siedziała podwinąwszy nogi, wygięta w biodrach, z głową pochyloną, tak że włosy koloru suchej trawy opadły ku policzkom. Jej wzrok płynący z szeroko otwartych oczu był spłoszony i jakby zmieszany, uśmiechała się niepewnie. Czekala, a jednocześnie powściągliwie skulona ukrywała swą nagość ramionami.

Kłęcząc przysunął się bliżej i z jękiem zachwytu wziął ją w objęcia.

Nad nimi szalała letnia burza, trzaskały pioruny, grzmoty wstrząsały poszyciem dachu, woda z głośnym pluskiem leciała z rynien, oni jednak odczuwali to wszystko jako opiekę nieba, przyjazny gest losu.

Później, kiedy już spokojnie leżeli, spleceni, wciąż chłonąc nienasyconą w pełni nagość ciał, Paul, gdy Mariann po suchym, ostrym trzaśnięciu pioruna, który gdzieś w pobliżu uderzył, drgnęła, rzekł półgłosem:

— Jednak ten deszcz jest naszym wybawieniem. Teraz wierzę, że wyjdziemy cało.

— Ja też wierzę.

Jej małe piersi, jak dwoje kurcząt, przytuliły się do jego torsu. Przesunął ramieniem, którym ją obejmował.

wał, od łopatek w dół aż do lędźwi czując pod dłonią występ żeber, miękką zapadłość talii i kość biodra.

— Chudziutka jesteś — szepnął — jeszcze chudsza niż byłaś.

— Nie jestem w twoim guście?

— Co ty wygadujesz. Uwielbiam cię, nie masz pojęcia, jak cię kocham.

— Taką chudą?

— Kocham to, co jest tobą, twoje ciało, którego masz tak niewiele, twoją skórę, twoje kości, twoje zęby i twoje oczy, i twoje wszystko, bo to jesteś ty. Kocham cię tak, że chyba od tego umrę.

Dwoje piskląt otarło się czule o jego pierś, usta Mariann dotknęły jego szyi.

— Mój Pawełku— szepnęła po chwili — ty mój jedyny.

Żarliwie zjednoczeni umilkli. Później, zanim noc nie przespana zaciążyła im na powiekach, Paul odezwał się:

— Wiesz, przez cały czas jak byliśmy razem, całymi dniami i nocami wyobrażałem sobie to i myślałem, że już zwariuję. Bałem się, że w końcu stracę panowanie nad sobą.

— Oczekiwałam tego — odparła spokojnie,

— I byłabyś mnie znienawidziła.

— Skłamałam wtedy, w tę pierwszą noc, mówiąc, że ciebie nie kocham. Nigdy bym nie poszła z tobą, gdybym do ciebie czegoś nie czuła.

— Dlaczego skłamałaś?

— Nie wiem. Odruchowo tak powiedziałam, wydawało mi się wtedy; nie wiem. Bałam się wszystkiego i ciebie się bałam.

— Myślałaś, że jestem jednak wariatem.

— Może nie całkiem, ale coś koło tego. Byłeś niesamowity z tym zimnym spokojem i w ogóle dziwny. Za mało cię znałam, byłeś dla mnie Niemcem, dobrym Niemcem, ale wciąż nim i to też mroziło mi serce.

— Szkoda, że nic o tym nie wiedziałem.

— Właściwie to poczułam coś do ciebie wtedy, kiedy podarłeś na mnie koszulę.

— Podarłem? Niemożliwe!

— Tak. Miałeś zupełnie nieprzytomne oczy i zalaływało od ciebie wódką, wiedziałam, że jesteś pijany w sztok. Myślałam, że mnie zadusisz, ale było mi wszystko jedno. Później, to znaczy zanim uciekłeś, twoje ręce stały się nagle troskliwe i łagodne, nie powiedziałeś ani jednego słowa, one mi powiedziały i nie mogłam w to uwierzyć. Właściwie nie chciałam. Podobałeś mi się, ale nienawidziłam Niemców i chciałam ciebie nienawidzić.

— A gdybym był Niemcem?

— Kiedy nie jesteś.

— Ale gdybym był?

— Daj spokój — odparła — gdybyś nim był, nie poszłabym z tobą.

Burza powoli przechodziła. Ulewa zmieniła się w deszcz. W jego cichym rytmie usnęli przykryci połami wojskowego płaszcza.

Karol musiał być w stodole w czasie, gdy spali, bo Paul obudzwszy się około południa zszedł na dół i znalazł w kącie, wetkniętą między zbożem a ścianą, bańkę z mlekiem i pół bochenka chleba. Na dworze dał silny wiatr i zrobiło się chłodno. Siedzieli w swoim gnieździe,

słuchając odgłosów zwykłej codziennej krzątania w obejściu i drzemiąc trochę na zapas, a trochę rozleniwieni spokojem i beczynnością. Karol przyszedł dopiero późnym wieczorem, kiedy wszyscy domownicy pokładli się spać. Paul i Mariann oczekiwali go już na dole, gdyż zamierzali po pożegnaniu się z nim, odejść.

— No, najedliśmy się strachu — powiedział Karol szeptem i zachichotał trochę nerwowo, jakby jeszcze przeżywał godziny nocnego niepokoju.

— Bo też było czego — rzekł Paul — w pierwszej chwili myślałem, że ktoś sypnął.

— I ja byłem tego pewny. Jak długo tu żyję, nie mieliśmy wojska na kwaterze, nawet za tamtej wojny. Kiedy więc zobaczyłem żołnierzy na podwórzu, dech mi zaparło. Przez pięć minut słowa nie mogłem z siebie wykrztusić.

— Nie dziwota.

— Później starałem się nie dopuścić ich do stodoły i tłumaczyłem jak mogłem, bo Jan całkiem zgłupiał i zdał wszystko na mnie. Ale siła ich było, przeszło czterdziestu, nie dało rady wszystkim w szopie pomieścić. Powiem ci, że całutką noc nie spałem i co raz wychodziłem na dwór nasłuchiwać, czy przypadkiem was nie capnęli.

— No, mało brakowało, dosyć było kichnąć albo zakaszleć.

— O to właśnie się bałem — westchnął Karol — okropnie się bałem, bo wtedy kaput.

— Siedzieliśmy jak trusie — wtrąciła Mariann.

— To znaczy jak króliki, co?

— Właśnie.

Rozmawiali szeptem w ciemności, ledwo się wzajemnie dostrzegając.

— Szkoda, że ciebie nie mogę zobaczyć, dzieuszko — powiedział miękko Karol.

— Na dworze zobaczycie, tam widniej — odparł Paul — zaraz sobie pójdziemy.

Stary zawahał się:

— A czy musicie dziś odchodzić?

— Po prawdzie nie musimy.

— Zostańcie. Wypocznijcie dobrze. Nie ma gdzie się śpieszyć, ani czego obawiać. Wojsko tu już nie przyjdzie.

— Nie wiecie przypadkiem, gdzie oni poszli?

— Słyszałem jak mówili podoficerowie, że przejdą przez Hartigswalde do Kommusin Forst i będą kwatrować w Grünfliess.

— Gdzie to jest?

— Pod Niborkiem.

— To by się zgadzało — mruknął Paul.

— Możecie zostać ze trzy dni — rzekł Karol — mówić zaczniemy po niedzieli.

Paul poczuł znaczący uścisk Mariann. Stała przy jego boku, wsunąwszy mu rękę pod ramię i przytulając głowę.

— Trzy dni chyba nie — rzekł po namyśle — ale tę noc moglibyśmy jeszcze zostać, jeżeli uważacie, że można.

— Całkiem śmiało. A i dla was lepiej.

— Żywność nam się kończy. Gdyby nie to, nie spieszyłbym się wcale.

— Ty się nie martw — powiedział Karol i wcisnął mu do ręki worek, z którym przyszedł — zrobiłem wielką kradzież!

— Co tam jest?

— Dostałem się do komina na strychu. Teraz Hilda

wszystko zamyka, ale kłódka stara, od dawna miałem drugi klucz, tylko nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby coś stamtąd zabrać. To wcale nie było trudne. Jak zostaniecie, jeszcze raz tam pójdę.

— Możecie mieć potem nieprzyjemności.

— Przeciwnie. To oni mogą. Za nielegalny ubój idzie się do kacetu. Żałuję, że dawniej nie wpadłem na tę myśl.

— Znajdą na was jakiś sposób — mruknął Paul — niedobrze się stało. Nie próbujcie tego więcej. Raz taka sztuczka może się udać, za drugim razem przyłapią i nie wiadomo co wtedy.

— Zastanawiałem się, czyby nie pójść z wami — rzekł Karol — ale rozmyśliłem się. Muszę tu zostać do końca.

— Dlaczego? Chodźcie z nami, byłoby dobrze.

— Nie. Ten hitlerowiec będzie stąd uciekał, trzeba dopilnować gospodarki. Jeszcze trochę wytrzymam, już niedługo. Wnet tu nastanie Polska.

— Tak myślicie?

— Miała być po tamtej wojnie, ale nie wyszło, po tej będzie na pewno.

— Nie wiem — powiedział Paul — być może.

— Kto dożyje, zobaczy — odparł Karol — na tym domu w dwudziestym roku wisiała polska fana...

— Tssst! — szepnął Paul.

W ciszy nocnej, gdzieś na podwórzu, coś skrzypnęło.

— To od mieszkania niewolników — rzekł Karol cicho — pewnie za potrzebą który.

Nasłuchiwali chwilę w milczeniu.

— To ten Francuz — mruknął Karol po chwili — choruje na pęcherz.

Gdy drzwi ponownie skrzypnęły, Paul szepnął:

— A może to znowu ktoś z domu?

— Nie, tam śpią, to był Francuz, on musi co godzinę.

Usiedli na belce oddzielającej klepisko od brogu. Wiatr rozegnał chmury, bo przez szczelinę we wrotach wpadło trochę księżycowego blasku, rysując na betonie jasną smugę.

— Skąd pan wie, że tu będzie Polska? — spytała Mariann nieśmiało.

— Bo tak się należy, dzieuszko. Polski pług od niepamiętnych czasów orał tę ziemię — w głosie Karola zabrzmiała kaznodziejska nuta — pruski książę od polskiego króla władzę dostał, na krakowskim rynku przysięgę wierności składał i tak było przez wieki wieków, aż zdradą ci się oderwał i królestwo własne założył, ale lud polski tutaj został.

— Ci Mazurzy, jakich znałam, nie poczuli się do polskości — powiedziała Mariann — nawet starzy, co jeszcze mówią naszą mową, jak dziadek Gottlieb.

— Kiedy był plebiscyt, z naszego domu wszyscy głosowali za Polską — rzekł Karol — ten przeklęty hitlerowiec także i można powiedzieć, cała wieś. Tylko dwie rodziny były echt niemieckie. Od tego czasu siła narodu nam zepsuto, ale siła jeszcze została takich, co czują w sobie polską duszę.

— Myślicie, że ich wystarczy do tego?

Karol zawahał się.

— Tym razem będzie całkiem inna sprawa — rzekł po chwili — wiecie, tu przyjdzie wielka polska armia. Ona już jest, z Rosjanami idzie.

— Słyszałem — mruknął Paul.

— Tak. Ogromna. Pół miliona żołnierzy. Był tu niedawno jeden urlopnik i opowiadał, że największy

strach bić się z polskim wojskiem, on się bił. Do niewoli zupełnie nie biorą, tylko śmierć. Nie wiem czy to prawda.

— Może wrócimy tu, jeżeli to wszystko się spełni, co pan mówił — powiedziała Mariann.

— Wróćcie — odparł.

Dzień zapowiadał się upalny. Pod szczytem dachu było nieznośnie gorąco, choć zaledwie minęła godzina dziewiąta. Paul z niechęcią wciągnął spodenki i koszulę i zszedł na dół. Na starym miejscu, w kącie koło klepiska nie znalazł niczego, ale rozejrzawszy się, zobaczył obok szczeliny służącej za wejście butelkę nafty, blaszankę z mlekiem i dwie kromki chleba posmarowanego marmoladą. Widocznie Karol spieszył się i nie miał czasu albo coś innego wstrzymało go od wślizgnięcia się do środka.

Z uczuciem lekkiego zaniepokojenia Paul podszedł do przednich wrót stodoły, w których było dosyć szpar, żeby mógł zlustrować podwórze. Nie zobaczył nikogo z mieszkańców kolonii. Kilka kur i indyczek grzebało w piasku w pobliżu stajni, a czerwonopióry kogut przechadzał się czujnie spozierając co chwila w niebo. Drzwi domostwa były zamknięte, możliwe że wszyscy wyszli do prac polowych czy innych zajęć, które kilkudniowy deszcz powstrzymał.

Mariann leżała naga na kocu, a gdy przyszedł, nakryła koszulą piersi i łono.

— Oddychać nie ma czym — powiedziała — my skonamy tutaj z pragnienia.

Podał jej blaszankę i chleb.

— Masz! Napij się mleka. To musi nam starczyć do wieczora.

Mariann usiadła i wyciągnęła ręce. Koszula zsunęła

się jej do kolan, ale nie zważała na to, przytknęła usta do blaszanki i piła chciwie.

— Co ty robisz! — powiedział. — Chcesz dostać dur-chfalu? Jedz chleb.

Posłuchała go i posilali się w milczeniu. Pot oblewał im ciała.

Od dachówek bił żar coraz większy i mleko nie gasiło pragnienia. Rozłożyli się jak najdalej od siebie, lecz w ciasnym gnieździe nie było ucieczki przed duchotą i upałem.

— Wymyśl coś, Paul — odezwała się Mariann — bo upieczemy się tutaj żywcem.

— Co mogę wymyśleć. Musimy jakoś przecierpieć. Dobrze, że jest trochę mleka.

— Wypiłabym zaraz wszystko.

— Wypijesz, ale nie zaraz i nie od razu. Co godzinę dostaniesz jeden łyk.

— Tam jest najwyżej pięć łyków.

Uśmiechnął się:

— Dla ciebie starczy.

— A ty?

— Wytrzymam.

— Nie mam siły powiedzieć, że się nie zgadzam — jęknęła.

— Nikt się ciebie nie pyta, czy się zgadzasz — rzekł żartobliwie — ja tu rządę.

— Pomyślisz, że jestem egoistką.

— Jesteś dziecinna. Czemu wciąż się zakrywasz ko-szulą, wstydzisz się? Dlatego ci tak gorąco.

— Żebyś wiedział, że się wstydzę.

Poczuł się jakby urażony czy dotknięty, że jest dla niej kimś, kogo się wstydzi i co zapewne było prawdą, skoro wolała męczyć się pod przykryciem. A więc ist-

niała w nim jakaś obcość, którą odczuwała, nie zdając sobie sprawy, choć należeli do siebie i nic nie powinno ich dzielić w tej chwili. Gdy się kogoś kocha prawdziwie, tak jak on kochał, nie ma miejsca na podobne odczucia, a gdy one są, to znaczy, że nie kocha się prawdziwie, tylko ulega jakimś złudzeniom lub udaje miłość.

Podejrzliwie zaczął rozpatrywać zachowanie Mariann od początku ich znajomości, wygrzebywał z pamięci wszystkie rozmowy i ogarnął go nagły smutek, bo wydało mu się, że wszystko, co zaszło między nimi, było tylko ofiarą z jej strony, odruchem wdzięczności czy rezygnacji. Postanowił jej to zaraz powiedzieć w jakiś oględny sposób, a jednocześnie taki, który by wydobył z niej potwierdzające wyznanie. Chciał to wiedzieć, choć sama myśl o tym sprawiała mu ból. Nawet cisza, która zapanowała między nimi, była bolesna. Mimo woli dotknął palcami blizny, czując w niej lekkie ukłucie.

Mariann jak gdyby zauważyła ten gest, jej dłoń uniosła się i spoczęła na jego głowie.

Ostrożnie uniósł przymknięte powieki, bo wiedział, że napotka jej wzrok, wszechwiedzące spojrzenie kobiety, przed którym chciał ukryć swoją minioną nieufność.

Od rozpalonych dachówek ziało zarem nie do zniesienia. Leżeli nadzy, pot na ich ciałach wysechł, żadna drobina wilgoci nie chłodziła skóry, byli jak w przedśionku piekła, skazani na torturę gorąca i czasu, bez możliwości wydania głośniejszego jęku.

Znosił cierpliwie tę beznadziejną męczarnię, ale widok Mariann, chwytającej otwartymi ustami duszne powietrze, nie dawał mu spokoju. Spoglądał co chwila na zegarek czy już nadeszła pora, aby dać dziewczynie łyk mleka, jednak wskazówki wlokły się nieznośnie,

a błagalne spojrzenia Mariann kruszyły jego stanowczość, choć wiedział, że najgorsze jeszcze nie przyszło, do południa było daleko.

— Jesteśmy jak koty zamknięte w piekarniku — powiedział żałośnie — ale one mogą przynajmniej miauczeć i drapać drzwi, a my nie.

— To prawda.

— Tchu mi po prostu brakuje.

— Nie widzę innej rady, jak tylko zejść na dół albo nawet do lasu.

— Och tak. Niech będzie co chce, ja tutaj nie wytrzymam.

— Na dole nie bardzo bezpiecznie. Zresztą za dwie godziny tam też trudno będzie usiedzieć do wieczora bez wody.

— Że też nie pomyśleliśmy o wodzie.

— Kto mógł przewidzieć. Mieliśmy jej dosyć.

— Więc co robimy?

— Niedaleko stąd jest bagienko i strumyk — zastanawiał się — chyba tam pójdziemy. A jak się zacznie ściemniać, wrócimy. Karol nie przyjdzie wcześniej niż wieczorem.

Mariann usiadła i włożyła koszulę.

— Parzy jak ogień. Resztę chyba ubiorę na dole.

— Ja też — odparł — ale zabieramy wszystkie kłopoty ze sobą.

— Przecież wrócimy.

— Sam nie wiem, co robić. Taka ładna pogoda, aż szkoda marnować. Może tylko pożegnamy się z Karolem i pomaszerujemy dalej. Pomyślę.

Spakowali rzeczy i w bieliźnie zeszli na klepisko. Starali się nie czynić hałasu, ale musieli szeleścić słomą i drabina przy schodzeniu skrzypiała trochę, toteż

Paul wciągnąwszy spodnie podszedł do wrót frontowych.

Obok studni z blaszanym kubkiem w ręku stał Francuz. Wzrok miał skierowany ku stodołę i patrzył z takim wyrazem twarzy, jakby usłyszawszy coś, chciał się upewnić, czy go ucho nie myliło.

Paul odwrócił głowę i dał Mariann znak ręką, żeby była cicho. Zdażyła już wciągnąć spódnicę i bluzkę i zamierzała właśnie wzuć trzewiki, ale zrozumiawszy jego znak, trzymała je w ręku i patrzyła wyczekująco.

Francuz wciąż nastawiał ucha i spoglądał w stronę stodoły, nie zdradzając żadnego niepokoju. Twarz miał tępą, o wydłużonej dolnej szczęce, grubych wargach i płaskim nosie. Czarny parodniowy zarost nadawał jej zbójcki wygląd, ale mimo tych wszystkich cech nie była odrażająca i Paul przyglądał się jej z pewną sympatią.

Francuz sięgnął kubkiem do wiadra przewieszzonego na pompie i zaczerpnąwszy wody pił powoli. Potem jakby sobie przypomniał, że coś poprzednio obudziło jego ciekawość, jeszcze raz popatrzył na stodołę. Widać jednak było, że żadne podejrzenie nie powstało w jego umyśle, bo ponownie zaczerpnął wody i pił ją niespiesznie, jak człowiek, który ugasiwszy pragnienie, delectuje się tylko resztkami chłodnego płynu. Zawiesił kubek na haczyku i odszedł znikając Paulowi z pola widzenia. Po krótkiej chwili jego kroki ucichły. Paul nie odstępując od drzwi usłyszał w pobliżu lekkie, jakby skradające się stąpanie. Cofnął głowę, ale nie było czasu na odejście w głąb stodoły, wykonał tylko zwrot w miejscu i czekał w napięciu. Żałował, że nie miał pod ręką karabinu; leżał oparty o plecak, w odległości

pięciu kroków i gdyby Mariann wiedziała, co się święci, mogłaby mu podać.

Klamka u drzwi drgnęła lekko i powoli zmieniała położenie, jakby Francuz nabrał jakichś podejrzeń i zamierzał kogoś, kto był w środku, zaskoczyć raptownym otwarciem. Paulowi nagle przyszło na myśl, że może to nie Francuz tylko żandarm albo jakiś inny uzbrojony człowiek, którego poprzednio nie zauważył. Dreszcz go przeniknął, i nie spuszczaając wzroku z klamki, na palcach zaczął się cofać w głąb. Jasna prostokątna szczelina wolno obrysowała drzwi i w tej samej chwili Mariann podała mu karabin. Odetchnął.

Ten ktoś za drzwiami jeszcze łudził się, że nie został usłyszany, szczelina poszerzała się nieznacznie i upłynęło kilka sekund nim rygiel klamki opuścił z cichym chrzęstem zastawkę. Paul oczekiwał, że teraz drzwi otworzą się gwałtownie, ale zamiast tego rozchyłały się powoli, wpuszczając do środka strugę światła. Na jej tle zobaczył głowę Francuza, wsuwającą się ostrożnie do wewnątrz. Jego tułów pozostawał za skrzydłem drzwi, tak jak gdyby nie miał zamiaru wchodzić i tylko wzrokiem chciał się upewnić, czy go słuch nie omylił a kiedy jego oczy nie zdołały przeniknąć ciemności, panującej w głębi, otworzył drzwi szerzej z wyrazem zawodu i niezadowolenia, że nie udało mu się niczego zobaczyć ukradkiem. Teraz dopiero, gdy jedną nogą stanął na betonie, ujrzał Paula i lufę karabinu wymierzoną w siebie. Twarz mu zszarzała, żaden mięsień na niej nie drgnął i nawet gałki oczne zastygły w szklanym bezruchu, połyskując białkami. Strach sparaliżował go zupełnie i Paul pomyślał, że tylko Francuz może mieć takiego pietra. Wszyscy Francuzi są tchórzami, pomyślał, a ten ze strachu może zachować się jak baba i narobić

wrzasku. Musi go jakoś uspokoić, żeby nie nawalił w portki. Kto wie, może już nawalił?

Uśmiechnął się do niego i przyłożywszy palec do ust, opuścił karabin do nogi. Nie ruszał się z miejsca, żeby nie spłoszyć tego człowieka, tylko uśmiechając się jak najbardziej przyjacielsko przykładał palec do warg i powtórzył ten gest kilkakrotnie. Francuz otrząsnął się wreszcie z przerażenia, pokiwał skwapliwie głową i odpowiedział przyjaznym uśmiechem. Oczywiście miał jednak rozbiegane, pośpiesznie lustrujące wnętrza stodoły, jakby w obawie czy ktoś inny nie celuje w niego, gdzieś z boku. Dostrzegł Mariann za plecami Paula i wciąż z uśmiechem na grubych wargach cofał się przymykając jednocześnie drzwi aż je zamknął, a wtedy Paul rzekł szeptem do Mariann:

— Zobacz, co dzieje się z tamtej strony stodoły. Tylko ostrożnie.

Sam na palcach podszedł do przodu, jakaś instynktowna nieufność kazała mu sprawdzić, co robił teraz ten Francuz o twarzy zbójcy. Ujrzał go znów przy studni sięgającego po kubek i zerkającego bokiem na drzwi stodoły. Nie zaczerpnął jednak wody, tylko po krótkim namyśle odszedł, a gdy znalazł się parę kroków od domu, pędem pokonał dzielącą go odległość i wpadł do sieni zatrzaskując drzwi.

Paul odbezpieczył karabin, zebrał cały dobytek i położył koło Mariann.

— Wyjdę pierwszy — powiedział — zaczekasz, dopóki nie zniknę za drzewami.

— Paul?

— Cicho! Nie ma ani sekundy czasu. Nie zostaw niczego.

Przerzucił przez ramię plecak i wyszedł na dwór.

Kilkoma susami dopadł sośniny, rzucił plecak na trawę i zajął stanowisko w gąszczu młodniaka. Mariann po chwili była obok niego. Na jej twarzy nie znać było lęku ani zdenerwowania. Odeszli w głąb lasu i zatrzymali się w cieniu drzew, skąd jeszcze było widać zabudowania kolonii.

— Obserwuj, co się tam dzieje — powiedział — muszę włożyć buty i ubrać się.

— Myślisz, że on może sypnąć?

— Nie myślę, wiem — odparł — ale to nic. Zanim się połapią i zorganizują pościg, będziemy daleko. W tej wiosce nie ma posterunku żandarmerii.

Po przekroczeniu strumyka nasmarowali obuwie natą i wrócili na Tatarski Szlak. Przez trzy godziny szli w kierunku północno-wschodnim, a potem skręcili na wschód dziką drogą, na której deszcz zatarł wszelkie ślady. Nasiąkłe wilgocią igliwie pokrywało piasek, kroczyli więc bokiem drogi między drzewami, gdzie grunt był twardy i nie ujawniał ich tropu. Wkrótce doszli do potoku płynącego leniwie kotliną między dwoma wzgórzami. Po obu brzegach ciągnęła się podmokła łąka, porośnięta bujną bagienną trawą. Zdjąwszy trzewiki przeszli w bród wodę i przebrnęli przez błoto po drugiej stronie, a gdy wspięli się na pagórek, zobaczyli po prawej stronie duże jezioro. Paul spojrzął na Mariann, nie sprawiała wrażenia zmęczonej.

— Jak się czujesz?

— Dobrze. Zupełnie dobrze — odparła.

— Wolałbym ujść jeszcze z parę kilometrów, jeśli dasz radę.

— Nic mi nie dolega.

— Do ortelsburskich lasów nie będzie stąd więcej niż dwadzieścia kilometrów, a potem już lasy i lasy aż do dawnej polskiej granicy.

— To jutro moglibyśmy być w Polsce — ucieszyła się.

— Teraz tamta strona nazywa się Regierungsbezirk Zichenau i należy do Ostpreussen.

— Pewnie Polaków wysiedlono.

— Nie wiem. Możliwe. Chyba nie wszystkich.

— Niech będzie co chce, pójdziemy choćby do samej Warszawy.

— Będiesz szczęśliwa, kiedy znajdziesz się między swoimi.

— Ogromnie.

— Ciekaw jestem, jak to wszystko się ułoży — rzekł zamyślony — może mnie nie zechcą?

Przytuliła głowę do jego ramienia.

— Gdzie ty, tam ja — powiedziała.

Przymknął oczy i zatopił się w odczuwaniu tego przytulenia, wyróżniał miękką puszystość włosów i obłą gładkość policzka. Wciąż był spragniony gestów i słów upewniających go, że jest kochany, właśnie takich, które wydawały mu się prostym odruchem i które rozbrajały jego nieufność. Nie chciał utracić tej miłości, nie mógł jej utracić i musiał zrobić wszystko, żeby ją utrwalić, dlatego milczał długo, ważąc w sobie odpowiedź i Mariann też milczała.

— Spróbujemy najpierw dostać się do polskiej partyzantki. Jeżeli się nie da, wtedy już nie będzie żadnego wyboru. Dla mnie przynajmniej — uśmiechnął się smutno.

— Wiem o czym myślisz — powiedziała Mariann i wsunąwszy mu rękę pod ramię przytuliła mocniej

głowę — ale ja ciebie nie opuszczę. Kocham cię, Paul, bardzo kocham, bardzo, bardzo.

Ruszyli dalej, a po kwadransie marszu, gdy las się skończył nagle, zobaczyli w odległości pół kilometra szosę prowadzącą na północ. Poza nią, w kierunku wschodnim, w którym zamierzali iść, widniała jakaś wieś, a dalej ciągnęła się aż do horyzontu bezdrzewna pagórkowata okolica, na której zaledwie tu i ówdzie ciemniejszą zielenią znaczyły się niewielkie zagajniki. Ruszyli więc skrajem lasu na południe. Po paru minutach znów dotarli do tej samej szosy i znów ujrzeli nie zalesioną przestrzeń, a w oddali rozsiadłą przy szosie dużą wieś. W miejscu, gdzie się zatrzymali, odchodziła od szosy droga gruntowa prowadząca do wioski, którą widzieli poprzednio. Bez trudu, nie wychodząc z zarośli, odczytali na drogowskazach, że szosa prowadzi do Passenheim, a droga do Waplitz i Schwirgstein.

— I co robimy? — zapytała Mariann.

— Tu nie możemy zostać — powiedział Paul — wrócimy do bagienka i w krzakach zaczekamy do wieczora. Mniej więcej orientuję się gdzie jesteśmy. Tak jak mówiłem, jakieś dwadzieścia kilometrów od Ortelsburga.

— Ale żadnych lasów nie widać.

— Pod Ortelsburgiem będą z całą pewnością. Ten odcinek przejdziemy w nocy i nad ranem trafimy na lasy. To nawet dobrze, że jest taka przerwa — mówił zamysłony — jeżeli tylko uda nam się przejść niepostrzeżenie, to tam już chyba nie będą nas szukali.

— Żeby teraz nie szli naszym śladem.

— Mało prawdopodobne — mruknął — nawet gdyby tropili psami. Nafta — to bardzo dobra rzecz. Rosyjscy partyzanci często jej używali, zawsze skutko-

wała. Na własne oczy widziałem, jak psy momentalnie przestawały węszyć, dla nich to wstrętny zapach.

— Może posmarujemy jeszcze raz trzewiki.

— Nie trzeba. Szkoda nafty, nie mamy jej za dużo. Myślę, że w ogóle nie zdążyli zorganizować pościgu. Znam trochę tę całą maszynę. Gdyby to zależało od posterunku żandarmerii, to inna sprawa, ale tu wyższe dowództwo kieruje obławą, z gestapo albo z SS, wszystko jedno. Nie rozumiem, dlaczego tak zawzięli się na jednego dezertera. Za frontem dezerterszy stadami chodzą i nic, a tu chyba batalion esesmanów zagnali do szukania.

— Gdybyś nie zabił Handta...

— Nie wypominaj mi tego, Mariann, sam wiem — uchwycił jej spłoszone spojrzenie i wziął ją za rękę — chodź, idziemy stąd.

Wrócili nad strumyk tą samą drogą, którą przyszli. W pewnym oddaleniu od brodu na północ znajdowało się małe zarośnięte trzciną jezioro, opodal niego w gęstym młodniaku na pagórku spędzili resztę dnia.

Zachód słońca zapalił czerwienią las, a gdy nastąpiła wieczorna ciemność przed wzejściem księżyca, zrobiło się zimno i od wody nadciągnęła mgła tak gęsta, że na dwa kroki nic nie było widać. Musieli trzymać się za ręce i w ten sposób szli ledwo dostrzegając po bokach drogi cienie drzew. Na skraju lasu stanęli przed siną nieprzeniknioną ścianą i tylko mogli domyślać się, gdzie jest szosa. Poszli wzdłuż niej, bo Paul chciał wyjść na rozstaje, tak jak w południe.

— Dla nas dobrze — powiedział — ale ta mgła będzie tylko blisko lasu i wody, przeważnie dolinami.

— Nie jest jednak ciemno — zauważyła Mariann — choć nic nie widać.

— Księżyc świeci. Będziemy mieli jasną noc. Wolałbym, żeby ta mgła trzymała się jak najdłużej.

— Możemy zabłądzić.

— Nie bój się.

Kroczyli nieomal po omacku wciąż mając po prawej ręce widmową linię drzew, a pod nogami ugór pełen nierówności.

— Uważaj, zaraz będzie rów i szosa — rzekł szep-tem Paul — wyszliśmy tam gdzie trzeba, rozstaje po- winny być nie dalej niż trzydzieści kroków w lewo.

— Pójdziemy tą drogą?

— Później. Najpierw musimy wyminąć Waplitz.

Ostrożnie stawiając nogi zeszli ze skarpy do płyt-kiego rowu, skąd wydostali się na szosę. W mleczej ciszy, choć stąpali lekko, kroki ich zachrzęściły ryt- micznie. Mimo woli przyśpieszyli, a gdy znaleźli się na przeciwnym skraju, nagle z głębi tej mleczej za- słony jaka ich otaczała, ktoś krzyknął: Halt! Halt!

Skoczyli do rowu, a Mariann chciała biec dalej w pole, lecz Paul przykucnąwszy szarpnął ją za rękę i przyciągnął do ziemi. W tej samej chwili z niedużej odległości z kierunku rozstajów padł strzał i zaraz po nim usłyszeli jakiś starczy głos:

— Mensch, bist du verrückt?

— Słyszałem wyraźnie czyjeś kroki — rzekł ten, któ- ry krzyczał „halt”.

— Spałeś, śniło ci się.

— Mogę przysiąc, że słyszałem.

— Gdzieś daleko na szosie od strony południowej znów padł strzał a potem jeszcze jeden na północy.

— Teraz widzisz, co narobiłeś — odezwał się drugi —

cała linia zaalarmowana. Zaraz przyjedzie Gruppenführer i dostaniemy za swoje.

— Kiedy słyszałem — rzekł pierwszy niepewnie.

— No to idź, zobacz!

— Chodźmy razem.

— Ja nie strzelałem, tylko ty.

— Co tu można zobaczyć w takiej mgle — rzekł pierwszy — własnej ręki nie widzę.

— To po coś strzelał. Dziurę w niebie tylko zrobiłeś!

— Mówię ci, że słyszałem kroki na szosie. Słucham jeszcze dobry.

— Więc bądź cicho, słuchajmy.

Obaj mężczyźni umilkli i zapanowała na chwilę zupełna cisza. Żaden najlżejszy szmer nie zdradzał, aby zamierzali opuścić posterunek.

— Jakoś niczego nie usłyszałem do tej pory — odezwał się ten drugi — będziesz miał za swoje, ty stary ośle.

— Stosowałem się do rozkazu — rzekł pierwszy.

— Nie było rozkazu strzelać do niczego. W wojsku za fałszywy alarm idzie się pod sąd.

— Nie jesteśmy na szczęście w wojsku. Mój rocznik wyszedł, zanim wojna wybuchła, co mi mogą zrobić — w głosie pierwszego zabrzmiał ton uspokojenia — takim starym jak my powinni dać święty spokój.

— Ale że ci ten szurek nawymyśla, to się bez tego nie obejdzie.

— Możesz powiedzieć, że też słyszałeś.

-- Kiedy nie słyszałem.

— Trzeba mi było jeszcze raz wystrzelić — rzekł pierwszy — i tobie też. Lepiej by wyglądało.

— W dziewięćset szesnastym roku, kiedyśmy stali pod Cambrais — zaczął drugi — służyłem w 147 regi-

mencie Landwehry... a dowódcą mojej kompanii był taki sam młodzik lejtnant von Thedden...

Paul uściskiem dłoni dał znak Mariann i szepnął jej do ucha:

— Tylko pomału, nie spiesz się i rób to, co ja.

Trzymając ją za rękę pokonał stromizną rowu. Głosy staruszków rozbrzmiewały jak za sceną, ten drugi leniwie i z przerwami opowiadał swą przygodę wojenną, pierwszy wtrącał od czasu do czasu jakieś pytanie, po którym następowała chwila milczenia i wtedy Paul zatrzymywał się, ściskając spoconą dłoń Mariann. Niepotrzebnie się bała, w tej błogosławionej mgle jedynym niebezpieczeństwem mógł być zbyt głośny szmer, wywołany nerwowym pośpiechem. Lecz Mariann jakby tego nie rozumiała, musiał siłą powstrzymywać ją, by nie puściła się pędem. Ciągnęła go jak pies na smyczy, a jej dłoń, mokra od potu, wyslizgiwała mu się z uścisku, aż był zmuszony ująć ją za przegub ręki, żeby przypadkiem, uzyskawszy swobodę ruchów, nie zginęła mu z oczu, do czego wystarczyło odbiec zaledwie dwa, trzy kroki.

Weszli na spasiony przez bydło ugór, krocząc prosto przed siebie, byle jak najdalej od szosy. Kiedy już odeszli spory kawałek i natrafili na jakieś ogrodzenie z drutu, skierowali się wzdłuż niego w prawo, aż doszli do polnej ścieżki, prowadzącej we właściwym kierunku. Po jakimś czasie przystanęli na niewielkim wzniesieniu w ciszy całkowitej i wciąż otoczeni mgłą. Dopiero teraz mogli spokojnie odetchnąć, ale Mariann jeszcze nie otrząsnęła się z przestachu. Objęła Paula ramionami i przekazując mu swój drżący popłoch rzekła ledwo słyszalnym szeptem:

— Chodźmy stąd, nie zatrzymujmy się.

— Zaczekaj — odparł nasłuchując — zdaje mi się, że szosą jedzie auto.

Daleki pomruk motoru rozbrzmiewał coraz wyraźniej, ale we mgle nie było widać świateł.

— Uszliśmy kawał od szosy — rzekł Paul — chciałbym teraz być w tym rowie. To na pewno ktoś z dowództwa.

Mgła trzymała się dolin, na szczycie pagórka zrzędła i tworzyła lekki opar. W blasku księżyca krajobraz, który ujrzeli, podobny był do wielkiego rozlewiska wód i tylko gdzieniegdzie wynurzały się z niego podłużne cienie wzgórz jak archipelag wysp na cichym siwym morzu. Szli ścieżkami, miedzami i na przełaj od jednej wyspy do drugiej, tonąc na przemian we mgle i z niej wychodząc, wciąż w kierunku wschodnim, który ustalali w miejscach bardziej wyniosłych, gdzie mogli zorientować się według księżyca. Północ minęła, kiedy po dłuższym błędzeniu wertepami wyszli ponownie na lepiej utrzymaną drogę, wiodącą w kierunku wschodnim. Nie było na niej żadnych drogowskazów. Postanowili nią iść aż do najbliższej osady, lecz zamiast niej, po kwadransie znaleźli się w wysokopiennym lesie.

— No widzisz — rzekł uradowany — jest jak mówiłem. Tu zaczynają się ortelsburskie lasy, a jeszcze dalej pod Johannisburgiem to już będzie prawdziwa puszcza.

— Daleko stąd?

— Chyba z pięćdziesiąt kilometrów.

— I aż tam pójdziemy?

Wyczuł w jej głosie nutę rozczarowania.

— Będzie bliżej twoich rodzinnych stron — odparł — a poza tym myślę, że tam już na pewno dadzą nam spokój. Według tego, co mówił mi Edek, ten Polak ze

szpitala, po waszej stronie też są ogromne lasy, w których jest dużo partyzanckich oddziałów.

Zaczęło szarzeć i mgła nabrała mlecznego koloru, minęli jakąś szosę, a później natrafili na piaszczysty trakt, którym zagłębili się w las spowity białym gęstym oparem. Okolica musiała być równinna i bagnista, bo co chwila nogi ich grzęzły w błocie. Przekroczyli też parę leśnych strumyków, sączących się przez torfiaste mokradła, a gdy na drodze stanęło im rozległe trzęsawisko, skręcili w lewo na wschód, na przełaj przez wysokopienny las i doszli do brzegu jakiegoś jeziora.

— Dosyć na dzisiaj — powiedział Paul — tu zaczekamy, dopóki mgła nie ustąpi.

— Która godzina?

— Dochodzi czwarta. Chce ci się spać?

— Trochę.

Paul rozejrzał się dokoła.

— Dalej niż na dziesięć kroków nic nie widać, ale znajdziemy jakieś suchsze miejsce.

Zawrócili w las i po paru minutach poszukiwań rozpięli płachtę namiotową pośrodku, jak im się wydawało, niewielkiej leszczynowej kępy.

— No, możesz się położyć — powiedział — okryję cię płaszczem.

— A ty?

— Będę czuwał. Diabli wiedzą, co może kryć się w pobliżu.

Pod płachtą mgła była nie mniej gęsta niż na zewnątrz i w jej oparach kształt dziewczyny tracił jak gdyby swą cielesność, niknął w fałdach płaszcza. Musiała być bardzo zmęczona. Jej włosy, nasiąkłe wilgocią, przylegały do policzków, nadając twarzy wygląd topielicy. Pomyślał, że koniecznie muszą gdzieś zatrzy-

mać się na dłuższy czas, może u ciotki Emmy lub w jakimś innym miejscu, które im ciotka wskaże, jeśli pobyt u niej będzie niemożliwy.

— Co się tak zamyśliłeś? — spytała Mariann. — Klęczysz i nic nie mówisz.

— Śpij, śpij.

— Ty się czymś niepokoisz?

— Ale skąd. Po prostu zastanawiam się, co dalej robić.

— Co będzie tam?

— Nie. Co będzie z tobą. Nie wytrzymasz długo tych trudów.

— Wytrzymam.”

— Żebyś mogła siebie zobaczyć, jak wyglądasz.

— Bo jestem niewyspana, ale czuję się świetnie.

— Dobrze, dobrze, więc śpij.

Nie chciał powiedzieć jej, że planuje zostawić ją u ciotki Emmy, i że będą musieli się rozstać.

I znów nastał dzień upalny. Mariann spała twardo, bez ruchu niemal i bez czucia. Gdy mgła około szóstej nagle opadła, Paul wysunął się spod plandeki, by spenetrować najbliższą okolicę.

Utkwili w młodej leszczynie tak gęstej, że zdziwiło go, jakim cudem trafili na odrobinę wolnego miejsca wśród pędów, bujnie rosnących dokoła. Nie była to nawet polanka, tylko jakby legowisko jakiegoś leśnego zwierzęcia, bo rozejrzawszy się dostrzegł wąską ścieżkę zasklepioną gąszczem gałęzi, podobną do tunelu. Pochylony w pas, klucząc tym dzikim tropem przebrnął przez zarośla, ale musiał zmylić drogę, którą przyszli, bo znalazł się na skraju niewielkiego urwiska, tuż nad

brzegiem jeziora. Metr niżej była piaszczysta ławica a dalej nieduża przestrzeń wodna zamknięta pasem trzciny, za którym rozpościerało się jezioro. Brzeg przeciwległy był oddalony o kilometr albo więcej i też zalesiony. Trochę dalej, w prawo, widniały wśród zieleni jakieś dachy, ale nie poczuł się tym zaniepokojony. Zarośla leszczyny ciągnęły się wzdłuż jeziora w obu kierunkach tworząc dziki ostęp, w którym o tej porze poza zwierzyną nie miał nikt nic do szukania. Mogli tutaj czuć się całkiem bezpieczni i odpocząć kilka dni, gdyby udało mu się w którejs z pobliskich wiosek zdobyć bez ryzyka trochę żywności. Gdyby nie spotkanie z tym przeklętym Francuzem, Karol by ich zaopatrzył jak należy.

Poczuł nagły głód i wrócił do Mariann. Spała w tej samej pozycji, z nosem wtulonym w rękaw płaszcza. Żał mu było ją budzić, usiadł więc i czekał cierpliwie, zapadając raz po raz w męczący półsen.

Mariann otworzyła oczy dopiero około południa, kiedy był już zupełnie wykończony czuwaniem. Nie dał jednak tego poznać po sobie i przyznał się tylko, że jest strasznie głodny. Wypakowali zaraz zapasy z plecaka. Boczek dostarczony przez Karola miał podejrzany zapach, ale Paul orzekł, że nadaje się do jedzenia.

— Trzeba go tylko przesuszyc — powiedział — rozpalimy małe ognisko.

— Tutaj?

— Nie. Nad jeziorem. Widziałem tam takie miejsce.

— Jeszcze ktoś zobaczy dym.

— To nic.

Miejsce, o którym mówił Paul, było osłonięte od strony jeziora koroną obalanej przez wicherę olchy. Wsparta na konarach ocieniała przybrzeżną płyciznę, za którą

w odległości kilku metrów ciągnął się pas trzciny. Pod skarpą przy wydartych z ziemi korzeniach drzewa rozpalili ogień.

— Bardzo zacisznie — powiedziała Mariann — chyba upiórę bieliznę.

— Jak chcesz, ale mydła niewiele.

— Będę oszczędzać. Może wykąpię się przy tym, jestem okropnie brudna.

— Ja też. Wykąp się, a potem ja.

Z lekkim wahaniem Mariann zrzuciła z siebie odzież, a potem zdejmując koszulę obróciła się do niego tyłem. Widok chłopięcej niemal chudości grzbietu, pośladków i ud przypominał mu czas odległy, kiedy w ciepłe letnie dni prowadził swe trzy siostrzyczki za miasto nad stare koryto Ruhry, gdzie golutkie, w tym miejscu ustronnym otoczonym zaroślami łożyny, chlapały się w wodzie i biegały po piaszczystej ławicy pod jego strażą. Był w tym wieku, w którym płeć nie sprawia jeszcze kłopotu. On zaś, obciążony macierzyńskimi obowiązkami, też jej u nich nie dostrzegał, choć miał czternaście lat i z zapałem podglądał starsze dziewczęta.

Patrząc na Mariann jak płochliwie kroczyła ku wodzie jedną ręką zasłaniając piersi, a drugą łono, poczuł nagłą trwogę i rozejrzał się dokoła.

Las jednak tchnął spokojem i ciszą.

Mariann weszła do wody, która w najgłębszym miejscu sięgała jej do kolan. Dłuższy czas myślała się i pluskała, a gdy już miała dość, podeszła bliżej brzegu.

— Podaj mi mydło i bieliznę — powiedziała — wszystko co tam leży i zdejm koszulę, to ją wypiórę.

— Pomógłbym ci — rzekł wchodząc w wodę — ale jednak trzeba czuwać.

— Nie strasz mnie i tak mam duszę na ramieniu.

Potem siedzieli na kocu i z upodobaniem oglądali swą nagość ocienioną listowiem olchy. Słoneczne plamki igrały na skórze Mariann. Paul ścigał je ustami aż obdarzyła go swym ciałem w krótkim namiętym porywie trwożnej rozkoszy, której pragnienie było silniejsze od strachu.

Szli ocienioną stroną i mieli przed oczyma długi odcinek niezbyt uczęszczanego traktu. Mimo to stąpali ostrożnie, nic nie mówiąc, w pełnym pogotowiu, które już stało się ich nawykiem. Jak leśne zwierzęta szli i wyostrzonymi zmysłami chwyтали spokojne tchnienie puszczy, wszystkie zespolone przejawy jej życia. Ich bose stopy nie płoszyły nawet ptaków w przydrożnych zaroślach, dostrzegali je niekiedy wśród liści, jak przyglądały się im przekrzywiając łebki bez lęku i jak po krótkiej chwili milczenia podejmowały przerwany świergot czy śpiew.

Zbliżali się do miejsca, gdzie należało opuścić trakt i pójść na przełaj w stronę legowiska nad jeziorem. Droga znów skręcała łukowato i nieco dalej powinna rosnać widlasta brzoza, którą Paul obrał za drogowskaz, lecz zanim ją zobaczył, wpierw jego wzrok natrafił, tuż za obłym wybrzuszeniem zakrętu, na człowieka w rozpiętej bluzie siedzącego obok roweru. Przewieszony przez ramię pas z kaburą rewolweru i założone na rączkę kierownicy żandarmskie kepi świadczyły, że człowiek ten również nie spodziewał się żadnego spotkania wymagającego interwencji. Może nawet słyszał odgłosy stąpania, tylko przypuszczał, że idzie ktoś z miejscowych, bo jego twarz w pierwszym momencie nie zdradzała zaskoczenia, patrzył w tę stronę bez jakiegó szcze-

gólnej ciekawości i bezmyślnie, ale to trwało zaledwie ułamek sekundy potrzebny, aby do jego umysłu dotarł zaskakujący obraz obcych ludzi. Gdy zrozumiał, kogo ma przed sobą, było za późno na wykonanie właściwego ruchu. Jego dłonie, spoczywające na udach zdążyły tylko oderwać się od nich na cal i pod groźbą wymierzonego karabinu drżały w powietrzu.

Patrzyli na siebie bez słowa, obydwaj zdyszani i spotnieli jak po ciężkim wysiłku, a ich wzrok wyrażał wszystko, co mieli do powiedzenia.

Ręce żandarma powoli wznosiły się w górę, aż zatrzymały się na wysokości głowy. Po jego policzkach pot ściekał strumykami, usta miał na wpół otwarte i wykrzywione grymasem strachu. Był zdrowym, dobrze zbudowanym mężczyzną w średnim wieku, o energicznych rysach twarzy i bystrych oczach. Paul wyczuł w nich coś nieuchwytnego, jakieś utajone zagrożenie, które jak błysk mignęło tylko w źrenicach. Nie odwracając się rzekł do Mariann:

— Idź nad jezioro i tam zaczekaj.

Nie ruszała się z miejsca, słyszał jej głośny oddech, ale nie mógł na nią spojrzeć, żeby nie stracić z oczu żandarma.

— Odejdź w tej chwili — rzekł szorstko — już cię tu nie ma.

Krzaki zaszeleściły i odgłosy jej przedzierania się przez zarośla ucichły. Postąpił dwa kroki naprzód.

— Połóż się — powiedział po niemiecku — twarzą do ziemi.

Usta żandarma drgały, jakby bezdźwięcznie szeptał modlitwę.

— Litości — wyjąkał wreszcie — nie zabijaj. Mam żonę i dzieci.

— Kładź się. Nic ci nie zrobię.

Żandarm zwlekał z wykonaniem rozkazu, jęczał i płakał. Było coś ponizającego w tej rozpaczyci człowieka, który nie wyglądał na mazgaja, ale Paul nie czuł nic prócz wzdardy.

— Liczę do trzech — powiedział — nie zmuszaj mnie, żebym ciebie zastrzelił. Kładź się. Eins, zwei...

Nie skończył liczyć, gdy żandarm poderwał się z ziemi i runął na niego. Paul nie zdążył wystrzelić ani cofnąć się. Pod ciężarem napastnika upadł na plecy i wypuścił karabin z ręki. Musiał to zrobić, by oderwać dłoń żandarma od swego gardła i uwolnić brzuch od nacisku jego kolan. Tarzali się w piasku, który zasypywał im oczy, ale przeciwnik wciąż był górą. Paul z rozpaczą uświadomił sobie, że tamten ma nad nim przewagę, czuł to po sposobie jakim żandarm paraliżował w zarodku jego ruchy i nie zwalniał uchwytu gardła. Tylko w chwili upadku zdołał go zdzielić pięścią w dołek, lecz ten cios był niewystarczający, by pozbawić go przytomności. Żandarm odczuł jednak uderzenie i to pozwoliło Paulowi przetoczyć się w bok. Przez sekundę miał nadzieję, że wyzwoliwszy prawe ramię zada mu oswobodzający cios w brzuch, ale przeciwnik opasał go udami, przetoczył się z nim i znów był na wierzchu, wzmacniając kleszczowy uchwyt gardła. Przywarł do Paula całym ciałem i wtulił głowę, tak że Paul czuł jego świszczący oddech przy swoim uchu. Dusił się i tracił przytomność, nic nie widział. I wtedy, właśnie w ostatnim momencie czucia usłyszał głucho, dobrze znane, metaliczne stuknięcie stopki kolby i chrobot kości. Uścisk gardła nagle zelżał.

Gwałtownie nabrał powietrza w płuca, lecz jeszcze nie miał siły, by strącić żandarma z siebie. Ktoś mu

w tym pomógł, a potem znów usłyszał ten sam głuchy łomot. Gdy przetarł oczy, ujrzał przed sobą Mariann trzymającą oburącz karabin jak maczugę. Stała w rozkroku gotowa do zadania następnego ciosu, ale nogi jej spryskane krwią drżały nerwowo. Twarz miała spokojną, skurczoną wyrazem zawziętości. Z zaciśniętymi ustami spoglądała na nieruchome ciało żandarma u swych stóp.

Paul poderwał się z ziemi, a zobaczywszy pokiereszowaną głowę przeciwnika, odzyskał spokój.

— Zabiłam go — powiedziała Mariann.

— Nie było innego wyjścia.

— Chciałam go zabić.

— Tak — bąknął i postąpił ku niej. Wziął z jej rąk karabin i wytarł kolbę o piasek.

— Nie miałam zamiaru go tylko ogłuszyć — powiedziała — przez cały czas myślałam, że go zabiję.

— Po co o tym mówić — rzekł niepewnie.

— Bo chcę, żebyś wiedział, jaka jestem. Dlaczego kazałeś mi odejść?

— Nie dlatego. Później ci wytłumaczę.

— Ale przez to byłoby już po nas.

Paul kiwnął głową.

— Tak. Zadusiłby mnie. On znał jakieś chwyt — położył dłoń na ramieniu Mariann — dajmy temu spokój. Musimy prędko zrobić tu porządek.

Podszedł do roweru, zdjął z ramy pas z rewolwerem i zapiął go sobie na biodrach.

— Później go dostaniesz — powiedział — nauczę cię obchodzić się z bronią.

— Paul! On się jeszcze rusza — zawołała.

— Zostaw go i chodź tutaj — podniósł rower — zaprowadź to nad jezioro, resztą ja się zajmę.

— Ale on już chyba nie żyje? — zapytała. Głos jej się łamał, jakby dopiero teraz ogarniało ją przerażenie.

— Nie wiem. Zaraz zobaczę — powiedział — no idź, idź! Możesz poczekać w krzakach — spojrzał na nią, wargi miała zupełnie białe — będziesz wymiotować? — zapytał.

— Zdaje się.

— To idź stąd prędko i nie patrz. Nie musisz odchodzić daleko.

Kiedy zniknęła w zaroślach, wziął za nogi żandarma i zaciągnął go w krzaki, po czym wrócił na drogę. Zasypał piaskiem ślady krwi, najstaranniej jak tylko było można, a dostrzegłszy kilkanaście kropeł na liściach pobliskiego krzewu, pozrywał je. Czynił to wszystko powoli i wciąż myślał o tym, co mu jeszcze zostało do wykonania, o tej najgorszej rzeczy, przed którą się wzdragał, ale gdy zajdzie potrzeba, będzie musiał wykonać. To nie był żaden odruch litości, tylko wstręt. Nie było miejsca na żadną litość. Tamten też by nie żałował ostatniego ciosu. Obydwaj od pierwszej chwili wiedzieli, że jeden z nich musi zginąć bezapelacyjnie. Głupi przypadek wyznaczył w tym cichym ustronnym miejscu czyjś grób. Ale mimo wszystko konieczność dobijania dogorywającego wydała mu się rzeczą wstrętną i nie mógł się z niej otrząsnąć.

Długo zwlekał i świadomie przeciągał zabiegi zacierania śladów, aż wreszcie nie pozostało nic więcej do zrobienia na drodze. Wrócił na miejsce, gdzie zawlókł ciało żandarma. Wciąż jeszcze tliło w nim życie, z uszu, nosa i ust sączyła się krew, tworząc wokół głowy ogromną kałużę. Nachylił się nad nim i przełamując obrzydzenie obmacał czaszkę, na której krew zmieszana z piaskiem już krzepła grubą skorupą. Pierwszy cios

zadany żelazną stopką kolby złamał potylicę, drugi wymierzony na odlew wyżłobił tuż za uchem głęboką dziurę. Ten człowiek musiał umrzeć, ale agonია mogła trwać jeszcze parę godzin. Paul wyjął z pochwy bagnet i przyłożył do pleców leżącego. Przymknął oczy, ale mimo to nie potrafił zdobyć się na pchnięcie. Ostrze bagnetu wgłębiło się w miękkość ciała poprzez koszulę i wystarczyło tylko nacisnąć mocniej. Starał się wzbudzić w sobie gniew i wściekłość myśląc, co by spotkało Mariann, gdyby żandarm ją znalazł w ich legowisku, wyobrażał sobie ohydny scenę pastwienia się nad nią, gwałtu i mordy, ale czuł tylko grozę, która obezwładniała go jeszcze bardziej i wznieciła w nim niepokój czy przypadkiem coś jej się nie stało. Dokoła panowała wroga cisza, budząc w nim lęk.

Schował bagnet i poszedł prędko w las, nawołując Mariann półgłosem. Odezwała się zaraz, a gdy ją zobaczył siedzącą spokojnie koło roweru — odetchnął. Zdyszany usiadł przy niej. Utkwiła w nim pytające spojrzenie.

— Co z nim zrobiłeś?

— Nic. Leży w krzakach.

— Żyje?

Milcząco skinął głową i zerwawszy długie źdźbło trawy zaczął je żuć.

— Zostawimy go tak? — zapytała po chwili.

— On nie pociągnie długo — mruknął — ale parę godzin może potrwać zanim zdechnie. Nie mogłem go dorznąć, ręka nie chciała mnie słuchać.

— Ja bym teraz też już nie mogła. Wtedy, gdy mu przysunęłam, byłam zdolna do wszystkiego, ale myślałam, że ma dość. A chciałam mu poprawić — westchnęła jakby z żalem.

Paul uśmiechnął się smutno.

— Nie spodziewałem się, że potrafisz być tak okrutna.

— To nie okrucieństwo. Widziałam, że cię dusi, byłeś już siny i wcale nie zastanawiałam się, co robię. Podniosłam, co było pod ręką.

— Miałam szczęście, żeś mnie nie posłuchała.

— Bo mnie tknęło. On miał złodziejskie oczy ten szkop. Ty tego nie zauważyłaś.

— Zauważyłem. Byłem trochę skołowany, bo on prosił się i nie chciał wykonać rozkazu. A także denerwowała mnie myśl, że będę musiał go zabić. Właśnie tak sobie planowałem, jak ty to zrobiłaś, że palnę go parę razy, ale mam wstręt do tych rzeczy. Łatwiej by mi przyszło go zastrzelić, to prosta sprawa, a tak za-tłuc — pokręcił głową i wypluł pożute kawałki żdźbła — jakoś mi nie pasowało. Zastrzelić to co innego.

— Zostawimy go tak?

— Pomogłabyś mi go przenieść na brzeg jeziora?

— Chcesz go utopić?

— Nie. Ale jak umrze, to go pogrzebię pod skarpą. Do nocy umrze z pewnością.

— A jak nie?

Wzruszył ramionami.

Gdy wrócili do ciała żandarma, było już martwe.

— Chyba bym go dobił — mruknął Paul — musiałbym to zrobić.

Kiedy chłodna noc znów otuliła lasy i pola, ruszyli w dalszą wędrówkę. Paul starał się trzymać kierunku północno-wschodniego, by dotrzeć do linii kolejowej prowadzącej w stronę Johannisburga. Wieś, w której mieszkała ciotka Emma, nazywała się Guschienen i le-

żała na tym szlaku. Nie pamiętał żadnych nazw pobliskich miejscowości, były to przeważnie osiedla letniskowe nad wielkimi jeziorami mazurskimi.

O świcie trafili na tor koło stacji Ebendorf i po godzinnym marszu zatrzymali się na całodzienny postój w niedużym lasku. W ciągu następnej nocy dotarli do Guschienen i zanim się rozwidniło, poszedł na zwiady. Drewnianą chałupę ciotki Emmy zastał w kompletnej ruinie, opustoszałą.

Od trzech godzin ukryci w kępie krzaków oczekiwali zmierzchu. Kolonia była położona na skraju lasu. Dokoła zabudowań rosły sosny i tylko niewielki kawałek gruntu wykarczowano pod ogród. Podwórze nie było ogrodzone, po drugiej stronie domu parę owocowych drzewek okalał płot z kołków. Paul przypuszczał, że mieszka tu jakiś robotnik leśny albo drogowy.

Z kępy mieli dobry wgląd na wszystko, co dzieje się w obejściu i obserwowali ślamazarną krzątanicę dwojga starych ludzi, mężczyzny i kobiety, którzy pojawiali się od czasu do czasu i znikali krążąc między domem, obórką i szopą skleconą z desek. Nikt więcej nie pokazał się w polu widzenia i być może nikt więcej tu nie mieszkał. Wieś widniała w odległości kilometra przy szosie, wzdłuż której zamierzali pójść, gdy noc zapadnie.

Na razie czekali cierpliwie, widząc i słysząc wszystko, co działo się między dwojgiem starych ludzi, którzy wykonywali swą pracę z takim spokojem i zapobiegliwością, jak gdyby wieści o zbliżającym się froncie nie dotarły tutaj do ich umysłów zajętych wyłącznie doglądaniem dobytku, złożonego z kur, paru indyczek i tego, co żyło w oborze.

— Rozmawiają po polsku — szepnęła Mariann — może już jesteśmy w Polsce?

— Niemożliwe. Do granicy mamy jeszcze z piętnaście kilometrów. Oni mówią tutejszą gwarą. To Mazurzy. Na pewno.

-- Tacy jacyś biedni.

— Na nowinie siedzą, a tu wszędzie piach.

— Aż mi żal, że im ogród splądrujemy.

— Ech tam, niewielka strata — odparł — ale ja myślę, czy nie spróbować u nich coś kupić, przynajmniej soli i nafty. Zapałki też się kończą.

— Po co ryzykować, jeżeli jutro mamy być w Polsce.

— Wolałbym te rzeczy mieć dziś — powiedział z wahaniem — nie wiadomo, co będzie jutro. Od tygodnia chleba nie jedliśmy. Bez mięsa, bez tłuszczu, to marny widok.

— Głodu nie cierpimy.

— Z takimi biedakami łatwiej się dogadać, na pewno nie są hitlerowcami. Może wiedzą jak wygląda sprawa na granicy.

— Co oni mogą wiedzieć. Tacy staruszkowie.

— Psst!

Z obory wyszedł mężczyzna i podzwaniając trzymanymi w ręku łańcuchami skierował się ku ścieżce, prowadzącej wzdłuż ogrodu.

— Chyba jednak spróbuję — szepnął Paul — zaczekam aż wróci z krowami. Nie wejdę do domu, tylko zostanę na podwórzu, a ty siedź tutaj i miej baczenie na drogę. Stąd widać dobrze do samej szosy — odwrócił głowę i spojrzał w tym kierunku — gdyby ktoś nadchodził, od razu biegnij do mnie. Rozumiesz. Nie wołaj.

— A jak w domu jest jeszcze ktoś prócz tej kobiety?

— Wątpię. Będę uważał — rzekł po namyśle — ale ty także uważaj. Na wszelki wypadek miej broń w pogotowiu.

— Paul, może zrezygnujemy z tego wszystkiego.

— Nic się nie bój, to jest wyjątkowa okazja.

— Wcale się nie boję.

Wyczuł z brzmienia jej głosu odcień lekkiej irytacji i wziął pojednawczo za rękę.

— Nie o to idzie — szepnął — nawet gdyby się nie udało, niewiele ryzykujemy. Mamy odwrót zabezpieczony.

— Wrócilibyśmy nad rzekę?

— Jasne. I popłynęlibyśmy dalej łódką. Na wodzie nie zostawia się śladów.

— Byłoby głupio wpaść na samym końcu w jakąś kabałę.

— Będzie dobrze. Zobaczysz.

Mariann zamilkła. Na jej twarzy nie dostrzegł lęku. Rysy jej spalone słońcem i wiatrem zaostrzyły się i nabrały surowości.

Na powrót starego czekali jeszcze kwadrans. Czerwona tarcza słoneczna tonęła w ciemnych chmurach, zasnuwających zachodnią część nieba. Kiedy usłyszeli pobrzękiwanie łańcuchów, Paul wyszedł z krzaków. Otrzepawszy mundur, usiadł na ławeczce pod ścianą domostwa. Karabin trzymał między kolanami, odbezpieczony. Płot ogrodu zasłaniał trochę widok, ale Paul słyszał zbliżające się ciężkie stąpania dwu krów, a po chwili zza płotu wyłoniła się przygarbiona postać ich gospodarza, prowadzącego je na łańcuchach. Szedł zamysłony, ze wzrokiem utkwionym w ziemi i zauważył Paula dopiero, gdy usłyszał jego pozdrowienie.

Zaskoczony przystanął i otworzył usta, ale upłynęło

trochę czasu, zanim wykrztusił: dobry wieczór, co wyglądało jakby się zastanawiał w jakim języku ma odpowiedzieć niemieckiemu żołnierzowi, który odezwał się do niego po mazursku. Był człowiekiem dość starym, aby pokryć zdziwienie zakłopotanym uśmiechem, ale nie zdołał zamaskować niepokoju w jasnoniebieskich oczach. Na jego przywiedłych policzkach pojawił się nagły rumieniec, na którym wyraźnie wystąpiła siwizna zarostu. Nie zadał żadnego pytania, tylko uchyliwszy czapki ruszył dalej. Paul zatrzymał go skinieniem, podniósł się z ławki i podszedł do niego.

— Mam do was mały interes — rzekł gwarą.

— Do mnie?

— Nic takiego. Chciałbym kupić trochę jajek, masła, może szpeku, co jest w domu.

Niebieskie oczy starego spoglądały nieufnie i badawczo.

— My biedni ludzie, panie obergefreiter, nie gospodarze, ledwo na kontyngent nam starczy — powiedział posępniejac — we wsi prędzej pan dostanie.

— Człowieku, chyba domyślasz się, z kim masz do czynienia?

Stary zawahał się i chrząknął.

— Nie chcę nic o tym wiedzieć — rzekł po chwili milczenia — byłoby lepiej, żeby pan tu nie przychodził.

— Trzy godziny siedzieliśmy w krzakach i słyszeliśmy, że rozmawiacie po naszymu. Musiałem zaryzykować.

Stary wciąż przyglądał mu się badawczo i przez chwilę milczał.

— Wielu was jest? — zapytał wreszcie.

— Dwóch.

— Mazury?

— Jasne.

— Chodźcie.

Gdy weszli na podwórze, stary powiedział:

— Zaczekajcie tam za szopą, tylko krowy uwiążę.
Co wam trzeba?

— Prócz tego co powiedziałem, jeśli macie, to soli, zapalek i nafty.

— Dobrze. Zaczekajcie tam. Gdyby ktoś nadszedł, to uciekajta w las. W nocy wrócić, zostawię wam w koszyku, za szopą. A gdzie kolega?

— On wie, co robić.

— We wsi jest posterunek żandarmerii.

— Zaraz stąd odejdziemy.

— Dobrze. Więc zaczekajcie.

Upłynęło pół godziny, zanim stary wyszedł z domu z dużym wiklinowym koszem, przykrytym gazetą. Kiwnął ręką i Paul opuścił kryjówkę. Podeszli razem w stronę drogi.

— Zawołajcie kolegę, pójdę z wami kawałek w las. Coś wam muszę powiedzieć.

Paul zerknął ku oknu i stary to zauważył.

— Nie lękajcie się, panie, tam ino moja białka. Chodźwa prędko, bo tu niedobrze stać.

— Nie dziwta się — odparł — dwa tygodnie żyjemy jak leśne zwierzęta.

— Pojmuję — stary pokiwał głową i spojrzał w kierunku szosy.

Paul dał znak **Mariann**. Wyłoniła się z krzaków z rewolwerem w dłoni. Ściśnięta w talii pasem, którego naramiennik podtrzymywał kaburę, niczym nie przypominała tej wystraszonej, płochliwej dziewczyny z pierwszych dni ich ucieczki. Pomyślał, że należy do tego

rodzaju kobiet, które raz przekroczywszy próg lękości, nie cofają się nawet przed lufą automatu. Wyłonił z pamięci obraz młodej Rosjanki podejrzanej o współpracę z partyzantami. Była trochę niższa od Mariann i nieładna, ale też miała jasne włosy, a w niebieskich oczach nieugiętą zawziętość. Przechodził ze swoją drużyną obok podwórza, przez które dziewczynę prowadził ponury esesman, trzymając lufę automatu przy jej plecach. I wystarczyło, że na chwilę odwrócił wzrok w stronę przechodzących żołnierzy, by dziewczyna samobójczym skokiem obaliła go, wydarła z ręki automat i puściła w niego śmiertelną serię na oczach dwunastu ludzi. Nim zdążyli się połapać co zaszło, wpadła między zabudowania i już myślał, że zdoła zbiec. Zginęła spalona żywcem w jakiejś szopie broniąc się do ostatka. Okazało się później, że była radiotelegrafistką.

Stary popatrzył na niego pytająco. Paul skinął głową.
— Tak, tylko nas dwoje.

Zagłębili się w las i szli w milczeniu. Mariann schowała rewolwer do kabury. Stary przyglądał się jej z ukosa. Dźwigał kosz i prowadził ich ledwo widoczną ścieżką w kierunku rzeki, skąd przyszli. Minęli grzbiet wzniesienia. Sosnowy las ustąpił olchom i brzozom. Kiedy uszli spory kawałek, stary zatrzymał się i postawił kosz na ziemi.

— Dosyc — powiedział — tu bezpiecznie. Usiądźmy.

Wydobył z kieszeni paczkę haudegenów — Można zakurzyć. Zmęczyłem się krzynę. Wy palicie? — zwrócił się do Paula podsuwając mu papierosy.

— Zapalę.

— Tu można — rzekł stary.

Mrok gęstniał, komary bzykały im nad głowami,

lawirując wśród obłoków dymu. Milczeli przez chwilę.

— Wybraliście złą drogę — rzekł wreszcie stary — niedaleko dawna granica.

— Właśnie tam chcemy iść. Ile stąd?

— Dziesięć kilometrów. Ale tam wojsko.

— Wojsko.

— Miny stawiają. Dużo wojska i SS. Po co wam tam iść?

— A gdzie?

— Nie lepiej w jańsborskiej puszczy przeczekać?

— Do Polski chcemy.

— Tu Polska wnet przyjdzie — rzekł stary — nie wiadomo jak będzie, ale przyjdzie. Po tamtej stronie mówią, że ma być Polska aż po Gierdawę. A te Kurpie odgrażają się, że nas wszystkich wyrzną.

— Jak to wyrzną? Dlaczego?

— Tak mówią. Bo my som Niemce. Szkopy mówią.

— Bajki — rzekł Paul — wybieramy się do polskich partyzantów.

— Ja bym wam panie nie radził.

— Dlaczego?

— Zabiją.

Paul poczuł rękę wsuwającą się pod jego ramię.

— To nieprawda — powiedziała.

— Ona jest Polką — rzekł Paul.

— Co ty wiesz, dzieuszko — rzekł stary — ty pewnie nie z tych stron.

— Ale nie wierzę, żeby to była prawda.

— My jus nie som Polacy — szepnął stary — kiedyś to my byli, dawno. Ojciec mego ojca jeździł na tamtą stronę, bo my są stamtąd. Od Kolna nasza familia.

— Mowa ta sama — mruknął Paul.

— Co z tego. Wiara inna.

— To nieważne.

— Dwóch moich synów zginęło w Polsce, w Wehrmachcie — rzekł stary — polska kula ich zabiła, obydwóch, a oni zabijali Polaków. Tak to jest z nami, Mazurami. A teraz to już koniec nam przyjdzie całkiem.

— Jak Polska nastanie?

Stary przydusił ogarek papierosa i westchnął:

— W dwudziestym roku siła było takich, co chcieli do Polski. A co z tego wyszło? Wielka bieda. Niemiec wojnę przegra, ale prędko wstanie jeszcze mocniejszy.

— Niemcy pójdą stąd precz. Na zawsze.

— A Polacy, myślicie, lepsi będą?

— Zależy dla kogo.

— Mój najmłodszy nosi trupa czaszkę na czapce i duszę by oddał za Hitlera.

— To lepiej niech tu nie wraca — mruknął Paul.

— Gospodarkę ma we wiosce, żonę i dzieci.

— Lepiej niech tu nie wraca.

— On tu jest. Od niego wiem, że miny stawiają przy granicy. Dużo nie brakowało, a byście się spotkali. Z wieczora zachodzi do nas. Może teraz siedzi w pokoju i rozmawia z matką.

— O nas?

— Nie bójta się. Po niemiecku z nim musimy gadać, taki on jest, najmłodszy, ale nie najlepszy.

— Jego szczęście, że się rozminęliśmy — mruknął Paul — jego albo nasze.

— Jo, jo, — rzekł stary — truchlałem na tę myśl, bo on bez broni się nie rusza.

— Ale pomogliście nam.

— U nas dawniej tak było, że jeden drugiemu pomagał. My nie szli z Niemcami i zawsze trzymali ra-

zem, ale widzita, jak to teraz jest, starzy swoje a młodzi swoje. Ten Hitler to diabeł, mój syn duszę diabłu zaprzedał. Tamte chłopaki, co zginęli, całkiem inne byli. Takie jak wy, panie, i od polskiej kuli śmierć im przyszła.

Stary umilkł i wyjął papierosy. Poczęstował bez słowa Paula, a gdy zapalili, powiedział.

— Jus pójdę sobie, bo robi się mroczno. A wy nie idźcie wedle tej drogi, ino przez las w prawo na Hejdyk, potem do Rozóg, tam nie ma wojska.

— A granicy pilnują?

— Nie. Skasowana. Rów tylko się został i tyle. Patrole czasami chodzą jak wszędzie. Można przechodzić tam i nazad.

— Jeździliście może?

— Nie było po co, ale są tacy, co jeżdżą.

— Hejdyk i Rozogi to wioski?

— Tak. — Stary wstał i otrzepał spodnie — no, czas na mnie. Ostańcie z Bogiem.

— Jeszcze nie zapłaciliśmy za żywność. Ile chcecie za to wszystko razem z koszykiem.

— E, tam. Pieniądzy u nas nie brakuje. Niech wam będzie na zdrowie, mizeroki.

Paul podniósł się i Mariann też wstała. Wyciągnęli do niego rękę.

— Nie wiem, jak wam dziękować — powiedział — i za to, i za dobre słowo, uratowaliście nam życie.

— Tak było trzeba — rzekł stary — ostańcie z Bogiem.

W niewielkiej kuchni zebrała się cała rodzina: troje małych dzieci, dwie podrosłe dziewczyny, matka i ojciec. Mieli pospolite twarze, które prócz zaciekawienia nie wyrażały żadnych uczuć. Przyjęcie było jakieś chłodne, pozbawione cieplejszych słów, choć objawiali to w gestach i postępowaniu, świadczącym o dobrych chęciach, których nie umieli wypowiedzieć ani oddać inaczej niż w praktycznym działaniu. Nie zraziło jej ich prostactwo, czuła się swojsko wśród tych lichy odzianych ludzi i patrzyła na nich z miłością, jakby byli jej rodziną odnalezioną po długiej tułaczce. Blask z otwartego paleniska i resztki przedwieczornego zmierzchu ledwo rozjaśniały wnętrze izby. Dzieci stały pod szczer-niałym kredensem i bez ruchu wpatrywały się w Mariann, wodząc oczyma po jej postaci od stóp do głowy. Dziewczyny siedziały na ławce, a gospodyni obok męża przy stole. Wszyscy patrzyli na Mariann tym samym uważnie lustrującym spojrzeniem, któremu nie mógł umknąć żaden szczegół. Nie czuła się jednak skrepowana i jadła z apetytem zacierkę z razowej mąki na mleku. Spokojnie odpowiadała na pytania mężczyzny zgodnie z prawdą, zatajając tylko szczegóły ucieczki. To go nie interesowało zresztą. Wypytywał skąd jest rodem, gdzie ojciec i matka, a później jak było u Niemców. Nie miała nic do ukrywania poza tym, co postanowiła opowiedzieć na samym końcu, gdy sytuacja wyjaśni się dostatecznie. Czekala kiedy ją zapyta, co zamierza dalej ze sobą począć, ale on nie kwapił się do tego, słuchał jej relacji, a później sam zaczął mówić o wojnie, że już nie potrwa długo. Dowiedziała się, że Sowieci są już nad Wisłą i że w Warszawie wybuchło powstanie. Patrzył na Mariann tępo i nie widać było na jego twarzy żad-

nego ożywienia, nawet wtedy, gdy powiedział zwracając się do żony:

— Zanim śnieg spadnie, już tu szkopów nie będzie.

— Tak pan sądzi? — spytała Mariann.

— Gadają — mruknął — różnie gadają. Chyba tak. Nie wiem.

— Tam skąd panienka jest, chyba już są Sowieci — powiedziała kobieta.

— Pewnikiem — rzekł mężczyzna — jak są w Białymstoku to i tam.

— Od nas do Białegostoku było czterdzieści siedem kilometrów — powiedziała Mariann.

— Teraz się tam nie dostanie.

— Też tak myślę — odparła.

Gospodarze milczeli, wreszcie po chwili mężczyzna drapiąc się w głowę spojrział na żonę:

— Co myślisz, matka, mogłaby zostać u nas do tego czasu?

— Czemu nie.

Mężczyzna odwrócił twarz w stronę Mariann. Przyjazny uśmiech po raz pierwszy zjawił się na jego twarzy. Ręką wykonał półkolisty ruch i powiedział:

— Niebogato u nas, jak u chłopca, ale żyć można.

— Nie chciałabym się tak długo naprzykrzać — odparła Mariann — może tylko kilka dni, tydzień lub dwa. Zapłaciłabym za swoje utrzymanie.

— Kto mówi o pieniądzach, panienko — rzekła kobieta — co one teraz warte. Jeść, chwalić Pana Boga, jest co, jedna gęba więcej nic nie znaczy.

— Pomogłabym w gospodarce, szyć umiem sukienki, moja mama była krawcową. Nie chciałabym tak za darmo.

— Nie ma o czym mówić — powiedział mężczyzna —

ta sama bieda nas tłucze i pomagać sobie trza. Tak się należy.

— Ale ja nie mam żadnych papierów.

— Co to szkodzi. W domu nie potrzeba. Dziewczyny o papiery nikt nie pyta. Tu żandarmy nie przychodzą ani policja, bo nie ma młodych chłopaków.

— Bardzo jestem wdzięczna za waszą dobroć — powiedziała Mariann.

— Toć my swoi — rzekł mężczyzna. — Inaczej się nie godzi.

— A rzeczy panienka jakieś ma? — zapytała kobieta.

— Mam. Zostawiłam w lesie.

— Aha. To trza przynieść.

Mariann zawahała się:

— Nie jestem sama.

— A kto jeszcze? — zapytał mężczyzna.

— Ktoś, kto pomógł mi uciec.

— To znaczy kto?

— Mój narzeczony — powiedziała zmieszana.

Kobieta spojrzała pytająco na męża.

— Z tym gorzej mruknął. — Co on za jeden?

Mariann wyczuła w głosie mężczyzny nutę niezadowolenia.

Zmęczyły ją te wypytywania i spojrzenia całej rodziny, przed którymi nie potrafiła ukryć swojego zmieszania. Zwątpiła w powodzenie sprawy, jednak nie mogła rezygnować. Musiała powiedzieć wszystko do końca, prędzej czy później. Tego w żaden sposób nie dało się uniknąć.

— Nie pobyłby długo — zaczęła — najwyżej trzy dni. Chce iść do partyzantki. To jest Mazur, zdezerterował z Wehrmachtu.

Mężczyzna cofnął się i wyprostował. W czerwona-

wym blasku, padającym z paleniska, zmarszczki i bruzdy na jego twarzy zaznaczyły się głębokimi cieniami. Miał szerokie usta, które wykrzywił i zacisnął jednocześnie aż mu ścięgna wystąpiły na szyi.

— Mazur — powiedział — to znaczy szkop.

Mariann poczuła, że blednie i że w gardle ją dławi.

— On nie jest Niemcem — wyjąkała — uratował mi życie. On nie jest Niemcem.

— To jeszcze gorsze skurwysyny — mężczyzna otworzył szeroko usta i palcem przejechał po bezzębnej połowie dolnej szczęki — widzisz to, taką mam po Mazurze pamiątkę, a drugą na żebrach. A te ręce, widzisz — wyciągnął je przez stół, rozcapierzając palce jak gdyby chciał chwycić Mariann za włosy — tymi rękami gołymi musiałem grześć moich chłopaków w niepoświęconej ziemi, tam gdzie ich rozwalili te skurwysyny. I za co? Za durno! Byli niewinni! Tak jak ja. Matka w proch na drodze czołem biła, litości błagała. Daremnie. Daremnie! Nie! Nigdy! — jego głos zabrzmiał jak okrzyk — Nigdy! — zacisnął pięści, wznosił je w górę i potrząsnął nimi naprzeciw Mariann — Nigdy!

Kobieta nagle zaciągnęła się płaczem i zajęczała:

— O Jezusie, Maryjo!

— Przepraszam — powiedziała cicho Mariann — ja sobie pójdę. — Chciała wstać z ławy, ale przez chwilę nie była zdolna podnieść się ani wykonać żadnego ruchu — ja sobie pójdę — powtarzała — ja sobie pójdę.

Mężczyzna wyciągnął ramię i wskazał jej drzwi.

— Zabieraj się — rzekł ponuro — wont!

Wyszła bez słowa, a gdy była w progu usłyszała czyjś głos:

— Niemiecka kurwa!

Była ogłuszona tym wszystkim, ale nie załamana.

Paul czekał na nią w gęstwinie i kiedy przyszła nie pytał o nic, ona też nic nie powiedziała.

Zagłębili się w ciemny las.